

Gilbert Keith Chesterton
Krótka historia Anglii

G.K. CHESTERTON

KRÓTKA HISTORIA ANGLII



FRONDA
APOSTOLICUM

Przedmowa Autora do drugiego wydania brytyjskiego

Gdy parę lat temu zwrócono się do mnie z prośbą o napisanie książeczki zatytułowanej obecnie „Krótką historią Anglii”, zdawałem sobie dobrze sprawę, że przyjmując to wyzwanie, popełniam pewnego rodzaju bezczelność, choć po prawdzie sam tytuł książki jest bezczelniejszy niż jej treść. Gdyby to zależało ode mnie, nazwałbym ją „Szkicem dziejów Anglii”, czy też „Esejem na temat dziejów Anglii”; nie sądziłem jednak, by warto było się spierać czy to o tytuł książki, czy o nią samą, jej założenie, tak jak ja je rozumiałem, nie wymagało bowiem popisywania się uczonością, luki w dziejach Anglii nie dotyczą bowiem rzeczy małych, znanych jedynie uczonym, lecz raczej rzeczy wielkich, które uczeni z reguły pomijają. Wielu z tych rzeczy można się dowiedzieć nie tylko bez cudów erudycji, ale nie otwierając nawet w ogóle książki. Można się o nich dowiedzieć patrząc na rzeczy wielkie i bijące w oczy, takie jak ogrom kościołów gotyckich czy styl klasycznych dworów wiejskich. Nie trzeba długich i trudnych badań dla dowiedzenia się, że ziemianin nie jest opatem, choć dom jego nosi miano opactwa. Nie trzeba zawyłych rozumowań dla wywnioskowania, że teren zwany „gromadzkim” należał niegdyś do gromady. Różnice w poglądach nie dotyczą więc samych faktów, lecz znaczenia tych faktów, a ocena tego znaczenia wiąże się z krytyczną oceną całego rozumienia dziejów.

W przedmowie do pierwszego wydania podkreśliłem mój brak szczegółowej wiedzy historycznej, toteż nie należy się dziwić, jeśli przedstawiłem błędnie jakieś szczegóły historii. Rzecz jednak ciekawa, że większość błędów, jakie wykryłem w tekście pierwszego wydania, nie dotyczy rzeczy mi nieznanych, lecz tych, które są mi znane. Na temat takich błędów można napisać ciekawą rozprawę psychologiczną. Są to błędy, które popełnia się bezwiednie. Odkryłem na przykład, że mówiłem o królu Janie jako o drugim synu Henryka Andegaweńskiego. Otóż nie jest możliwe, by ktoś, kto kiedykolwiek czytał książki dla dzieci z ich anegdotami o królach, nie wiedział doskonale, że Henryk II miał, że tak powiem, nadmiar synów i że Jan był z nich najmłodszy. Któż nie słyszał o rozgoryczeniu ojca z powodu ucieczki tego beniaminka?

Z kontekstu wynika, że nie wymieniałem synów, lecz królów i że miałem na myśli, iż Jan był drugim z rzędu synem, który wstąpił na tron. Trafiają się w mej książce inne jeszcze błędy podobnego rodzaju, równie łatwe do popełnienia jak do poprawienia. Na stronie 129 „wdowa po Henryku V” powinna być oczywiście wdową po Henryku VI, czy też raczej „żoną Henryka VI”, gdyż wbrew przekonaniu p. Wellera (pocztylion z „Klubu Pickwicka” – przyp. tłum.) nie była ona herod – babą, choć była wdową. Tkwiła mi ona jednak w pamięci jako wdowa, lub przynajmniej jako samotna kobieta w żałobie, z dzieckiem na ręku, ponieważ w pamięci mojej odżyła w danej chwili stara opowieść o jej samotnych przejściach z małym książątkiem. Do anegdoty o benedyktynach zakradł się błąd druku: oczywiście powinno być „franciscere” lub „franciscet”, jeśli w ogóle warto odmieniać czasownik nieistniejący, włożony w usta człowieka przemawiającego łaciną kuchenną. Znajdzie się zapewne jeszcze mnóstwo innych błędów, niebędących błędami druku. Zwrócono mi uwagę, że pewne powiedzenie o słońcu przypisałem Tomaszowi More, podczas gdy w rzeczywistości wyszło ono z ust jednego z jego towarzyszy, z tej samej plejady męczenników. Jest to możliwe, gdyż wszystkie te opowieści czytałem w tym samym zbiorze anegdot o męczennikach. Oto są szczegóły, które być może uszły mej uwagi; najmocniej za nie przepraszam. Jest ich jednak mniej, niż się obawiałem.

Powtarzam, że przepraszam za wszystkie tego rodzaju szczegóły, nie mam bowiem za co przepraszać, jeśli chodzi o tezę ogólną czy też konstrukcję książki. Wszystko, czego nauczyłem się od czasu jej napisania, a w szczególności to, czego nauczyłem się od uczonych – utwierdziło mnie w przekonaniu, że miałem znacznie więcej słuszności, niż przypuszczałem. Takie amatorskie pisanie dziejów przypomina trochę rozwiązywanie zagadek. Odczuwam po latach spóźniony dreszcz szczęścia na myśl, że tak często odgadywałem trafnie. Mógłbym dziś dostarczyć znacznie więcej dowodów, niż ich miałem wówczas, na zasadnicze linie mego rozumowania: że w średniowiecznej Anglii narodziło się wiele ideałów demokratycznych; że miała ona możliwość zbliżania się – i że nawet faktycznie się zbliżała – do demokratycznego postępu; że pokonała ją

oligarchia, która nabrała nadmiernej siły pod zbyt kapryśną władzą królów; że w wiekach XVI i XVII zatriumfowała oligarchia, rugując ostatnie ludowe elementy ze szkół, cechów, prawa i posiadania ziemi; wreszcie, że arystokracja przemienia się obecnie w plutokrację, nie uchylwszy przed ludem nawet rąbka tej ludowej wizji, bez której lud żyć nie może. Nie tylko utwierdziłem się w przekonaniu o słuszności takiego ujęcia rzeczy, ale doczekałem się nawet tego, że świat jest coraz to bardziej skłonny do zastanawiania się nad takim ujęciem. Na przykład w czasie, gdy pisałem tę książeczkę, cały ten świat, który uważał pana Bernarda Shawa za naczelnego modernistę, uważał mnie za marzycielskiego zbieracza starożytności, bo byłem miłośnikiem średniowiecza. Ja jednak chwaliłem jedynie najlepsze strony tej epoki, a w szczególności jej zaranie, przyznając przy tym zdecydowanie, że w ostatnich chwilach zmierzchu średniowiecza roiło się od potworów. Wskazywałem zwłaszcza na zwyrodniałą gorliwość księży, którzy prześladowali św. Joannę. Tymczasem doczekałem się tego, że modernista Bernard Shaw dostarczył dowodów na korzyść mediewisty Chestertona. Doczekałem się tego, że nie kto inny, ale właśnie on dowiódł, że istnieją argumenty nawet na korzyść potworów średniowiecza. O ile ja broniłem wzlotów średniowiecza, on broni nawet jego upadku – i broni triumfalnie, oparł się bowiem w swej obronie na fundamencie zasad. Mam na myśli pewien fakt, który powinien uprzytomnić sobie każdy, kto chce wziąć udział w dyskusji nad tą sprawą: fakt, że wizja chrześcijaństwa była czymś znacznie u ludzi średniowiecza potężniejszym niż nasze cesarstwa, narody czy przedsiębiorstwa. I że podczas gdy najlepsi z nas potrafią tylko polec chwalebnie za ojczyznę, ludzie średniowiecza nawet swe zbrodnie zdolni byli popełniać za Krzyż.

W miarę jak upewniamy się coraz gruntowniej, gdzie leży prawda, opuszcza nas pokusa formułowania jej w sposób jaskrawy i wyzywający. Obiektywny opis okresu przejściowego między średniowieczem a czasami nowszymi wyglądałby, moim zdaniem, mniej więcej tak. W okresie tym świat uległ poprawie pod wieloma względami, lecz nie pod tym jednym koniecznym względem, który mógłby pogodzić wszystkie inne. Świat nie stał się bardziej uniwersalny – przeciwnie, stał się znacznie mniej uniwersalny, gdyż pozbierał tylko i wypolerował szczątki pogruchotanego wszechświata. Mówiąc innymi słowy, było to ulepszenie tego samego rodzaju, co rozwój specjalizacji w medycynie lub zawodowstwa w piłkarstwie. Człowiek średniowiecza był rzeczywiście pod wieloma względami mniej okrzęsany i sprawny, jednakże jego pogląd na życie był szerszy i bardziej ludzki. Tak więc odrodzenie nauki nie było jej upowszechnieniem, gdyż szkoły publiczne przestały być szkołami ludowymi. Więcej szlachty uczyło się greki, lecz mniej chłopów uczyło się łaciny. Reformacja zwiększyła „napięcie” religii, przekształcając ją w sekciarstwo, przestało być możliwe godzenie ludzi przy pomocy religii. W dziedzinie np. dramatu zaczęto wystawiać utwory większe, mniej jednak osób brało udział w ich wystawianiu. Pojawił się Szekspir, natrząsający się z prostaków wystawiających sztuki. Wiele przemawiało jednak za dawnym teatrem cechowym, w którym każdy prostak mógł wystawić sztukę. Literatura dojrzała, ponieważ dojrzał język, zacieśniła się ona jednak do języków narodowych – prawdziwie europejskie esperanto zanikło. Ludzie utracili ideę ludzkości jako całości. Jak się to odbiło na dziejach Anglii, łatwo stwierdzić na przykładzie wziętym z angielskiej literatury. Jednym z największych i najbardziej ludzkich geniuszy nie bardzo ludzkiego XVII wieku był John Bunyan. Jego twórczość uchodzi słusznie za arcywzór dojrzałej angielszczyzny. Porównajmy jednak atmosferę moralną twórczości alegorysty, który napisał „Pilgrim’s Progress”, z atmosferą twórczości alegorysty, który napisał „Piers the Plowman”. Oba te utwory stanowiły symboliczne obrazy życia ludzkiego w świetle religii. Nikt nie zaprzeczy, że arcydzieło purytańskie jest dziełem sztuki pełniejszym i bardziej zwartym, gdyż język i literatura nabrały w tym czasie większej dojrzałości i zwartości. Jeśli chodzi jednak o szerokość poglądów, o stosunek do ludzi, o spojrzenie na moźnych tego świata, na każdą warstwę społeczną, każde zagadnienie, każdy ideał polityczny, to Bunyan pełza w dole, podczas gdy Langland stoi na górze. Stało się bardzo słusznie, że pomnik Bunyana w Bedfordzie „stoi twarzą do miejsca, w którym go więziono”. Nie ma natomiast pomnika na wzgórzach Malvern, na których wielki trybun średniowiecza ujrzał swoją wizję sprawiedliwości dla całego świata: społeczność prostego ludu, uosobioną w jednej olbrzymiej postaci przedzierającej się przez chmury i przeciwności, by wreszcie w ostatniej fazie misterium ukazać

nam straszliwe oblicze Chrystusa.

G. K. Chesterton

I. Wprowadzenie

Bardzo słuszne byłoby pytanie, dlaczego to właśnie ja mogłem się zdecydować – choć w pewnej mierze sprowokowany – na napisanie rozprawy na temat historii Anglii, choćby nawet popularnej rozprawy. Jestem przecież zwykłym członkiem szerokiego ogółu i nie zdradzam żadnych pretensji do jakiejś szczególnej uczoności. Odpowiadam krótko: wiedza moja wystarczy akurat na to, by wiedzieć jedną rzecz, że nikt nie napisał jak dotąd historii ujętej z punktu widzenia członka szerokiego ogółu. To, co zwiemy historią popularną, powinno się raczej zwać historią antypopularną. Wszystkie bowiem podręczniki historii, prawie bez wyjątku, są albo wrogo nastawione do mas, albo je ignorują, lub też w sposób kunsztowny dowodzą, że wina leży po stronie mas. Wprawdzie Green zatytułował swą książkę „Krótkimi dziejami angielskiego ludu”, uważał ją jednak za zbyt krótką, by wspomnieć w niej należycie o ludzie. Nazwał on np. pewien bardzo obszerny rozdział swych dziejów „Anglią purytańską”. Anglia nie była jednak nigdy purytańska. Niemal równie niesłusznie można by nazwać „purytańską Francją” kraj, nad którym objął władzę Henryk z Nawarry.

Szczególnie jednak przy opisach średniowiecza popularne dzieje depczą popularne tradycje. Pod tym względem zachodzi komiczna niemal sprzeczność między mnóstwem wiadomości o dziejach Anglii w ostatnich dwu lub trzech wiekach – w ciągu których montowano jej obecny ustrój przemysłowy – a ubóstwem wiadomości o wiekach poprzednich, z grubsza zwanych średnimi. Mały przykład pozwoli zobrazować ten rodzaj historii z gabinetu figur woskowych, która ma niby wystarczyć dla oświecenia epoki opatów i krzyżowców. Parę lat temu ukazała się popularna encyklopedia, pretendująca m.in. do uczenia mas, jak wyglądały dzieje Anglii. W encyklopedii tej trafiłem na poczet podobizn królów angielskich. Oczywiście, nikt nie może wymagać, by wszystkie podobizny były autentyczne, ale zainteresowanie skupia się z natury rzeczy głównie na tych, które są płodami wyobraźni. Choć w literaturze owych czasów spotyka się dużo materiałów pomocnych do sportretowania postaci takich jak Henryk II czy Edward I, wydaje się, że autorzy encyklopedii nie tylko tego materiału nie znaleźli, ale go też nawet nie szukali. Patrząc bowiem na wizerunek mający wyobrażać Stefana z Blois, oko moje wzdygnęło się na widok dżentelmena w jednym z tych hełmów o obrzeżu stalowym, wygiętym w kształt półksiężyca, które noszono w epoce nakrochmalonych białych kołnierzy oraz skórzanych kamaszy. Skłonny jestem podejrzewać, że była to głowa halabardnika z takiej sceny jak np. stracenie Marii Stuart. Grunt, że głowa ta była przecież w hełmie, a hełmy były atrybutem średniowiecza – Stefanowi wystarcza więc jakikolwiek stary hełm.

Przypuśćmy jednak na chwilę, że czytelnicy tej encyklopedii szukaliby portretu Karola I, a znaleźliby głowę policjanta. Przypuśćmy dalej, że wzięto by ją wraz z nowoczesnym hełmem z jakiejś fotografii w „Daily Sketchu” przedstawiającej aresztowanie sufrażystki. Wolno mi chyba zaryzykować twierdzenie, że czytelnicy odmówiliby uznania tej głowy za podobiznę Karola I. Doszliby do przekonania, że musiała zajść jakaś omyłka. A jednak okres czasu, który upłynął między Stefanem a Marią, był znacznie dłuższy niż okres między Karolem a nami. Przewrót w stosunkach społecznych między pierwszą wyprawą krzyżową a panowaniem ostatniej z rodu Tudorów był bez porównania głębszy i pełniejszy niż jakiegokolwiek przewroty między czasami Karola a naszymi.

A przecież ów przewrót powinien stanowić centralny wątek w każdej pracy, która zwie się historią popularną. Jest to bowiem opowieść o tym, jak nasz lud uzyskał ważne prawa, które dziś utracił bez reszty.

Otóż twierdzę skromnie, że wiem o dziejach Anglii więcej niż to jedno i że mam tyleż samo prawa do popularnego streszczenia tych dziejów, co dżentelmen, który zamienił kapelusze krzyżowca i halabardnika. Dziwaczne oraz zastanawiające zaniedbanie – czy też nawet pomijanie średniowiecznej cywilizacji w tego rodzaju dziełach zasada się na fakcie, o którym już

wspominałem. Stało się tak, że nie gdzie indziej, ale właśnie w historii popularnej zabrakło miejsca na popularną historię. Na przykład, ucząc robotnika, cieślę, bednarza czy murarza o Wielkiej Karcie, mówi się o niej jako o zjawisku zupełnie odosobnionym, przy czym upiorną nieledwie jej samotność tłumaczy się faktem, że wyprzedziła ona swój czas. Nie uczy się jednak robotnika, że całe średniowiecze zapchane było pergaminowymi kartami. Cieśla słyszy o jednej tylko karcie, danej baronom, i to głównie w interesie baronów. Nie słyszy natomiast o żadnej z kart nadanych cieślom, bednarzom, czy też w ogóle ludziom tego samego autoramentu, co on sam.

By zaś sięgnąć po inny przykład – chłopiec i dziewczyna, czytający fabrycznie robione, uproszczone podręczniki dziejów, używane w szkołach, nie słyszą faktycznie nigdy o kimś takim jak mieszczanin, póki nie pojawi im się on w koszuli z pętlą na szyi. Na pewno nie mają oni najsłabszego nawet wyobrażenia o znaczeniu mieszczan w średniowieczu. Wiktoriańscy kupcykowie nie wyobrażali sobie, że mogliby wziąć udział w jakiejś takiej romantycznej awanturze jak bitwa pod Courtrai, gdzie to średniowieczni kupcykowie zdobyli więcej niż ostrogi – gdyż zdobyli ostrogi wrogów.

Choć wiem niewiele, mogę jednak opowiedzieć coś niecoś na temat owej prawdziwej baśni. Oto w czasie mych wędrówek spotkałem człowieka, wychowanego w oficynach wielkiego domu, karmionego odpadkami ze stołu i obciążonego najcięższą pracą. Wiem, jak to ucisza się jego żale, jak to jego położenie próbuje się uzasadnić historyjką, jakoby jego dziad był szympansem, a jego ojciec leśnym dzikusiem, ujętym przez łowców i obłąskawionym w coś w rodzaju inteligenta. W świetle tej historyjki może on być wdzięczny za to, że cieszy się życiem prawie ludzkim. Może się również krzepić nadzieją, że zwierzę, które zostawi po sobie, będzie jeszcze bardziej wykształcone. Może się to niejednemu z czytelników wydaje dziwne, ale tytułowanie tej historyjki świętym mianem Postępu przestało mnie zadowalać, odkąd zacząłem podejrzewać i znajdować dowody, że nie jest ona prawdziwa. Dziś wiem już przynajmniej tyle o pochodzeniu tego człowieka, by wiedzieć, że nie wykształcono go, lecz po prostu wydziedziczono. Jego drzewo genealogiczne jest drzewem małym chyba tylko w tym rozumieniu, że żadna mała nie potrafiła się na nie wdrapać.

II. Prowincja rzymska Brytania

Wyspa, na której żyjemy, miała niegdyś ten wysoce poetycki przywilej, że była krańcem świata. Jej najdalej wysunięte krańce stanowiły *ultima Thule*, czyli drugi koniec „nigdzie”.

Gdy te wyspy, zgubione w pomroce mórz północnych, dostały się w końcu w światło dalekosiężnych reflektorów Rzymu, wydawało się Rzymianom, że dotarli do najdalszego kresu rzeczy, zaspokoiwszy raczej dumę niż chęć posiadania.

Poczucie to było uzasadnione nawet względami geograficznymi. Ten kraj na końcu wszechrzeczy miał w sobie rzeczywiście coś, czego nie można określić słowem innym niż krańcowość. Brytania mniej jest wyspą niż archipelagiem, a przynajmniej jest labiryntem półwyspów. W niewielu innych krajach można tak łatwo i tak dziwnie znaleźć morze wśród pól czy pola wśród morza. Wielkie rzeki zdają się nie tylko spotykać w oceanie, lecz o mało nie stykają się ze sobą wśród pagórków. Cały kraj, choć na ogół nizinny, opiera się na zachodzie na górach. Prehistoryczna tradycja każe mu szukać w stronie zachodzącego słońca wysp jeszcze senniejszych niż on sam. Wyspiarze zaś podobni są do swej wyspy. Choć różni jako narody – na które się dziś rozpadają Szkoci, Anglicy, Irlandczycy, czy też Walijczycy z zachodnich pogórzy – nie posiadają zupełnie prostackiego posłuszeństwa śródłądowych Niemców, czy też *bon sens français*, który może być do woli – cięty lub banalny. Jest coś wspólnego wszystkim mieszkańcom Brytanii, coś, czego nie potrafiły rozdzielić nawet akty unii. Najtrafniej można by to było chyba nazwać brakiem pewności, charakterystycznym dla ludzi chodzących po skałach i po skraju rzeczy. Żądza przygód, upodobanie w wolności, humor bez dowcipu, zadziwiają ich krytyków i zadziwiają ich samych. Ich dusze postrzępione są jak ich wybrzeża. Wszyscy cudzoziemcy stwierdzają u nich pewne zakłopotanie – wyraża się ono u Irlandczyków pomieszaniem mowy, a u Anglików pomieszaniem myśli. Jest w ich myślach coś podwójnego, jakby odbicie duszy w wielu wodach. Spośród wszystkich narodów są oni najmniej przywiązani do czystego klasycyzmu, tej władczej prostoty,

którą Francuzi praktykują subtelnie, a Niemcy po grubiańsku, Brytyjczycy zaś prawie wcale. Lubią oni kolonizować i emigrować, znani są poza tym z tego, że w każdym kraju czują się jak u siebie w domu, we własnym zaś kraju czują się jak na wygnaniu. Są w stałej rozterce między przywiązaniem do domu a przywiązaniem do czegoś innego, czego wytlumaczeniem, czy też tylko symbolem, jest morze. Rozterka ta dźwięczy w anonimowej kołysance, która jest najsubtelniejszym utworem literatury angielskiej i głuchym refrenem wszelkich poematów angielskich – „Gdzieś za wzgórzami, hen, w oddali”.

Ów wielki bohater racjonalistyczny, który podbił Brytanię, niezależnie od tego, czy był, czy nie był swawolnym półbogiem z „Cezara i Kleopatry”, jedno jest pewne: był on na pewno Latynem z krwi i kości, a wyspy nasze opisał z całą zwięzłą trzeźwością swego stalowego pióra. Jednak i ten opis mieszkańców Brytanii pióra Juliusza Cezara ma w sobie coś z tej tajemnicy, która jest czymś głębszym niż nieznamość faktów. Jak się zdaje, mieszkańcami Brytanii rządziła wówczas ta straszna instytucja, jaką jest pogańskie kapłaństwo. Głazy, dziś bezkształtne, a jednak ustawione w symboliczne kształty, świadczą o ładzie i pracy tych, którzy je dźwigali. Ich kult religijny był prawdopodobnie kultem natury. Postawa ta, być może, wycisnęła pewne piętno na żywiołowym charakterze, jakim przesiąknięta jest sztuka naszej wyspy. Konflikt między tym kultem a tolerancją cesarstwa każe nam się jednak domyślać obecności czegoś, co na ogół wyrasta z kultu natury – to jest nienaturalności.

O wszystkich jednak spornych dziś kwestiach Cezar milczy. Nie mówi nam np., czy język w Brytanii był wówczas „celtycki” (niektóre bowiem z nazw jej miejscowości nasuwają przypuszczenie, że język ten, w niektórych przynajmniej okolicach, był już wtedy teutoński). Nie wiem, ile jest prawdy w tych domysłach, uważam jednak, że doniosłość ich jest mocno przesadzona. Sam Cezar przyznał, że rzucił na Brytanię tylko okiem podróżnika. Gdy jednak znacznie później Rzymianie wrócili i uczynili z Brytanii prowincję rzymską, wykazywali w dalszym ciągu szczególną obojętność na sprawy, które podniecają dziś tylu profesorów. Zależało im w Brytanii tylko na braniu i dawaniu tego samego, co wzięli i dali w Galii. Nie wiemy, czy mieszkańcy Brytanii byli wówczas, a więc czy są dziś, Iberyjczykami czy Cymbrami, czy Teutonami. Wiemy natomiast, że rychło stali się Rzymianami.

Od czasu do czasu odkrywa się w nowoczesnej Anglii jakieś pozostałości, w rodzaju np. rzymskiego bruku. Takie zabytki rzymskie oddalają od nas raczej niż nam przybliżają rzeczywistość rzymską. Powodują one, że coś, co jest jeszcze bardzo bliskie, wydaje się dalekie, a coś, co jest jeszcze żywe, wydaje się nie żyć. Wygląda to, jakby żywemu człowiekowi napis nagrobny wystawić na drzwiach wejściowych jego własnego domu. Napis taki byłby prawdopodobnie pochlebny, odstraszałby jednak gości. Jeśli chodzi o Francję i Anglię, to nie to jest istotne, że mają one pozostałości rzymskie, ale że są pozostałościami Rzymu. Po prawdzie są one nie tyle pozostałościami, ile relikwiami, gdyż ciągle jeszcze działają cuda. Rząd topoli jest relikwią bardziej rzymską niż rząd kolumn. Prawie wszystko, co zwiemy dziś dziełem natury, wyrosło przecież jak grzybnia na tych dziełach pierwotnego człowieka, a nasze lasy są mchem na kościach olbrzyma. Pod nasieniem naszych zbóż i korzeniami naszych drzew leżą fundamenty, które znaczą swoją obecność odłamkami rzymskich dachówek i cegieł, a poprzez kolory naszych kwiatów polnych przebija kolor rzymskiego bruku.

Brytania była pod bezpośrednią władzą Rzymu przez pełne czterysta lat, dłużej, niż jest protestancka, a znacznie dłużej, niż jest przemysłowa. Co to znaczyło być prowincją rzymską, musimy wyjaśnić w paru słowach, inaczej bowiem nie zrozumiemy tego, co zaszło później, a w szczególności tego, co zaszło w bezpośrednim następstwie. Być Rzymianinem nie znaczyło być poddanym w tym sensie, jaki nadawali mu cyniczni politycy niedawnych czasów, którzy żywili nadzieję, że jedno dzikie plemię podbije drugie, czy też w sensie, że doczekają się wymarcia Irlandczyków. W wypadku bowiem Rzymu i Brytanii zarówno zdobywcy, jak i podbici byli poganami, a obie strony miały instytucje, które wydają nam się nieludzkie w swoim pogaństwie: triumf, rynek niewolników oraz brak wszelkiej wrażliwości nacjonalistycznej, jaka cechuje nowoczesne dzieje.

Jednakże cesarstwo rzymskie nie niszczyło narodów, ale je raczej tworzyło. Mieszkańcy

Brytanii nie byli nigdy dumni z tego, że byli Brytami, byli jednak później dumni z nazwy Rzymian. Stal rzymska była w tym samym przynajmniej stopniu magnesem, co mieczem. W rzeczywistości było to raczej okrągłe stalowe zwierciadło, do którego przychodziły wszelkie narody, aby w nim podobiznę swoją oglądać. Jeśli zaś chodzi o Rzym jako miasto, to sama małość państwowej komórki była gwarancją wielkości państwowych eksperymentów. Było bowiem oczywiste, że sam Rzym nie mógł rządzić światem, tak jak nie mogła rządzić światem Rutlandia. Chcę przez to powiedzieć, że nie mógł on rządzić innymi rasami tak, jak np. Spartanie rządzili Helotami czy Amerykanie Mutzynami. Tak wielka machina państwowa musiała być ludzka, musiała mieć uchwyt dostosowany do każdej ręki. Cesarstwo rzymskie z konieczności stawało się coraz mniej rzymskie, w miarę jak stawało się coraz bardziej cesarstwem. Niedługo po tym, jak Rzym dał Brytanii zdobywców, Brytania zaczęła dawać Rzymowi cesarzy. Z Brytanii, jak twierdzili z dumą jej mieszkańcy, wyszła wielka cesarzowa Helena, matka Konstantyna. A nie kto inny, tylko właśnie Konstantyn – jak ogólnie wiadomo – był pierwszym władcą, który kazał rozwiesić ową proklamację, o której zachowanie czy zdarzenie nie przestają walczyć wszystkie następne pokolenia.

O tej rewolucji nikt nie potrafił nigdy mówić bezstronnie. Autor niniejszej książki nie będzie się wysilał na niepotrzebne udawanie, iż jest bezstronny.

Stało się już od dawna komunałem – nie przestając być paradoksem – że była to najbardziej rewolucyjna ze wszystkich rewolucji, skoro wisielca na niewolniczej szubienicy kojarzyła z Ojcem w niebiosach. Jest jednak inny jeszcze czynnik historyczny, z którego musimy zdać sobie sprawę. Nie zapuszczając się w rozważania na temat niezmiernej wagi przedchrześcijańskiego Rzymu, należy koniecznie wyjaśnić, dlaczego wszyscy Europejczycy, na długo jeszcze po upadku imperium rzymskiego, widzieli w nim pewien mistyczny sens. Dante miał chyba na ten temat najskrajniejsze poglądy, nasiąknęło nimi jednak całe średniowiecze, ich echa odzywają się jeszcze w naszych czasach. Rzym traktowano jak potężnego, choć upadłego, człowieka, ponieważ był największym osiągnięciem człowieka. Z wyroków Bożych wynikało nieodwołalnie, że cesarstwo rzymskie musi zwyciężyć – choćby tylko po to, by mogło upaść. Stąd szkoła Dantego wyciągała paradoksalny wniosek, że żołnierze rzymscy zabili Chrystusa nie tylko na mocy prawa, lecz nawet na mocy Boskiego prawa. By zwykle prawo mogło zawieść w chwili najwyższej próby, musiało ono być prawem rzeczywistym, a nie jedynie prostym wojskowym bezprawiem. Toteż narzędziami Boskimi byli zarówno Piłat, jak i Piotr. Dlatego to średniowiecznemu poecie zależało na dowodzie, że rządy rzymskie były zwykłymi dobrymi rządami, a nie uzurpacją. Cała bowiem rewolucja chrześcijańska sprowadzała się do twierdzenia, że w tej sprawie rządy dobre były równie złe, jak rządy złe. Nawet dobre rządy nie były na tyle dobre, by rozpoznać Boga wśród złodziei. Twierdzenie to ma niezmierną wagę, gdyż powoduje przewrót w sumieniach, utratę całego pogańskiego zaufania w pełną samowystarczalność miasta czy państwa. Wywodzi się z niego pewnego rodzaju wieczysta zasada, zawierająca zarzewie wieczystego buntu.

Tę właśnie okoliczność należy mieć stale na uwadze przy studiowaniu pierwszej połowy dziejów Anglii, do niej bowiem sprowadza się cały spór między duchownymi a królami.

Podwójne panowanie religii i cywilizacji utrzymywało się w pewnym sensie przez wieki i zanim przyszły pierwsze niepowodzenia, należy przyjąć, iż istota tego panowania była w gruncie rzeczy ta sama. I bez względu na to, jaki był jego początek – w dużej mierze doprowadziło ono do równości. Niewolnictwo istniało nadal niewątpliwie, podobnie jak w najdemokratyczniejszych państwach starożytności. Nieokrzesana biurokracja istniała niewątpliwie, podobnie jak w najdemokratyczniejszych państwach naszych czasów. Nie było jednak śladu tego, co w naszych czasach rozumiemy przez arystokrację – tym bardziej zaś nie było zjawiska, które rozumiemy jako rasowe panowanie. Jeśli można w ogóle mówić o jakichś zmianach, zachodzących w tym dwupoziomym społeczeństwie równych obywateli i równych niewolników, to chyba tylko o powolnym wzroście potęgi Kościoła kosztem potęgi cesarstwa. Głównym wyjątkiem od reguły równości była instytucja niewolnictwa, ale ta łagodniała powoli pod działaniem dwóch przyczyn: słabła ona zarówno na skutek słabnięcia cesarstwa, jak i na skutek wzmacniania się Kościoła.

Zagadnienie niewolnictwa nie było dla Kościoła trudnością doktrynalną, wymagało jednak wysiłku wyobraźni. Arystoteles i inni pogańscy mędrcy, którzy definiowali „sztuki niewolne” czy

„pożyteczne”, uważali niewolnika za narzędzie, za siekiere do rąbania drzewa czy czegokolwiek innego, co wymaga rąbania. Kościół nie potępił samego rąbania, czuł jednak, że tnie szkło diamentem. Nękało go wspomnienie, że diament jest bez porównania cenniejszy od szkła. Chrześcijaństwo bowiem nie mogło zadowolić się pogańskim uproszczeniem, że człowiek stworzony został do pracy, która przecież miała bez porównania mniej nieśmiertelnej wagi niż sam człowiek.

Mniej więcej w tym okresie historii Anglii przytacza się powszechnie anegdotę o pewnym żarciu Grzegorza Wielkiego. I taki jest, zdaje się, jej prawdziwy sens:

W myśl teorii rzymskiej z barbarzyńskich niewolników miał być pożytek. Jednak święty Grzegorz za sprawą swego mistycyzmu odczuł w nich piękno, bowiem „Non Angli sed Angeli” znaczyło tyle co „Nie niewolnicy, lecz dusze”. Mimochodem warto zaznaczyć, że w nowoczesnym państwie, najbardziej kolektywnie chrześcijańskim, jakim była Rosja, chłopów pańszczyźnianych liczone zawsze na „dusze”. Powiedzenie wielkiego papieża, choć zbanalizowane, stanowi pierwszy zapewne błysk tych aureoli, które się pojawiają na arcydziełach sztuki chrześcijańskiej. Tak więc Kościół, choć mógł mieć inne wady, z własnej natury wypracowywał równość społeczną. Klóci się natomiast z historią przypuszczenie, jakoby hierarchia Kościoła opierała się na arystokracji, czy też miała ten sam charakter. Hierarchia duchowna była raczej odwrotnością arystokracji; Kościół nauczał bowiem (przynajmniej w teorii), że ostatni mają być pierwszymi. Irlandzka bulla, głosząca, że „jeden człowiek jest tyle wart, co drugi, a nawet znacznie więcej”, wyraża prawdę, jak to bywa często z powiedzeniami pozornie sprzecznymi. I prawda ta była ogniwem łączącym chrześcijaństwo z obywatelstwem. Spośród wszystkich zwierzchników jedynie święty nie obniża ludzkiej godności; nie będąc świadomym swej wyższości nad innymi, ma tylko większą świadomość swej niższości.

Podczas gdy miliony księżulków i braciszków zakonnych podgryzały, jak myszy, pęta dawnego niewolnictwa, robił postępy inny proces, który nazwalismy słabnięciem cesarstwa. Dziś jeszcze proces ten trudny jest do wytłumaczenia. Podlegały mu w równej mierze wszystkie instytucje wszystkich prowincji, a w szczególności instytucja niewolnictwa. Ze wszystkich zaś prowincji skutki tego procesu odczuwała najdotkliwiej Brytania, leżąca na samym skraju świata, czy nawet poza nim. Nie należy jednak traktować Brytanii jako przypadku odosobnionego. Pierwszą połowę dziejów Anglii pozbawiono sensu próbując uczyć tych dziejów w szkołach w oderwaniu od owej społeczności chrześcijańskiej, do której Brytania wówczas należała i którą się chlubiła. Zgadzam się w pełni z pytaniem Kiplinga: „Cóż wiedzą o Anglii ci, co znają tylko Anglię?” Nie podzielam jednak poglądu, że Anglik najskuteczniej poszerza swój umysł zwiedzając Wagga-Wagga i Timbuktu. Wydaje mi się zatem konieczne, choć bardzo trudne, zarysowanie w paru słowach poglądu na to, co się działo wówczas z resztą ludności Europy.

Sam Rzym, twórca całego tego potężnego świata, był w nim punktem najsłabszym. Był centralą, która słabła i słabła, aż wreszcie zniknęła. Rzym w takiej samej mierze wyzwolił świat, co rządził nim, aż wreszcie przestał być zdolnym do dalszych rządów. Jeśli nie liczyć obecności papieża i jego stale rosnącej, nadprzyrodzonej powagi, Wieczne Miasto upodobniło się do pierwszego lepszego z jego własnych miast prowincjonalnych. Wynikły z tego raczej lokalne nieporządki, niż jakiś światowy bunt umysłów. Zapanowała anarchia, lecz nie wybuchło powstanie, gdyż każde powstanie musi mieć jakąś podstawę ideową, a zatem (zdaniem ludzi myślących) jakieś władze. Gibbon nazwał swe epiczne dzieło „Schyłkiem i upadkiem cesarstwa rzymskiego”. Cesarstwo pochyliło się, lecz nie upadło. Trwa do dziś.

Choć drogą znacznie jeszcze bardziej okólną, niż działalność Kościoła, ta decentralizacja i ten rozwój wypadków podważały jednak również ustrój starożytnego państwa oparty na niewolnictwie. Ów partykularyzm wyprodukował istotnie tę śmietankę dzielnicowych kacyków, z której wywiedzie się feudalizm. Ale o tym później. Ten partykularyzm przyczyniał się również do zniszczenia niewolnictwa, choć był to tylko wpływ pośredni, niepozostający w żadnej proporcji z bezpośrednim wpływem Kościoła katolickiego. U schyłku pogaństwa praca niewolnicza, podobnie jak nasza własna praca w przemyśle, upodabniająca się coraz bardziej do niewolnictwa, przybierała coraz większe rozmiary, aż wreszcie rozlała się zbyt szeroko, by można było nad nią panować.

Poddany zaczął uważać, że pan „widzialny” jest mu dalszy niż nowy, „niewidzialny”. Niewolnik przekształcił się w chłopca pańszczyźnianego, tzn. można go było uwięzić, ale nie można było usunąć go poza nawias. Skoro już raz zaczął należeć do ziemi, w krótkim czasie ziemia zaczęła należeć do niego. Nawet stara i niezbyt precyzyjna mowa tych, którzy niewolników traktowali jak bydło, rozróżniała między człowiekiem, który jest krzesłem, a człowiekiem, który jest domem. Kanut mógł domagać się tronu dla siebie, jeśli jednak pragnął zasiąść w swej sali tronowej, musiał iść i zająć go sam. Podobnie mógł powiedzieć swemu niewolnikowi, by się wynosił, swemu poddanemu jednak mógł tylko kazać zostać.

Tak więc obie powolne przemiany tych czasów zmierzały do przekształcenia narzędzia w człowieka. Człowiek ten zaczął się zakorzeniać, a wszystko, co ma korzenie, uzyskuje również z czasem prawa.

Schyłek Rzymu pociągnął za sobą wszędzie de-cywilizację, upadek literatury, prawa, dróg i środków komunikacyjnych oraz przerost regionalizmu w samowolę. Na krańcach cesarstwa ta de-cywilizacja przeszła jednak w zdecydowane barbarzyństwo na skutek bliskości dzikich sąsiadów, gotowych niszczyć na ślepo, podobnie jak ogień niszczy martwe przedmioty. Poza apokaliptycznym nalotem szarańczy w postaci Hunów – byłoby przesadą mówić nawet w tych najciemniejszych wiekach o potopie barbarzyńców, przynajmniej jeśli chodzi o cały świat starej cywilizacji. Jednakże nie popełnimy przesady mówiąc o powodzi barbarzyńców w odniesieniu do zdarzeń na niektórych krańcach cesarstwa, na takich skrajach znanego świata, od których opisu zaczęliśmy tę książkę. A na samym właśnie skraju świata leżała Brytania.

Możliwe, choć mało jest na to dowodów, że cywilizacja rzymska pokrywała Brytanię warstwą cieńszą niż inne prowincje, była to jednak wysoce cywilizowana cywilizacja. Ogniskowała się ona dokoła wielkich miast, takich jak York, Chester, Londyn, gdyż miasta są starsze od hrabstw, a nawet starsze od państw. Miasta te połączone były siecią wielkich gościńców, które były i są kośćcem Brytanii. W miarę jednak słabnięcia Rzymu kościec ten zaczął trzeszczeć pod naciskiem barbarzyństwa.

Na początek natarli od północy Piktowie, mieszkający na obecnym tzw. Niżu Szkockim. Cały ten oszołamiący okres pełen jest krótkotrwałych sojuszów między szczepami, przy czym pieniądź grał wielką rolę – opłacano barbarzyńców, by napadali, i opłacano ich, by sobie szli. Wydaje się pewne, że w tym zamieszaniu rzymska Brytania zapłaciła za pomoc mało okrzereanych ludów żyjących w tej szyi Danii, w której leży obecnie księstwo Szlezwiugu.

Sprowadzeni po to, by walczyć z jedną stroną, walczyli naturalnie ze wszystkimi. Nastąpiło stulecie walk, pod których ciosami bruk rzymski pokruszył się na jeszcze mniejsze kawałki. Można się chyba nie zgadzać z twierdzeniem historyka Greena, że dla dzisiejszego Anglika nie powinno być miejsca świętszego niż to miejsce w pobliżu Ramsgate, na którym wylądowali ludzie z Szlezwiugu, lub z twierdzeniem, że pojawienie się tych ludzi stanowi faktyczny początek naszych dziejów wyspiarskich. Będziemy bliżsi prawdy mówiąc, że sprowadziło to nieomal ich przedwczesny koniec.

III. Wiek legend

Czytając sobie spokojnie prozaiczną powieść współczesną, która gdzieś w środku przeszłaby nagle w baśń, poczulibyśmy się zaskoczeni. Zdziwiłoby nas, gdyby jakaś stara panna, zamiótszy pokój miotłą, odfrunęła na niej. Zastanowiłoby nas również, gdyby bohaterka powieści, która spotkała przed chwilą na ulicy oficera dragonów, poszła parę kroków dalej i spotkała smoka. A jednak coś podobnie niezwykłego zachodzi w Brytanii pod koniec jej czysto rzymskiego okresu. Mamy tam do czynienia z suchymi i rzeczowymi sprawozdaniami o obozach wojennych i sztuce inżynierskiej, o funkcjonowaniu urzędów i okazyjnych wojnach na pograniczu, zupełnie współczesnych w swej mieszaninie sprawności i bezhołwia. Potem, całkiem niespodzianie, zaczynamy czytać o wędrujących dzwonach i zaczarowanych włóczykach, o wojnach przeciw mężom wysokim jak drzewa czy też małym jak muchomory. Obrońca cywilizacji nie walczy już teraz z Gotami, lecz ze złośliwymi karłami. Kraj staje się labiryntem miast z bajki, nieznanym w

dziejach, a uczeni mogą się domyślać, lecz nie umieją wytłumaczyć, jakim sposobem rzymski wódz, czy też może walijski naczelnik plemienia, wyrasta w półmroku jako straszliwy jak bóg a niepoczęty przez nikogo – Artur. Po epoce wiedzy następuje epoka mitów. Jeden przykład, którego echa pobrzmiwały jeszcze długo bardzo w angielskiej literaturze, może nam posłużyć do zobrazowania tego kontrastu. Przez długi czas uważano, że państwo, które Cezar zastał w Brytanii, założone zostało przez Brutusa. Kontrast między tym pierwszym, bardzo suchym odkryciem, a tą drugą, bardzo fantastyczną legendą jest zdecydowanie śmieszny – tak jakby Cezarowe „I ty, Brutusie?” można było przetłumaczyć na „Co, i ty tutaj?” Pod jednym jednak względem bajka jest prawie tak samo ważna jak fakt. I bajka, i fakt dowodzą bowiem rzeczywistości rzymskich fundamentów pod naszym wyspiarskim społeczeństwem, wykazując, że nawet baśnie, wyglądające na prehistorię, są rzadko prerzymskie. Gdy Anglia była krajem baśniowych elfów, elfowie nie byli Anglami. Wszystkie wyrażenia, które mogą nam służyć za nici przewodnie po labiryncie tradycji, są mniej lub więcej zaczerpnięte z łacińskiego słownika. W całej zaś naszej mowie nie ma słowa bardziej rzymskiego niż słowo „romans”.

Legiony rzymskie opuściły Brytanię w wieku czwartym. Nie znaczy to, że opuściła ją cywilizacja rzymska, znaczy to jednak niewątpliwie, że cywilizacja ta stała się od tej chwili znacznie bardziej narażona na obce domieszki i napaści. Chrześcijaństwo przyszło do Brytanii prawie na pewno nie inaczej niż drogami wytyczonymi przez Rzym. Z pewnością jednak przyszło ono na długo przed oficjalną misją Grzegorza Wielkiego. Na pewno utonęło prawie zupełnie w późniejszych inwazjach pogańskich na niebronio – ne wybrzeża. Na tej podstawie można się logicznie upierać, że i samo cesarstwo, i nowa religia trzymały się w Brytanii słabiej niż gdzie indziej i że ogólny obraz cywilizacji wyspy brytyjskiej, podany w rozdziale ostatnim, jest mało trafny. Nie to jednak jest istotą tego zagadnienia.

Dla zrozumienia całości tego okresu należy pojąć jeden zasadniczy fakt. Żeby go pojąć, człowiek współczesny musi niemal do góry nogami wywrócić swój umysł. Każdy prawie współczesny człowiek kojarzy w swej głowie wolność z przyszłością. Cała kultura naszych czasów pełna jest pojęcia „nadchodzących dobrych czasów”. Tymczasem cała kultura Ciemnych Wieków pełna była pojęcia „odchodzących dobrych czasów”. Ludzie ówczesni patrzyli wstecz na dawne oświecenie, a wprzód na nowe przesady. W naszych czasach doszło do sporu między wiarą a nadzieją, sporu, który prawdopodobnie tylko miłość będzie musiała wyrównać. Oni natomiast byli w odmiennym położeniu. Żywili wprowadzili nadzieję – można jednak powiedzieć, że żywili nadzieję wsteczną. Wszystkie motywy czyniące dziś człowieka postępowym, czyniły go wówczas zachowawczym. Im więcej z przeszłości udało mu się utrzymywać, tym bardziej uczciwe były jego prawa i tym więcej miał wolności w państwie, im większe ustępstwa czynił na rzecz przyszłości, tym więcej musiał cierpieć od ignorantów i uprzywilejowanych. Wszystko, co rozumiemy pod słowem „rozum”, pokrywało się wówczas z tym wszystkim, co zwiemy dziś reakcją. To właśnie stanowi klucz do zrozumienia żywotów wszystkich wielkich mężów Ciemnych Wieków: Alfreda, Bedy, Dunstana. Gdyby najskrajniejszego współczesnego republikanina cofnąć w ten okres, byłby on skrajnym papistą czy nawet imperialistą. Papież stanowił bowiem wówczas jedyną pozostałość po imperium, a imperium jedyną pozostałość po republice.

Stąd też człowieka ówczesnego możemy porównać do kogoś, kto zostawia za sobą wolne miasta i otwarte pola i musi iść naprzód w kierunku lasu. Las stanowi tu najodpowiedniejszą przenośnię, nie tylko dlatego, że była to rzeczywiście dzika europejska puszcza, przecięta tylko tu i ówdzie rzymskimi gościńcami, ale ponieważ z lasem kojarzyła się zawsze inna idea, która rosła w miarę, jak rozkładał się rzymski porządek. Ideą lasów były czary. Łączyło się z nimi pojęcie rzeczy dwojących się lub różnych od siebie samych oraz zwierząt zachowujących się jak ludzie, a nie, jakby wyraził się dzisiejszy satyryk, ludzi zachowujących się jak zwierzęta. Jest rzeczą jak najbardziej konieczną, żeby w tym miejscu – dokładnie w tym miejscu – przypomnieć, iż wiek rozumu poprzedził wiek czarów. Centralną kolumną, podtrzymującą wielopiętrowy gmach naszej wyobraźni, będzie od tego czasu cywilizowany rycerz wśród barbarzyńskich uroków czarnoksiężskich. Będą to przygody człowieka zachowującego ciągle jeszcze zdrowe zmysły w zwariowanym świecie.

A oto następna rzecz godna uwagi w tej sprawie: w tych barbarzyńskich czasach żaden z bohaterów nie jest barbarzyńcą. Są oni bohaterami tylko wtedy, kiedy zwalczają barbarzyństwo. Ludzie rzeczywiści lub mityczni, a raczej oba te rodzaje równocześnie, stali się wszechobecni wśród ludu jak bogowie, wtargnęli w najślabszą pamięć ludzką i najkrótszy zapisek dokładnie w takim stopniu, w jakim udało im się opanować pogański szal owych czasów i zachować chrześcijański racjonalizm, który przyszedł z Rzymu. Artur zawdzięcza swój rozgłos zabijaniu pogan, poganie, którzy go zabili, pozostali natomiast nieznani. Anglicy, niewiedzący nic o dziejach Anglii, a mniej niż nic o dziejach Irlandii, słyszeli jednak to i owo o Brian Boru, choć piszą to „Boroo” i wydaje się im, że chodzi tu o jakiś żart. Jest to jednak żart, którego subtelną nigdy nie mogliby się cieszyć, gdyby król Brian nie był złamał irlandzkich pogan w wielkiej bitwie pod Clontarf. Przeciętny czytelnik angielski również nigdy nie słyszałby o Olafie norweskim, gdyby ten nie był „głosił Ewangelii mieczem”, ani o Cydzie, gdyby ów nie zwalczał półksiężycy. I choć wydaje się, że Alfred Wielki zasługiwał na swój przydomek nawet jako osobowość, przyznać jednak trzeba, iż nie dorastał do zadań, które miał wykonać.

Nie da się obalić paradoksu, że Artur jest bardziej rzeczywistą postacią od Alfreda. Wiek ten był bowiem wiekiem legend. W stosunku do tych legend większość ludzi przybiera instynktownie postawę rozsądną. Mając do wyboru między łatwowiernością a niedowiarstwem, łatwowierność będziemy niewątpliwie uważali za znacznie rozumniejszą postawę. Jest bowiem mało istotne, czy większość tych baśni była prawdziwa, a (w wypadkach takich, jak np. z Baconem i Szekspirem) uprzytomnienie sobie, że sprawa jest nieistotna, stanowi pierwszy krok do prawidłowej odpowiedzi. Zanim jednak czytelnik odrzuci próbę odtwarzania najwcześniejszych dziejów naszego kraju na podstawie jego legend, zrobi dobrze pamiętając o dwu zasadach zmierzających do uniknięcia niedowarzonego i bezmyślnego sceptycyzmu, który tak bardzo wyjąłową tę część dziejów.

Dziejopisarze dziewiętnastego wieku przyjęli dziwaczną zasadę wyrzucania z historii wszelkich postaci, o których opowiadane są baśnie, a skupiania uwagi na ludziach, o których nie opowiada się niczego. Tak więc osobowość Artura zaciera się zupełnie, jako że wszelkie legendy stanowią rzekomo kłamstwa, natomiast postać Hengista urasta do rozmiarów wcale wybitnej osobistości po prostu dlatego, że nikt ze współczesnych nie uważał go za osobę na tyle znaczną, by na jego temat warto było kłamać. To są kpiny ze zdrowego rozsądku. Talleyrandowi przypisuje się mnóstwo dowcipnych powiedzeń, które w rzeczywistości pochodziły od innych ludzi. Nie przypisano by ich jednak jemu, gdyby był głupcem, a tym bardziej, gdyby był postacią z baśni. Fakt, że na czyjś temat opowiada się historie zmyślane, stanowi w dziewięciu wypadkach na dziesięć doskonały dowód, że rzeczywiście istniał ktoś, o kim można było bąać. Niektórzy ludzie zgadzają się wprawdzie na to, że działy się rzeczy cudowne i że żył może nawet człowiek imieniem Artur w czasie, kiedy się te rzeczy działy. Tu jednak, przynajmniej jeśli idzie o mnie, zróżnicowanie to staje się nieco mgliste. Nie rozumiem postawy, która utrzymuje, że istniała wprawdzie jakaś Arka i człowiek nazwiskiem Noe, ale nie było Arki Noego.

Należy również wziąć pod uwagę fakt, że w ostatnich paru latach badania naukowe posuwają się stale w kierunku potwierdzającym prawdziwość ludowych opowieści. Przytoczmy choćby taki oczywisty przykład: nowocześni odkrywcy z nowoczesnymi łopatami znaleźli solidny labirynt kamienny na Krecie, taki sam, jaki figurował w opowieści o Minotaurze, którą uważano za bajkę równie mglistą, jak opowieść o Chimerze. Większości ludzi wyda się to podobnie sensacyjne, jak wykrycie szkieletów w komodzie Sinobrodego. A jednak jest to fakt. Wreszcie należy tu przypomnieć prawdę, o której mało kto pamięta przy rozważaniach o przeszłości. Chodzi o paradoks, że przeszłość jest zawsze żywa: nie żyje jednak to, co było, lecz tylko to, co wydaje nam się, że było; cała bowiem przeszłość jest częścią naszych wierzeń. W co wierzyli nasi ojcowie na temat swych ojców? W takich sprawach nowe odkrycia są bezużyteczne dlatego właśnie, że są nowe. Ludzie mogli się mylić myśląc, że byli tacy a nie inni, nie możemy jednak uważać, że się mylili myśląc, że myśleli tak a nie inaczej. Będzie więc bardzo pożyteczną rzeczą spróbować – jeśli się da – wyrazić w paru słowach to, co mieszkaniowiec wysp brytyjskich mógłby powiedzieć w Ciemnych Wiekach o swych przodkach i swoim dziedzictwie. Spróbuję tu ułożyć kolejność ważności niektórych prostszych rzeczy tak, jak ten człowiek by je widział. Jeśli chcemy zrozumieć

naszych ojców, którzy pierwsi uczynili ten kraj takim, jakim dziś jest, powinniśmy koniecznie pamiętać, że jeśli nie była to nawet ich rzeczywista przeszłość, to były to ich rzeczywiste wspomnienia.

Po tej Błogosławionej Zbrodni, jak ją zwali mistycy, zbrodni, która dla tych ludzi nie ustępowała w doniosłości stworzeniu świata, św. Józef z Arymatei, jeden z niewielu bogatych wyznawców nowej religii, wyruszył na morza jako misjonarz i po długich podróżach przybył do tego mrowia niedużych wysp, przypominających ludziom śródziemnomorskim jak gdyby ostatnie chmury na tle zachodzącego słońca. Wylądował on na zachodnim, dzikim obszarze tego dzikiego, zachodniego kraju i dostał się w dolinę, która we wszystkich najstarszych zapiskach figuruje pod nazwą doliny Avalon. Może rześiste deszcze i ciepło na jej skłonionych ku zachodowi łąkach, a może jakieś zapomniane podania pogańskie powodowały, że uchodziła ona za pewnego rodzaju raj na ziemi. Tutaj, jakby do nieba, niesiono Artura zabitego w Lyonese. Tam nasz pielgrzym wbił swą laskę w ziemię, wypuściła ona korzenie i wyrosła w drzewo, które zakwita na Boże Narodzenie.

Chrześcijaństwo od samego swego zarania nacechowane było mistycznym materializmem, jego prawdziwą duszą było ciało. Przeciw stoickim systemom filozoficznym i wschodnim preczeniom, będącym najwcześniejszymi wrogami chrześcijaństwa, walczyło ono zacięcie o nadnaturalne prawo do leczenia uchwytanych chorób uchwytymi lekami. Stąd rozpowszechnianie relikwii równało się rozrzucaniu zasiewnego ziarna. Ci wszyscy, którzy powołanie swe zawdzięczali Boskiej tragedii, nieśli z sobą dotykalne szczątki, które stały się załączkami kościołów i miast. Kielich, do którego nalano wino na Ostatniej Wieczery i do którego spłynęła krew przy Ukrzyżowaniu, przywieziony został przez św. Józefa do świątyni w dolinie Avalon, zwanej obecnie Glastonbury. Dokoła tego kielicha osnuł się cały świat legend i romansów na użytek nie tylko samej Brytanii, lecz całej Europy. W potężnej i rozgałęzionej tradycji kielich ów nosi miano świętego Graala. Ujrzenie go było nagrodą tego grona pobożnych paladynów, których król Artur gościł przy Okrągłym Stole, sam zaś stół był symbolem bohaterskiego koleżeństwa, naśladowanego następnie – czy też może wynalezionej – przez średniowieczne rycerstwo. Zarówno kielich, jak i stół mają olbrzymie symboliczne znaczenie dla zrozumienia psychologii epoki rycerskiej. Okrągły Stół wyraża bowiem nie tylko ideę powszechności, ale i równości. Jest to ta sama idea, która wyraża się w słowie „peers”¹ określającym rycerzy Karola Wielkiego. Zachodzi jedynie ta różnica, że Okrągły Stół jest podobnie romański jak okrągły łuk, który tak samo może służyć za pierwowzór, gdyż król nie był tu już tylko barbarzyńskim głazem, zwalonym po prostu na inne, lecz był raczej zwornikiem łuku. Do tej tradycji równego dostojenstwa doszło jednak również coś niezmiernie, coś, co pochodziło z Rzymu, lecz zeń się nie wywodziło: przywilej obalający wszystkie inne przywileje; widzenie nieba, które zdawało się niemal tak kapryśne, jak zdarzenie z bajki; kielich unoszący się w powietrzu, który pozostał niewidoczny oczom największego z bohaterów, ukazał się natomiast pewnemu rycerzowi, będącemu jeszcze prawie dzieckiem.

Słusznie czy niesłusznie, ten romans pasował Brytanię na długie wieki na kraj z przeszłością rycerską. Kraj ten był niegdyś zwierciadłem, w którym przeglądało się rycerstwo całego świata. Ten fakt, czy też to urojenie, ma ogromne znaczenie dla wszystkich dalszych spraw, a w szczególności dla sprawy barbarzyńców. Legend tych, jak również niezliczonych innych legend miejscowych, nie możemy dziś dojrzeć poprzez gąszcz ludowych baśni, które z nich wyrosły. Tym trudniejsza z tym sprawa dla poważnego współczesnego umysłu, że ojcowie nasi czuli się jeszcze bliscy tych opowieści i pozwalali sobie z nimi na różne poufałości. Zapewne wiersz:

Gdy dobry król Artur rządził naszym krajem,

Był to szlachetny król,

Ukradł trzy garnce mąki jęczmiennej...

jest znacznie bliższy tonacji prawdziwie średniowiecznej niż arystokratyczne dostojenstwo

¹ Słowa peers używa się dziś w potocznej mowie angielskiej na określenie lordów; wywodzi się ono od łacińskiego słowa pares, tj. równi (przyp. tłum.).

Tennysona. Na tle tych dziwactw wyobraźni ludowej należy pamiętać o jednej jeszcze sprawie, a powinni pamiętać o niej szczególnie ci, którzy chcieliby opierać się wyłącznie na dokumentach, nie zwracając w ogóle uwagi na tradycję. Wprawdzie skutki dawania wiary wszystkim babskim opowieściom byłyby niesamowite, byłyby jednak mniej niesamowite niż błędy wynikające z dowierzania dowodom pisany tam, gdzie jest ich zbyt mało. A przecież wszystkie źródła pisane odnoszące się do pierwszych okresów naszych dziejów zmieściłyby się w małej książeczce. Jest w nich bardzo niewiele szczegółów, a żaden nie został objaśniony. Fakt zaś podany w oderwaniu od innych, bez klucza współczesnej myśli, może wprowadzić w znacznie gorszy błąd niż jakakolwiek bajka. Znać słowo napisane przez archaicznego skrybę, nie mając pewności, co on miał na myśli, może doprowadzić do skutków dosłownie wariackich. Tak więc np. nie byłoby mądrze rozumieć dosłownie opowieść, że św. Helena nie tylko pochodziła z Colchester, lecz była również córką starego króla Cole'a². Takie rozumienie nie byłoby jednak bardzo niemądre, a w każdym razie byłoby mniej niemądre niż niektóre wnioski wyprowadzane z dokumentów. Mieszkańcy Colchesteru na pewno czcili św. Helenę i mogli mieć króla imieniem Cole. Według poważniejszego opowiadania, ojciec świętej był karczmarzem, jedyny zaś wzmiankowany na piśmie czyn Cole'a – mieści się zupełnie w ramach tego zawodu. Byłoby to jednak znacznie mniej niemądre niż wywnioskowanie ze źródeł pisanych, jak to może uczyni jakiś przyszły komentator, że mieszkańcy Colchesteru byli ostrzygami³.

IV. Klęska barbarzyńców

Dziwny przypadek sprawił, że słowa „krótkowzroczny” używamy w znaczeniu ujemnym, w przeciwieństwie do słowa „dalekowzroczny”, którego należałoby zapewne używać w znaczeniu pochlebnym, choć zarówno jedno, jak i drugie określa schorzenie wzroku. Karcąc małoduszną współczesność, słusznie powiadamy, że obojętność na to wszystko, czego uczą dzieje, dowodzi krótkowzroczności. Równie katastrofalna jest jednak dalekowzroczność, polegająca na ograniczaniu zainteresowań tylko do prehistorii. Ta zaś katastrofa dotknęła dużej części naszych uczonych, którzy błądzą po omacku w mrokach epok nieobjętych pisanymi dokumentami i szukają w nich pierwocin ulubionej rasy czy też ras. Wojny, podboje, prymitywne obyczaje małżeńskie, olbrzymie wędrówki ludów i masakry, na których opierają się ich teorie – nie figurują ani w historii, ani nawet w legendzie. Toteż zamiast prostodusznie ufać tym teoriom, byłoby nieskończenie mądrzej zaufać najmniej sprawdzonym i najbardziej lokalnym legendom. W każdym razie warto zapamiętać tak prosty nawet wniosek, że to, co jest prehistoryczne – jest niehistoryczne.

Jest jeszcze inny sposób, w jaki zdrowy rozsądek mógłby na trzeźwo rozważyć pewne cudowne teorie rasowe. Wracając do poprzedniej figury stylistycznej, wyobraźmy sobie, że uczeni historycy zechcieliby tłumaczyć epokę historyczną opierając się na hipotezie prehistorycznego podziału na ludzi krótkowzrocznych i dalekowzrocznych. Będą przytaczać przykłady oraz ilustracje, będą na pewno wyjaśniać wspomnianą już dziwaczność języka jako dowód, że ludzie krótkowzroczni byli rasą podbitą i stąd ich nazwa jest określeniem pogardliwym. Wymalują niesłychanie plastyczny obraz brutalnych walk pomiędzy pierwotnymi szczepami. Wykażą, jak to w walkach wręcz – na miecze czy też na topory – ćwiartowano dalekowzrocznych ludzi dotąd, dopóki – po wynalezieniu łuków i strzał – przewaga nie przesunęła się na korzyść dalekowzrocznych, którzy z kolei wystrzelali swych adwersarzy jak bydło. Łatwo mógłbym na ten temat krwawą opowieść napisać lub – łatwiej jeszcze – wykoncypować jakąś krwawą teorię antropologiczną. Zgodnie z tezą sprowadzającą wszelkie przemiany moralne do przemian

² Zgodnie ze starą angielską rymowanką, król Cole w środku nocy zażądał fajki i trzech skrzypków, aby mu przygrywali.

³ Jednym z cenionych w Anglii gatunków ostrzygi jest „Colchester native oyster”, co znaczy dosłownie „ostrzyga będąca rdzennym mieszkańcem Colchesteru”.

materialnych uczeni „kadłubkowi” mogliby wyjść tradycyjny przesąd, iż starzy ludzie – ze względu na dalekowzroczność – stają się konserwatystami w swych politycznych przekonaniach. Wydaje mi się jednak, że w tej teorii jedna rzecz mogłaby nas zaskoczyć, a nawet – jeśli to w ogóle możliwe – zaskoczyć samych kadłubków. Dajmy na to, że ktoś zwróciłby uwagę, iż przez całe trzy tysiące lat historii, opartej o pisane źródła oraz obfitującej w literaturę wszelkiego możliwego kalibru, nie było ani jednej wzmianki o tej okulistycznej kwestii, w imię której ryzykowano wszystko i wszystko robiono. Przypuśćmy, że żaden z żywych czy umarłych języków ludzkości nie posiadał słowa na określenie „dalekowzroczności” czy też „krótkowzroczności”. Przypuśćmy – krótko i wężłowato – iż tego zagadnienia, które rozdarło świat na dwoje, nikt w ogóle nigdy nie wysunął, dopóki gdzieś około roku 1750 nie napomknął o nim pewien wytwórca okularów. Myślę, że w tym wypadku trudno by nam było uwierzyć, iż ta fizyczna różnica odegrała tak fundamentalną rolę w dziejach ludzkości. A tak przecież, kropka w kropkę, ma się sprawa, jeżeli idzie o fizyczne różnice pomiędzy Celtami, Teutonami i Latynami.

Nie znam żadnego sposobu, w jaki przedstawicielom jasnowłosej rasy można by przeszkodzić, żeby się nie kochali w reprezentantach rasy czarnowłosej. Nie sądzę również, żeby kwestia okrągłości czy długości głowy robiła kiedyś wielką różnicę osobnikowi, któremu chęć przysła czyjs czerep rozłupać. Według wszystkich doczesnych pozorów, doczesnych zapisków, doczesnych doświadczeń – wydaje się, iż ludzie zabijali lub oszczędzali się wzajemnie, żenili się lub nie żenili, robili z innych królów lub niewolników – ze względu na prawie wszystkie inne względy, a nie właśnie na ten jeden wzgląd. W grę wchodziła miłość rodzinnej wsi czy doliny, siedziby czy rodziny. W grę wchodził entuzjazm wobec jakiegoś księcia panującego i jego dziedzicznej władzy, w grę wchodziły namiętności korzeniami tkwiące w miejscowości zamieszkania, temperament właściwy ludziom morza czy też góralom, w grę wchodziły historyczne wspomnienia jakiejś sprawy czy też jakiegoś przymierza. Ponad wszystko jednak w grę wchodziła potężna próba religii. Zagadnienie takie, jak sprawa Celtów i Teutonów, obejmująca swym zasięgiem pół świata, albo było niewielkie, albo też nie było go w ogóle. Rasa nie tylko nie była nigdy – w żadnym z podanych przykładów – pobudką działania, ale nawet pozorem. Teutonowie nie mieli nigdy własnej religii, nie mieli własnej idei, a dopiero przed niewielu laty zaczęli kształtować pewnego rodzaju nabożną hipokryzję.

Wybitny ortodoksyjny historyk współczesny Green utrzymuje, że szczególną cechą Brytanii był fakt, że spośród wszystkich rzymskich prowincji ona jedna została całkowicie oczyszczona i na nowo zaludniona przez germańską rasę. Żeby uciec przed dziwacznością tego faktu, Green nie przyjmuje możliwości, że fakt ten nie miał w ogóle miejsca. W tym samym duchu omawia on te skromniutkie źródła, które można przytoczyć, jeśli idzie o teutońską organizację społeczną. Ów sielankowy obraz malowany jest drobnymi pociągnięciami pędzla, które obudzą wątpliwości nawet u amatora. Tak więc teutońskie rysy przedstawi określeniem takim: „Podstawą ich organizacji społecznej był wolny człowiek”. Rzymian zaś charakteryzuje w ten sposób: „Kopalnie, jeśli praca w nich była przymusowa, musiały być ustawicznym źródłem ucisku”. Z prostego faktu, że zarówno Rzymianie, jak i Teutonowie posiadali niewolników, Green wyprowadza wniosek, iż pod uwagę należy wziąć jedynie teutońskiego „wolnego człowieka”, i to nie tylko wtedy, ale i dziś. Następnie jednak schodzi z tej drogi, żeby powiedzieć, że jeśli Rzymianie traktowali źle swych niewolników, to znaczy, iż niewolnicy byli w ogóle źle traktowani. Green daje wyraz dziwnemu rozczerowaniu, że Gildas, jedyny brytyjski kronikarz, nie opisuje doskonałego systemu społecznego Teutonów. Zdaniem Gildasa, które było modyfikacją powiedzenia Grzegorza Wielkiego – Teutonowie byli *non Angli sed diaboli*. Nowoczesny teutonista jest więc „rozczerowany”, że Gildas – jako autorytet owych czasów – nie widział w Teutonach niczego poza wilkami, psami i szczeniętami z psiarni barbarzyństwa. Fakt, że nie można było dopatrzeć się w nich niczego innego – da się jednak przynajmniej w pewnej mierze utrzymać.

Tak czy owak, kiedy św. Augustyn przybył do zbarbaryzowanego w większości kraju – w czasie drugiej z trzech wielkich wizytacji południowej Anglii (wizytacji, które dały naszym wyropom cywilizację) – nie dopatrywał się żadnych etnologicznych problemów w tym wszystkim, co było tam do oglądania. Ponieważ on i jego miejscowi konwertyci nawiązują ponownie łańcuch

pisanych dowodów historycznych, musimy patrzeć na ów świat ich oczyma. Św. Augustyn zastał jakiegoś króla, który panował nad prowincją Kent, poza którą leżały inne królestwa tych samych mniej więcej rozmiarów, wszystkie rządzone przez królów pogańskich. Imiona tych królów miały przeważnie brzmienie, które dziś zwiemy teutońskim. Jednakże ci, którzy pisali ówczesne kroniki, poświęcone niemalże wyłącznie żywotom świętych, nie mówili, a jak się zdaje, nawet nie pytali, czy ludność Brytanii była krwi mieszanej. Jest co najmniej możliwe, że i tu, podobnie jak na kontynencie, królowie i ich dwory stanowili jedyny prawie element teutoński. Chrześcijanie znaleźli ludzi do nawracania, znaleźli patronów, znakli prześladowców, nie znaleźli jednak dawnych mieszkańców Brytanii, ponieważ ich nie szukali – jeśli zaś poruszali się wśród czystych Anglosasów, nie mieli przyjemności wiedzieć o tym. Istotnie, wszystkie źródła historyczne dowodzą, że im bliżej Walii, tym większa była różnica w nastrojach. W rzeczy samej, jak to potwierdza cała historia, nastroje zmieniały się wraz ze zbliżaniem się ku granicom Walii. Cała historia potwierdza również fakt, że – nie biorąc pod uwagę różnic rasowych – zjawisko takie można zawsze zaobserwować na przejściu z kraju nizinnego do górzystego. Spośród wszystkich jednak rzeczy, które misjonarze zastali, rzeczą najważniejszą dla dziejów Anglii było stwierdzenie, że niektóre przynajmniej z tych królestw odpowiadały naturalnym podziałom ludności, istniejącym nie tylko wówczas, ale po dziś dzień. Northumbria jest nadal zjawiskiem bardziej realnym niż Northumberland. Sussex jest nadal Sussexem, Essex nadal Essexem. A to trzecie królestwo saksońskie, którego nazwy nie da się nawet znaleźć na mapie, królestwo Wessex, zwane jest West Country i jest do dziś najrealniejsze z nich wszystkich.

Ostatnim z królestw pogańskich, które przyjął Krzyż, była Mercja, odpowiadająca z grubsza temu, co zwiemy dziś Midlands. Niechrzczony jej król, Penda, osiągnął nawet pewną romantyczną sławę na skutek faktu, że był niechrzczony oraz na skutek najazdów i dzikich ambicji, które złożyły się na całość jego reputacji. W rezultacie jeden z owych mistyków, co to uwierzyłby we wszystko z wyjątkiem chrześcijaństwa, zaproponował, by w Ealing „kontynuować dzieło króla Pandy”, całe szczęście, że nie na szeroką skalę. Jest dziś rzeczą niemożliwą, a może i zbędną, dociekać, w co ten król wierzył lub w co nie wierzył, jednakże nie bez znaczenia jest fakt, iż centralnie położone królestwo Pandy było ostatnią stacją oporu.

Odosobnienie swoje zawdzięczali Mercjanie zapewne faktowi, że chrześcijaństwo rozprzestrzeniało się od wschodnich i zachodnich wybrzeży. Od wschodu było to oczywistym skutkiem misji św. Augustyna, która uczyniła już była z Canterbury duchową stolicę wyspy. Od zachodu natomiast na sile zyskiwały pozostałości dawnego chrześcijaństwa. Między oboma doszło do starcia. Nie na punkcie wiary, lecz obyczajów. W końcu przeważyli augustianie. Praca na zachodnich połaciach Brytanii była jednak już wtedy ogromna. Możliwe, że szczególne znaczenie miało posiadanie Glastonbury, które było jakby częścią Ziemi świętej. Poza Glastonbury leżała potęga jeszcze nawet wspanialsza i bardziej pociągająca. Oto w owym czasie na całą Europę promieniowała chwała złotego wieku Irlandii. Tamtejsi Celtowie byli klasykami sztuki chrześcijańskiej, zapoczątkowanej Księgą z Kells na czterysta lat przed narodzeniem tej sztuki. Tam chrzest całego narodu był spontanicznym świętem ludowym, o którym się czyta nieledwie jak o pikniku. Stamtąd to wychodziły tłumy entuzjastów Ewangelii, przypominających ludzi biegnących z dobrą nowiną. O tym powinniśmy pamiętać patrząc na trudne losy, które łączyły nas z Irlandią.

Podano w wątpliwość jedność narodową Irlandii, ponieważ od samego początku nie była ona jednością polityczną. Jeśli jednak Irlandia nie była jednym królestwem, była przynajmniej jednym biskupstwem. Irlandia nie została nawrócona, lecz stworzona przez chrześcijaństwo, tak jak się tworzy kościół z kamienia. Wszystkie jej części składowe złożył w jedną całość geniusz św. Patryka. Twór to był tym oryginalniejszy, że religia była tam samą tylko religią, bez urzędów świeckich. Irlandia nie była wprawdzie nigdy rzymska, zachowała jednak zawsze charakter romański.

Uwaga ta odnosi się również, choć w stopniu mniejszym, do tematu bliżej nas tu obchodzącego. Paradoksem owych czasów było to, że tylko sprawy nie z tego świata miały w ogóle jakieś doczesne znaczenie. Polityka była wówczas koszmarem, królowie byli niestali, królestwa

przesuwały się z miejsca na miejsce. Jedyнным stałym gruntem jest grunt poświęcony. Ambicje materialne są zawsze nie tylko bezowocne, ale i prawie zawsze niespełnione. Wszystkie zamki stają na lodzie, tylko kościoły stają na lądzie stałym. Tylko wizjonerzy są ludźmi praktycznymi, jak np. ci, którzy mieszkali w tej nadzwyczajnej instytucji, jaką był klasztor, instytucji, która pod wieloma względami miała się stać kluczem do naszych dziejów. Miał jednak nadejść czas, kiedy z korzeniami wyrwać go miano z naszego kraju, stosując dziwną a starannie obmyślaną metodę gwałtu. Z tego to powodu współczesny czytelnik angielski ma bardzo słabe wyobrażenie o klasztorze, a więc i o wiekach, w których klasztor pełnił swą misję. Mimo szczupłych rozmiarów tej pracy powiedzenie paru słów na temat zasadniczych założeń instytucji, jaką był klasztor, wydaje się więc nieodzowne.

W skład ogromnej spuścizny naszej religii wchodzi pewne ideały, które wydają się groźne i rze od bezbożnictwa. Dały one później bodziec do powstania skrajnych sekt, głoszących prawie nadludzką doskonałość natury człowieczej w pewnych sprawach, jak np. sekta kwaków, wyrzekających się prawa do samoobrony, czy też komunistów, odmawiających sobie wszelkiej własności osobistej. Słusznie czy niesłusznie – Kościół chrześcijański od samego początku odnosił się do tych wizji jako do szczególnych przygód duchowych, przytrafiających się ludziom awanturczym. Kościół pogodził je z naturalnym biegiem życia, nazywając je szczególnie dobrymi, nie przyznając jednak, że obojętność w stosunku do nich musi być rzeczą złą. Kościół stanął na stanowisku, że trzeba przeróżnych rodzajów gliny dla ulepienia świata, nawet jeśli to ma być świat religii, i dlatego z człowieka, który wolał chodzić bez broni, nie mieć rodziny czy własności, zrobił wyjątek potwierdzający regułę. Co zaś najciekawsze, człowiek ten rzeczywiście dowiódł słuszności owej reguły. Ów obłąkaniec, który nie chciał dbać o własne interesy, stał się właśnie człowiekiem interesu owej epoki. Już samo słowo „zakonnik” nosi w sobie zarodek rewolucji, oznacza bowiem początkowo samotność, a w końcu nabiera znaczenia społeczności – dziś można by powiedzieć: „usposobienia społecznego”. To, co zaszło, polegało na tym, iż życie w gromadzie stało się pewnego rodzaju rezerwatem i jakby schronieniem od życia indywidualnego. Stało się schroniskiem udzielającym wszelkiego rodzaju gościny. Zobaczmy później, jak tę samą funkcję wspólnego życia przydzielono gromadzkiej ziemi. Trudno znaleźć dla tej funkcji odpowiednie porównanie w naszych indywidualistycznych czasach, w życiu prywatnym większość z nas zna jednak instytucję przyjaciela rodziny, który pomaga jej przez to, że pozostaje poza nią, jak matka chrestna z bajki. Jest coś więcej niż żart w twierdzeniu, że mnisi i mniszki odgrywali w stosunku do ludzkości rolę jakby świątobliwej ligi ciotek i wujów. Komunałem stało się już twierdzenie, że robili oni wszystko, czego nikt inny nie chciał robić: że opactwa prowadziły kronikę świata, stawiały czoło plagom trapiącym ciało człowiecze, uczyły zasad techniki, przechowywały literaturę pogańską, a przede wszystkim stałymi dawkami miłosierdzia trzymały ubogich jak najdalej od ogarniającej ich w dzisiejszych czasach rozpacz. I my również uważamy dziś za konieczne posiadanie pewnej liczby filantropów, powierzamy jednak tę funkcję ludziom, którzy się wzbogacili, a nie ludziom, którzy się zubożyli. Zapominamy wreszcie o tym, że opatów i przeoryzów wybierano. Zakony wprowadziły pojęcie rządu reprezentującego rządzonych, nieznaną starożytności demokracji i będące samo w sobie ideą na pół sakramentalną. Gdybyśmy potrafili spojrzeć z zewnątrz na nasze własne instytucje, zobaczylibyśmy, że sam pomysł obrócenia tysięcy ludzi w jednego olbrzymiego człowieka, idącego do westminsterskiego parlamentu, jest nie tylko aktem wiary, ale również opowieścią z bajki. Sensownie napisane dzieje anglosaskiej Anglii byłyby prawie w zupełności dziejami jej klasztorów. Kształciły one i bogaciły kraj, każdą jego piędź i nieledwie każdego człowieka. Aż wreszcie, około początku dziewiątego wieku, przyszedł nagły zwrot i, wydawało się, w mgnieniu oka cała ich praca poszła na marne.

Zewnętrzny świat powszechnej anarchii, leżący poza obrębem chrześcijaństwa, wezbrał jeszcze jedną ze swych olbrzymich, nieledwie kosmicznych fal i zalał wszystko. Przez wschodnie bramy, otwarte przez pierwsze barbarzyńskie wojska zaciężne, wdarła się szarańcza dzikich żeglarzy z Danii i Skandynawii. Świeżo ochrzczonych barbarzyńców zalali barbarzyńcy niechrzczeni. Nie zapominajmy również, że przez cały ten czas mechanizm centralny rzymskiego ustroju rozkręcał się stopniowo, jak sprężyna w zegarze. Doprawdy, był to wyścig między energią

misjonarzy działających na krańcach cesarstwa a galopującym paraliżem jego stolicy. W dziewiątym wieku serce zatrzymało się w biegu, zanim ręce potrafiły temu zapobiec. Cała zakonna cywilizacja, która wyrosła w Brytanii, pod słabą opieką Rzymu, zginęła z braku ochrony. Dziecięce królestwa skłóconych Sasów rozleciały się w drzazgi. Guthrum, wódz piratów, zabił św. Edmunda, przybrał koronę Wschodniej Anglii, przyjął haracz od przerażonej Tercji i groźbą zawisł nad Wessex, ostatnim z krajów chrześcijańskich. Dalsza historia tej wojny to, strona za stroną, historia rozpaczki i zniszczenia, to długi szereg klęsk chrześcijan, przeplatanych zwycięstwami tak jałowymi, że były one jeszcze żałośniejsze od klęsk. Dopiero w jednym z tych pięknych, lecz bezowocnych zwycięstw pod Ashdown, ukazuje się nam po raz pierwszy na tle zamglonych zarysów tej walki, w roli tragicznej i drugoplanowej, postać, która miała związać swe imię z ostatecznym odwróceniem tej fali.

Zwycięski Alfred nie był jeszcze wówczas królem, lecz tylko młodszym bratem króla. Od samego początku z jego imieniem wiąże się pewna prostota, a nawet przypadkowość. Był wielkim nieukiem. Wczesny okres jego życia charakteryzuje się tym, że łączył wulgarną prawie trzeźwość i gotowość do nieustannych małych targów i zmiennych kombinacji, cechujących cały ten okres, z płomienną cierpliwością świętych z czasów prześladowań. Dla wiary zaryzykowałby on wszystko, gotów był handlować wszystkim, z wyjątkiem wiary. Był zdobywcą bez ambicji, autorem, któremu wystarczało być tłumaczem, prostym, skupionym, ostrożnym człowiekiem, czuwającym nad losem tej jednej rzeczy, którą pilotował śmiało a zarazem ostrożnie i którą udało mu się w końcu ocalić.

W chwili ostatecznego, zdawało się, triumfu i ustalenia się pogaństwa, Alfred zniknął. Istnieje przypuszczenie, że ukrywał się jak złoczyńca na samotnej wysepce w nieprzebranych mokradłach Parret, od strony tych dzikich krajów zachodnich, do których los zepchnął prymitywne szczepy. Jednakże Alfred, jak to sam napisał w słowach, które są wyzwaniem epoki, twierdził, że chrześcijanin nie powinien się troszczyć o swój los. Jeszcze raz zaczął ściągać ku sobie łuki i dzidy pobitych zaciężników z hrabstw zachodnich, a w szczególności mężów z Somerset i na wiosnę 878 roku rzucił się do natarcia na linie obronne przed obozem warownym Duńczyków w Ethandune. Jego nagłe natarcie uwieńczone zostało powodzeniem, jak pod Ashdown. Po nim nastąpiło oblężenie, które uwieńczone zostało powodzeniem w innym, szczególnym sensie. Oto Guthrum, zdobywca Anglii, i wszyscy jego znaczniejsi poplecznicy znaleźli się tu w potrzasku, toteż kiedy wreszcie poddali się, podbój duński się skończył. Guthrum przyjął chrzest, a traktat zawarty w Wedmore zapewnił uwolnienie Wessexu. Czytelnik dzisiejszy uśmiechnie się, czytając o chrzcie i zwróci swe zainteresowanie na postanowienia traktatu. I tu dzisiejszy czytelnik gruntownie się pomyli. Musi bowiem się pogodzić z częstym odwoływaniem się w tym rozdziale dziejów Anglii do czynnika religijnego, gdyż bez tego czynnika nie byłoby w ogóle żadnych dziejów Anglii. Świadczy o tym najlepiej sprawa Duńczyków. Jeżeli idzie o następstwa, chrzest Guthruma odgrywa rzeczywiście rolę ważniejszą niż traktat z Wedmore. Sam ten traktat był kompromisem, toteż nie utrzymał się i w sto lat później król duński Kanut rządził faktycznie całą Anglią. Choć jednak Duńczyk otrzymał koronę, nie pozbył się krzyża. Religijny szantaż Alfreda okazał się niemożliwy do obalenia. Sam zaś Kanut żyje dziś w pamięci ludzkiej tylko jako żywy dowód znikomości władzy czysto pogańskiej, jako król, który nałożył własną koronę na wizerunek Chrystusa i uroczyście poddał niebu skandynawskie imperium morza.

V. Sw. Edward i królowie normańscy

Zdziwić może czytelnika nieproporcjonalnie duże znaczenie, jakie przypisuję imieniu, które postawiłem na pierwszym miejscu w tytule niniejszego rozdziału. Umieściłem je tam, gdyż uważam to za najlepszy sposób podkreślenia na wstępie „praktycznej” części naszych dziejów – zjawiska dziwnego i trudnego do ujęcia, zjawiska, które najlepiej da się chyba określić jako siła królów słabych.

Byłoby rzeczą nieocenioną, gdybyśmy mogli mieć taką wyobraźnię, która pozwoliłaby nam nie tylko uczyć się, ale i... oduczyć. Poproszę więc teraz czytelnika, by zapomniał na chwilę o wszystkim, co dotąd w życiu czytał i czego się uczył w szkole i by popatrzył na monarchię

angielską tak, jak mu się ona wówczas ukaże. Niech mu się wyda, że wiadomości swe o dawnych królach zawdzięcza on, podobnie jak większość ludzi żyjących w mniej skomplikowanych czasach, opowieściom nianiek, nazwom miejscowości, kościołów oraz instytucji charytatywnych, baśniom z przydrożnych zajazdów i napisom nagrobkowym na cmentarzach. Przypuśćmy dalej, że człowiek taki będzie szedł jakimś zwykłym gościńcem angielskim, np. doliną Tamizy do Windsoru, lub też będzie zwiedzał jakieś stare ośrodki kultury, jak Oxford lub Cambridge. Jedną z pierwszych miejscowości, na które wówczas trafi, będzie – dajmy na to – Eton, odmieniony zaiste przez nowoczesną arystokrację, ale cieszący się nadal swym średniowiecznym bogactwem i pamiętający swe średniowieczne pochodzenie. Gdyby się nasz wędrowiec zapytał o to pochodzenie, nawet chłopiec ze szkoły arystokratycznej znalazłby zapewne na tyle historię, by mu powiedzieć, że Eton założone zostało przez Henryka VI. Gdyby poszedł następnie do Cambridge i zatrzymał swój wzrok na kaplicy kolegium, górującej wspaniale – jak katedra – nad wszystkimi innymi gmachami i zapytał o tę kaplicę, wyjaśniono by mu, że jest to Kolegium Królewskie. Gdyby zaś z kolei zapytał, którego króla, wymieniono by mu znowu Henryka VI. Gdyby jednak poszedł teraz do biblioteki i poszukał Henryka VI w encyklopedii, stwierdziłby, że ten legendarny olbrzym, który zostawił po sobie owe gigantyczne dzieła, był w historii ledwo dostrzegalnym karzełkiem. Wśród zmieniających się stale aktorów wielkiej kłótni politycznej on jest jedynym statystą. Zwalczające się klikę rzucają nim jak belą towaru. O jego życzenia, jak się zdaje, nawet nie pytano, a tym mniej je uwzględniano. A tymczasem jego prawdziwe życzenia znalazły wyraz w kamieniu i marmurze, w dębie i złocie – i przetrzymały wszystkie, najbardziej zwariowane rewolucje nowoczesnej Anglii, podczas gdy ambicje ludzi, którzy dyktowali mu swą wolę, uleciały z wiatrem, jak liście na jesieni.

Edward Wyznawca, podobnie jak Henryk VI, miał nie tylko słabe zdrowie, ale był nieomal idiotą. Powiadają, iż błąd był jak albinos, a strach przejmujący ludzi na jego widok przypominał w pewnej mierze uczucia, które budzi widok monstrualnego mentekaptusa. Jego chrześcijańskie miłosierdzie graniczyło z anarchią, a opowiadania o nim przywodzą na myśl chrześcijańskich obłąkańców z rosyjskich powieści anarchistycznych. Tak np. mówią o nim, że pomógł on zwykłemu złodziejowi w ucieczce na skutek gołosłownego twierdzenia, iż złodziej potrzebuje różnych rzeczy bardziej niż król. Opowiadanie takie stoi w dziwnej sprzeczności z tym, co opowiada się o innych krótkach, twierdząc, iż uważali oni kradzież za rzecz niedopuszczalną w granicach swoich dominiów. A jednak oba te typy królów mają później tych samych chwalców. To, co naprawdę przykuwa uwagę, to fakt, iż typ niedołężnego króla zbiera więcej pochwał. Dochodzimy do przekonania, że na dłuższą metę – dokładnie tak samo jak w wypadku ostatniego z Lancasterów – pochwały te posiadają bardzo praktyczne znaczenie. Jeśli bowiem przejdziemy od strony burzycielskiej wieków średnich do ich osiągnięć twórczych, dojdziemy do stwierdzenia, że wiejski półgłówek stał się później natchnieniem miast oraz systemów państwowych. Jego to pieczęć widnieje na czcigodnych fundamentach Opactwa Westminsterskiego. Zobaczymy, że normańscy zwycięzcy w godzinie triumfu pochylają czoła przed samym jego duchem. Gobelin z Bayeux, utkany rękami Normanów dla usprawiedliwienia normańskich roszczeń i uświetnienia normańskiego zwycięstwa, nie przypisuje Wilhelmowi Zdobywcy niczego poza jego zdobyczą i prostą historią osobistą, która usprawiedliwia tę zdobyczą. Opowieść urywa się nagle na przełamaniu szyków saksońskich w bitwie pod Hastings. Nad marami jednak, na których leży trup starego błazna, który poległ ni jednego ciosu nie zadawszy w bitwie, nad nim i tylko nad nim – ukazuje się z nieba ręka, jako deklaracja prawdziwego uznania potęgi, która rządzi światem.

Edward Wyznawca jest paradoksem pod wieloma względami. Szczególnie paradoksalna była fałszywa reputacja, jaką cieszył się wśród współczesnych sobie „Anglików”.

Jak już wspomniałem, mówić o Anglosasach jest rzeczą w pewnej mierze nierealną. Anglosas jest mitycznym, rozkraczonym olbrzymem, który zostawił jeden odcisk stopy w Anglii, a drugi w Saksonii. Istniało jednak społeczeństwo, a raczej szereg społeczności, żyjących w Brytanii przed Wilhelmem Zdobywcą, używających nazwisk, które zwiemy saskimi, i prawdopodobnie posiadających krew bardziej germańską, a z pewnością mniej francuską niż te same społeczności po Wilhelmie. Mają one w naszych czasach reputację będącą dokładną odwrotnością rzeczywistości. Wartość Anglosasa przesadzono, choć cnoty jego zapoznano. Uważa się, że krew anglosaska czyni

z nas ludzi praktycznych. W gruncie rzeczy Anglosas był beznadziejnie niepraktycznym typem, bardziej niż jakikolwiek Celt. Wpływ rasy „teutońskiej” ma być rzekomo zdrowy, czyli – co wielu ludzi uważa za to samo – pogański. W rzeczy samej „Teutonowie” byli mistykami.

Anglosasi zrobili jedną, i tylko jedną, rzecz całkowicie poprawnie. Byli bowiem przygotowani do tego, by zrobić ją całkowicie poprawnie. Mianowicie – ochrzczili Anglię. Ochrzczili ją, zanim się jeszcze narodziła. Jest jednak faktem pewnym i bijącym w oczy, iż dawnym Anglom nie udało się zrobić jednej rzeczy – stać się Anglikami. Stali się jednak na pewno chrześcijanami, a ponadto okazali szczególną skłonność do stawania się zakonnikami. Ludzie współcześni, którzy mętnie mówią o nich jako o naszych dzielnych przodkach, nigdy nie doceniają prawdziwych usług, które nam oddali otwierając nasze dzieje legendą o czasach niewinności i zaczynając wszystkie nasze kroniki od złotego inicjału jakiegoś świętego. Garnąc się do zakonów, przysłużyli się nam w wielu niesłychanie cennych i wyjątkowych rolach – najmniej jednak chyba w roli przodków.

Wzdłuż północnego wybrzeża Francji, tam, gdzie Edward Wyznawca spędził swoje najmłodsze lata, rozciągały się posiadłości księcia Normandii, jednego z najmożniejszych wasalów króla Francji. I on, i jego lud, jeden z najbarwniejszych i najciekawszych w dziejach Europy, stanowią dla większości z nas przedmiot mętnych i niedorzecznych sporów, które dla nich samych byłyby zupełnie niezrozumiałe. Najgorszy zaś jest głupawy pomysł robienia z arystokracji angielskiej – w okresie jej wielkości w ostatnich trzystu latach – Normanów. Tennyson oświadczył pewnej lady nazwiskiem Vere de Verte⁴, że wiara prostaczków cenniejsza jest od krwi normańskiej. Jednak badacz historii, który jest w stanie uwierzyć, iż lady Clara miała w żyłach krew Normanów, musiałby sam mieć dużą dawkę wiary prostaczków. Jeśli idzie o ścisłość, twierdzenie to kłóci się z faktyczną rolą arystokracji w dziejach Anglii, jak to zobaczymy, gdy dojdziemy do omawiania politycznego planu Normanów. Za sprawą modnego widzimi się historycy nie zwracają uwagi na to, co było cechą Normanów najlepszą, tak samo jak i my stwierdziliśmy, że nie ma tego, co można by nazwać najlepszą cechą Saksonów. Nie wiadomo, czy mamy Normanom dziękować bardziej za ich pojawienie się, czy za ich zniknięcie. Niewielu filantropów wycofało się tak szybko w cień. Normański łowca przygód okrywa się chwałą nie lada, gdyż całym sercem rzuca się w niepewną sytuację, zawiera nie tylko swym towarzyszom broni, ale i poddanym, a nawet swym wrogom. Jest lojalny w stosunku do królestwa, którego jeszcze nie stworzył. W ten sposób Normandczyk Bruce stanie się Szkotem, a potomek normandzkiego rodu Strongbow – Irlandczykiem. Ludzi kalibru mniejszego od Normanów trudno by sobie wyobrazić w charakterze warstwy rządzącej aż po nasze czasy. Ta „zagraniczna”, awanturnicza lojalność Normanów, która pojawia się również w dziejach innych narodów – najsilniej chyba występuje w tych dziejach, które mamy śledzić na tym miejscu. Książę Normandii staje się istotnie rzeczywistym królem Anglii: jego powołanie się na Edwarda Wyznawcę, jego wybór przez Radę, nawet jego symboliczna garść ziemi z Sussex, nie były tylko czczyni formalnościami. Jesteśmy znacznie bliżsi prawdy zwąc pierwszym z Anglików Wilhelma, niż nazywając Harolda, poległego pod Hastings, ostatnim z nich – choć oba te twierdzenia nie są ścisłe.

Mglista dyskusja na temat mało znanych ras, które mieszały się rzekomo ze sobą w tej mało znanej epoce nie zostawiając nam dowodów historycznych, zbyt wiele buduje na faktach, że w normandzkie brzegi Francji, podobnie jak we wschodnie brzegi Anglii, głęboko przeniknęły normańskie najazdy z dziewiątego wieku i że jakoby książęcy dom normandzki oraz nieznanne nam bliżej inne rody wywodziły się ze Skandynawii. Niewątpliwą zdolność do przewodzenia innym oraz twórczość ustawodawczą Normanów, bez względu na to, kim oni byli, można z pewną słuszością tłumaczyć zastrzykiem świeżej krwi. Skoro jednak teoretycy rasowi posuwają się w swych rozważaniach aż do porównywania ras między sobą, to należy stwierdzić, iż zagadnienie to da się rozwiązać jedynie na podstawie badań tych dwu rasowych typów oddzielnie. Otóż okazało się, że więcej zdolności cywilizacyjnych wykazali Francuzi, niemający domieszki krwi skandynawskiej, niż Skandynawowie bez domieszki krwi francuskiej. Tyleż samo podbojów (a

⁴ Znany ród arystokratyczny Anglii (przyp. tłum.).

więcej jeszcze rządów) mają na swym rachunku Krzyżowcy, którzy nie byli nigdy Wikingami, co Wikingowie, którzy nie byli nigdy Krzyżowcami. W rzeczywistości nie ma najmniejszej potrzeby na taką krew psującą analizę. Na prawdziwą wartość skandynawskiego wkładu zarówno do francuskiej, jak i angielskiej kultury narodowej możemy się ochoczo zgodzić, pod warunkiem jednak, iż będziemy doskonale rozumieć fundamentalny fakt historyczny, że skandynawska kość księstwa normandzkiego była mniej więcej taka sama, jak skandynawskość miasta Norwich. Takie rozumowanie mieści w sobie jednak inne niebezpieczeństwo, może mianowicie spowodować przesadną ocenę osobistego wkładu Normanów. Choć mieli oni duże zdolności władcze, w dziejach figurują jednak jako słudzy szerszych spraw. Wylądowanie Lanfranca⁵ było datą ważniejszą może niż lądowanie Wilhelma. A Lanfranc był przecież Włochem – podobnie jak Juliusz Cezar. Normanowie nie są w dziejach zwykłym murem, brutalną granicą dokoła jakiegoś tam państwa. Normanowie są bramą. Przypominają jedną z tych bram, jakie pozostawili po sobie nietknięte – o okrągłym łuku, surowym rysunku i grubych kolumnach. Przez tę bramę weszła cywilizacja. Wilhelm z Falaise nosi w dziejach tytuł znacznie wyższy niż książę Normandii czy król Anglii. Był on tym, czym był Juliusz Cezar, i tym, czym był św. Augustyn: ambasadorem Europy w Brytanii.

Wilhelm twierdził, że Edward Wyznawca – co w sposób naturalny wynikało z jego normańskiego wychowania – obiecał władcy Normandii koronę angielską. Czy Edward uczynił to, czy nie – nie dowiemy się zapewne nigdy. Samo w sobie nie jest to zresztą ani niemożliwe, ani nawet nieprawdopodobne. Kto chciałby potępić taką obietnicę jako antypatriotyczną – o ile jej w ogóle udzielono – doszukiwałby się obowiązków, które sprecyzowano dopiero znacznie później, w zamieszaniu pierwszych czasów feudalnych. Z równym powodzeniem moglibyśmy potępić starożytnych Brytów za to, że nie śpiewali „Rule Britannia”. Wilhelm poparł swoje roszczenia oświadczeniem, że Harold, głowa saskiej szlachty i najprawdopodobniejszy pretendent do tronu, korzystając z gościny księcia Wilhelma po rozbiciu statku na wybrzeżu Normandii, zaprzysiął na święte relikwie nie sprzeciwiać się roszczeniom Wilhelma. Jeśli idzie o ten epizod, musimy przyznać, iż nic o nim nie wiemy. Musielibyśmy nie rozumieć jednak zupełnie ducha czasów, gdybyśmy twierdzili, iż nic on nas nie obchodzi. Element świętokradztwa, zawarty w rzekomym złamaniu przysięgi przez Harolda, skłonił zapewne papieża do poświęcenia sztandaru dla armii Wilhelma; nie wpłynęło to jednak na papieża silniej, niż musiało wpłynąć na lud, i to tyleż samo na lud Harolda, co na lud Wilhelma. Lud Harolda przeczył zapewne temu faktowi, to zaś przeczenie było pewnie powodem znamienego nacisku, z jakim gobelin z Bayeux podkreśla, że rzeczywiście zaszła zdrada. W tym miejscu warto zanotować fakt, który daje sporo do myślenia. Duża część tego słynnego gobelinu nie zajmuje się zupełnie głośnymi zdarzeniami dziejowymi. Zatrzymuje się tylko nieco na śmierci Edwarda, obrazuje trudności Wilhelma przy ścinaniu lasów dla budowy okrętów, jego kłopoty przy przeprawie przez kanał, a następnie w Hastings przy natarciu na górę, przy czym oddaje pełną sprawiedliwość stracącemu oporowi armii Harolda. Tego, co z punktu widzenia historii zasługuje na miano zdobycia, Wilhelm dokonał w rzeczywistości dopiero po wylądowaniu i pobiciu Harolda na wybrzeżu Sussexu. Dopiero w czasie tych późniejszych operacji wojennych widzimy zastosowanie nowych, naukowych metod militarnej sztuki kontynentu. Zamiast pójść prosto na Londyn, Wilhelm ominął go, przekroczył Tamizę pod Wallingford, odciął miasto od reszty kraju i zmusił je do poddania się. Następnie dał się wybrać na króla z całym ceremoniałem stosowanym w czasach pokojowych, po czym, po krótkim pobycie w Normandii, prowadził wojnę dalej, chcąc poddać swej władzy całą Anglię. Maszerując przez śniegi, spustoszył północne hrabstwa, zajął Chester i raczej stworzył nowe królestwo, niż zdobył stare. Tymi czynami położył podwaliny pod historyczną Anglię. Obrazy utkane na cześć jego dynastii milczą jednak o tych sprawach. Gobelin z Bayeux kończy swą opowieść przed podbojem normańskim, opowiada natomiast bardzo szczegółowo o pewnej mało ważnej wyprawie do Bretanii, jedynie po to, by móc ukazać Harolda i Wilhelma jako towarzyszy broni, szczególnie zaś po to, by móc odmalować sam akt, kiedy Wilhelm wręcza oręż Haroldowi. Jeśli idzie o związek nowych narodzin tej epoki z

⁵ Arcybiskup Canterbury, uczonec i mąż stanu, urodzony we Włoszech w pierwszych latach XI wieku (przyp. tłum.).

dawną symboliką oręża – szczegół ów posiada o wiele większe znaczenie, niż dzisiejszy czytelnik mógłby sobie wyobrazić. Jak już wspominałem, księżę Wilhelm był wasalem króla Francji – to zaś zdanie, wielokrotnie używane i nadużywane, stanowi klucz do zrozumienia świeckiej strony tych czasów. Bogiem a prawdą Wilhelm był wasalem mocno buntowniczym – i ta sama żyłka buntownicza odezwała się również w jego rodzinie: synowie jego, Rufus i Henryk I, narobili mu sporo kłopotów, mając wewnątrzpolityczne ambicje, sprzeczne z ambicjami ojca. Popełnilibyśmy jednak błąd pozwalając takim kłótniom, o charakterze czysto osobistym, przesłonić nam istnienie w tym kraju pewnego systemu. System ten istniał jeszcze przed podbojem, który go tylko uporządkował i utrwalił. Mówimy tu o systemie, który nazywamy feudalizmem.

Że feudalizm stanowił główną cechę wieków średnich, o tym wie każda pensjonarka, toteż przymiotnikiem „średniowieczny” określa się dziś wszystko, co zaszło między początkami Anglii a początkami ery wiktoriańskiej. Jeden z wybitnych socjalistów zastosował ten przymiotnik do naszych zbrojeń. Z równym powodzeniem mógłby go zastosować do naszych samolotów. Ścisłą analizę, w jakim stopniu feudalizm należał do głównego nurtu średniowiecza, a w jakim stopniu był raczej barierą utrudniającą bieżące dyskusje o zdecydowanie nowoczesnych rzeczach – a szczególnie o tej zdecydowanie nowoczesnej rzeczy, jaką są rządy angielskiego ziemiaństwa. Feudalizm był niemal całkowitym przeciwieństwem rządów ziemiaństwa. Główną bowiem cechą ziemianina jest to, że jego własność jest bezwarunkowa. Z samego zaś określenia feudalizmu wynika, że był on systemem dzierżawy, i to dzierżawy za służbę wojskową. Ludzie płacili swój czynsz dzierżawy w stali zamiast w złocie, we włóczniach i strzałach przeciw wrogom swego pana. Ten pan nie był jednak właścicielem swych włości we współczesnym znaczeniu tego słowa. Każdy z panów, zarówno w praktyce, jak i w teorii, był dzierżawcą króla, ten zaś z kolei popadał często w feudalną zależność od papieża czy cesarza. Określając stosunek feudalny jako zwykłą dzierżawę w zamian za służbę żołnierską, upraszczam sobie może całe zagadnienie, w tym właśnie wypadku sprawa była mniej prosta, niż może się wydawać. W samej naturze feudalizmu tkwi bowiem pewne powikłanie, które było powodem wielu walk w dziejach Europy, a w szczególności w dziejach Anglii.

Istniał pewien swoisty typ państwa i kultury, który, w braku lepszego słowa, zwiemy średniowiecznym, przejawiający się w gotyku czy w pracach wielkich uczonych scholastycznych. Epoka ta była przede wszystkim logiczna. Sam kult autorytetu był dla niej kwestią rozumu. Rozumieją to wszyscy ludzie umiejący rozumować, nawet jeśli, jak to czyni Huxley, przeczą samym założeniom tej epoki, czy też wstręt czują do jej owoców. Będąc logiczną, dbała o ścisłość w kwestii tego, kto ów autorytet posiadał. Feudalizm natomiast był niezupełnie logiczny, a ponadto nie zawsze zupełnie ścisły w sprawach władzy. Feudalizm kwitł jeszcze przed średniowiecznym odrodzeniem. Nie był to może las, który ludzie średniowiecza musieliby wycinać, ale nieociosane drzewo, z którego musieli budować. Feudalizm był obroną ciemnych wieków przed średniowieczem. To wiek barbarzyńców opierał się w ten sposób... pół-barbarzyńcom. Nie mówię tego, by pomniejszyć feudalizm, był on bowiem na ogół bardzo ludzki. Najbliższym współczesnym mu słowem było *homagium*, które znaczy prawie tyle, co *humanitas* – ludzkość. Z drugiej zaś strony średniowieczna logika nie pogodziła się nigdy w pełni z naturą ludzką i w swych skrajnościach potrafiła się stawać nieludzka. Bywało często, że zwykły przesąd chronił ludzi, a czysty rozum posyłał ich na stos. Feudalne włości wyrosły w ciemnych wiekach, kiedy bezdrożny pagórek zamykał często dolinę – jak warownia. Patriotyzm zacieśniał się do granic parafii, ludzie nie mieli bowiem kraju, tylko okolicę. W takich wypadkach pan wyrastał ponad króla, w wyniku zaś tego powstawały nie tylko miejscowe państewka lordów, ale i coś w rodzaju miejscowej wolności. Nie radziłbym jednak zapominać o tym elemencie wolności, który wniósł do dziejów Anglii feudalizm. Jest to bowiem jedyny rodzaj wolności, który Anglicy mieli i utrzymali.

Pogmatwanie tego systemu wyglądało mniej więcej tak. W teorii król był właścicielem wszystkiego, czymś w rodzaju ziemskiej opatrności. Sprzyjało to rozwojowi despotyzmu oraz „Boskiego prawa”, a w zasadzie równało się władzy naturalnej. Pod tym jednym względem był więc król po prostu jedynowładcą, pomazańcem z rąk Kościoła. Tak to ujmowała etyka owej epoki. Podczas jednak gdy teoria przyznawała królowi więcej władzy, w praktyce bywało więcej buntów.

Walka była znacznie bardziej wyrównana niż w naszej epoce przemysłu zbrojeniowego. Każda grupa ludzi mogła się uzbroić w mgnieniu oka w łuki z lasu czy włócznie od kowala. Tam, gdzie ludzie są „żołnierscy”, nie ma miejsca na militarizm. Co więcej, w czasie gdy całe królestwo stanowiło w pewnym sensie jedną armię terytorialną, jego pułki stanowiły również królestwa same w sobie. Pododdziały związane były również więzami „pod-łojalności”. Lojalista względem swego pana, mógł być buntownikiem względem swego króla. Król stawał się również demagogiem, kiedy uwalniał wasala od jego pana. To powikłanie pojęć powodowało tragiczne spięcia namiętności w związku z zarzutem zdrady, jak np. w wypadku Wilhelma i Harolda. Choć rzekomy zdrajca pojawia się w dziejach ciągle na nowo, jednak stale uważa się go za wyjątek. Zerwać więź feudalną było rzeczą łatwą i zarazem straszną. Zdradę w znaczeniu buntu odczuwano wówczas rzeczywiście jako zdradę w znaczeniu przejścia na stronę przeciwnika, jako że była to dezercja z pola nieustającej nigdy walki. Takich wojen domowych było wówczas w dziejach Anglii więcej nawet niż w innych dziejach. Przeważały jednak wybuchy bardziej lokalne i mniej logiczne. Czy powód leżał w tych wyspiarskich idiosynkrazjach, bezkształtnych jak mgły morskie, od których zaczęliśmy te dzieje, czy też wpływ Rzymu sięgnął rzeczywiście mniej głęboko niż w Galii, dość, że feudalne poszycie uniemożliwiało Anglii próbę budowy pełnej *Civitas Dei*, czyli idealnego państwa średniowiecznego. Wyłonił się z tego kompromis, który długo potem ludzie ku własnej uciechu nazywali państwem konstytucyjnym.

Pewnych paradoksów wolno używać, jeżeli przywracają zaburzoną równowagę krytyki. Można je bezpiecznie wyostrzać pod warunkiem, że nie są odosobione. Jeden z nich określiłem na początku tego rozdziału jako siłę królów słabych. Uzupełnieniem tego paradoksu jest – nawet w tym krytycznym okresie normańskiego panowania – inny paradoks: słabość silnych królów. Wilhelm Zdobywca wygrał od pierwszego uderzenia, nie wygrał jednak zupełnie w ostatecznym rozrachunku. W jego olbrzymim sukcesie kryła się tajemnica niepowodzenia, które wydało skutki dopiero w długi czas po jego śmierci. Jedynym jego celem było niewątpliwie uczynienie z Anglii ludowej autokracji, podobnej do tej, która narastała wówczas we Francji. W tym celu poszatkował on feudalne dobra, zażądał od podwasalów przysięgi bezpośrednio na swoje ręce, a wobec baronów stosował wszelkie możliwe sposoby walki, od najwyższej kultury, szczepionej przez zagranicznych duchownych, do najgrubszych obyczajów saskich. Dopiero jednak porównanie z Francją ukazuje uderzającą jaskrawość tego paradoksu. Stało się przysłowiem, że pierwsi królowie Francji byli marionetkami, a majordomus był w sposób najbezczeńniejszy w świecie królem królów. Z biegiem czasu marionetka stała się jednak bożyszczem, popularnym bożyszczem o niezrównanej mocy, przed którym wszyscy możnowładcy korzyli się lub padali zdruzgotani. Nastąpiły wówczas we Francji rządy absolutne, tym bardziej absolutne, że nie były to rządy ściśle personalne. Król stał się przedmiotem kultu – podobnie jak ówczesne republiki średniowieczne, w których niepodzielnie panowało sztywne prawo Boskie. W normańskiej natomiast Anglii rządy były prawdopodobnie zbyt osobiste, by mogły być absolutne. Tak czy owak, Wilhelm Zdobywca stał się w pewnym znaczeniu Wilhelmem Zdobytym. Gdy jego dwaj synowie zmarli, cały kraj popadł w chaos feudalny, prawie taki sam jak przed podbojem. We Francji książęta byli początkowo niewolnikami. Z czasem jednak uzyskali stanowisko wyjątkowe, jak gdyby księży. Jeden z nich został nawet świętym. Ale jakoś najwięksi nasi królowie wciąż jeszcze byli baronami. I właśnie dzięki tej energii nasi baronowie stali się naszymi królami.

VI. Wiek wypraw krzyżowych

Poprzedni rozdział rozpoczął się, z bijącą w oczy dowolnością, od św. Edwarda, obecny zaś rozdział możemy w pełni słusznie zacząć od św. Jerzego. Jego pierwsze wystąpienie w charakterze patrona naszego narodu miało podobno miejsce na prośbę Ryszarda Lwie Serce, w czasie jego kampanii w Palestynie. Jest ono w istocie, jak się o tym przekonamy, symbolem nowej Anglii, która może śmiało mieć nowego świętego. O ile jednak Edward Wyznawca był bohaterem angielskiej historii, to choć św. Jerzy figuruje w martyrologii pod postacią rzymskiego żołnierza, trudno go jednak uważać za bohatera jakiegokolwiek historii. Chcąc zrozumieć ten

najszlachetniejszy, choć najmniej pamiętany z przewrotów w dziejach człowieka, najbardziej zbliżymy się do prawdy, kiedy rozważymy następujący paradoks: w jakiej mierze postęp oraz oświecenie znalazły wyraz w przejściu od kroniki do romansu.

Na każdym intelektualnym podwórku naszych czasów można usłyszeć takie zdanie, jakie właśnie przeczytałem w jednej polemice dziennikarskiej: „Zbawienie, podobnie jak inne dobre rzeczy, nie powinno pochodzić z zewnątrz”. Określanie rzeczy duchowej jako zewnętrznej, a nie wewnętrznej, to jeden z chwytów modernistycznej ekskominiki. Skoro jednak przedmiot naszych studiów wiąże się z średniowieczem, a nie z czasami nowymi, powinniśmy przeciwstawić temu oczywistemu banałowi ideę wręcz odwrotną. Powinniśmy postawić się w położeniu ludzi, którzy myśleli, że prawie każda dobra rzecz przychodzi z zewnątrz – podobnie jak dobre nowiny. Muszę wyznać, że w tym wypadku nie jestem bezstronny w moich sympatiach i że zacytowane przed chwilą zdanie z gazety uderza mnie jako błąd godzący w samą istotę życia. Jako całkiem prywatna osoba – nie wierzę ani w to, by niemowlę najlepiej karmiło się fizycznie ssąc swój własny paluszek, ani też w to, by człowiek najlepiej karmił się moralnie ssąc swą własną duszę i przecząc jej zależności od Boga czy od innych dobrych rzeczy. Twierdzę, że dziękczynienie jest najwyższą formą myśli i że wdzięczność jest szczęściem, podwojonym przez cud. Ta wiara w zdolność człowieka do przyjmowania rzeczy leżących na zewnątrz od nas samych pomoże mi tu wytłumaczyć sprawy, które każdy opis tej epoki powinien koniecznie wytłumaczyć. W niczym nie przejawia się bardziej nowoczesność (czy też szaleństwo) nowoczesnego Niemca niż w jego marzeniu znalezienia dla każdej rzeczy niemieckiej nazwy. W ten sposób zjada on własny język, czy też, innymi słowy, gryzie się w jęzor. Ludzie średniowiecza zaś nigdzie indziej nie wykazywali więcej swobody i rozsądku, niż w przyjmowaniu imion i emblematów spoza swych najbardziej ukochanych granic. Klasztory nie tylko przyjmowały cudzoziemców, ale ich również kanonizowały. Zwykłego awanturnika, jak Bruce, wyniesiono na tron i dzięki mu składano tak, jak gdyby rzeczywiście przyszedł jako błędny rycerz. Nawet namiętne patriotyczne społeczeństwa obierały sobie za świętych patronów przeważnie cudzoziemców. I tak, choć Irlandia posiadała całe chmary świętych własnego pochodzenia, przecież jej patron – św. Patryk – nie był Irlandczykiem. W miarę jak Anglicy stawali się stopniowo narodem, zostawiali niezliczonych świętych saksońskich w pewnym sensie poza sobą. Pogodzili się nie tylko ze świętością Edwarda, ale nawet z dobrze ugruntowaną sławą Alfreda i zaczęli uwielbiać bohatera na pół mitycznego, walczącego na jakiejś wschodniej pustyni z jakimś urojonym smokiem.

Ta zgoda to symbol wypraw krzyżowych. W swym romantyzmie i realizmie były to pierwsze angielskie doświadczenia z uczeniem się nie tylko od zagranicy, ale od krajów bardzo dalekich. Anglia, podobnie jak wszystko, co chrześcijańskie, bez żenady i jak na drożdżach rosła na pożyczeniach z zewnątrz. Od gościńców Cezara po kościoły Lanfranca czekała ona biernie na mannę z nieba. Teraz jednak orły porosły już w pierze i zaczęły się oglądać za łupem bardziej odległym. Zamiast otrzymywać rzeczy cudze, szukały ich teraz same. Od przyjmowania przeszli Anglicy do przygód. Zaczęła się epopeja ich okrętów. Chcąc oddać rozmach wielkiego ruchu religijnego, który przeszedł falą przez Anglię, tak jak i przez cały Zachód, musielibyśmy rozdać niniejszą książkę do olbrzymich rozmiarów. Byłoby to jednak znacznie lepsze niż prześlizgnięcie się nad tym tematem wyniośle i chłodno, na sposób przyjęty w takich krótkich streszczeniach. Braki naszej wyspiarskiej metody pisania popul arnych dziejów uwydatnia doskonale sposób traktowania Ryszarda Lwie Serce. Jego dzieje opowiada się tak, jak gdyby jego wyjazd na wyprawę krzyżową był czymś w rodzaju eskapady wyrostka na morze. W tym rozumieniu był to wybaczalny i miły wybryk, podczas gdy w rzeczywistości Ryszard przypominał raczej Anglika, który rozumiejąc ciężką na sobie odpowiedzialność idzie dziś na front. Świat chrześcijański był wówczas jakby jednym narodem, a Ziemia Święta frontem. Prawda, że sam Ryszard miał usposobienie awanturnicze, a nawet romantyczne, choć dla urodzonego żołnierza nie jest rzeczą nierozsądnie romantyczną robić to, co robi najlepiej. Moje zastrzeżenia przeciw pisaniu historii ograniczonej jedynie do naszej wyspy znajdują szczególną ilustrację w fakcie, że historia kontynentalna nie dostarcza materiału porównawczego. W tym bowiem wypadku wystarczy przekroczyć Kanał dla wykrycia naszego błędu. Filip August, współczesny we Francji Ryszardowi, uchodził za męża stanu

szczególnie ostrożnego i na zimno służącego sprawie publicznej, a jednak wybrał się na tę samą wyprawę krzyżową, co Ryszard. Oczywisty powód leżał w tym, że wyprawy krzyżowe były wówczas dla wszystkich myślących Europejczyków sprawami najwyższej racji stanu i najczystszej służby publicznej.

W jakieś sześćset lat po tym, jak chrześcijaństwo zakwitło na Wschodzie i szeroką falą rozlało się na Zachód, inna wielka religia powstała w tych samych prawie krajach Wschodu i ruszyła w tropy za chrześcijaństwem, jak gdyby jego gigantyczny cień. Jak każdy cień była ona zarazem odbiciem i kontrastem. Zwiemy ją islamem, czyli wiarą muzułmanów. Najłatwiej może da się ona wytłumaczyć jako ostatni wybuch ducha Wschodu, czy też hebraizmu, odrzucanego w miarę, jak Kościół stawał się coraz bardziej europejski, czy też w miarę, jak chrześcijańska religia formowała chrześcijańskie społeczeństwa. Naczelnym motywem islamu była nienawiść do bałwanów, w pojęciu zaś muzułmanów samo Wcielenie było bałwochwalstwem. Prześladowali oni dwie rzeczy: ideę, że Bóg stał się ciałem, oraz że później stał się On drzewem czy kamieniem. Nawrócenie się Europy na chrześcijaństwo było jakby pożarem stepu; studium problemów dopalających się na szlaku tego pożaru skłania nas do przypuszczenia, że ten fanaCyzm, skierowany przeciw sztuce czy mitologii, był równocześnie dalszym ciągiem i reakcją w stosunku do tego nawrócenia, czymś w rodzaju votum mniejszości hebraistów. W tym rozumieniu islam był w stosunku do chrześcijaństwa czymś w rodzaju herezji. Wczesne herezje pełne były szalonych odwrotów i ucieczek od Wcielenia. Ratował y one swego Jezusa od rzeczywistości Jego ciała nawet za cenę wyrazistości Jego duszy. Grecy obrazoburcy rozlali się po Włoszech, tłukąc popuCarne posągi i pomstując na bałwochwalstwo papieża, aż ich wreszcie pokonał, w sposób dostatecznie symboliczny, miecz ojca Karola Wielkiego. Wszystkie te rozczarowane negacje zapaliły się od geniuszu Mahometa i z płonących krajów wyruszyły szarże kawalerii, która omal nie podbiła świata. Gdyby mi zaś ktoś zarzucił, że opowieść o takich wschodnich zdarzeniach mało ma związku z dziejami Anglii, otrzyma odpowiedź, że ta książka zawiera wprawdzie, niestety, wiele dygresji, ale ta właśnie opowieść nie jest dygresją. Ten semicki bóg prześladował chrześcijaństwo jak upiór. Należy o tym pamiętać w każdym zakątku Europy, szczególnie zaś w naszym zakątku. Jeśli któryś z Anglików nie widzi tej konieczności, niech się przejdzie po wszystkich kościołach parafialnych w promieniu trzydziestu mil od swego domu i niech się spyta, dlaczego ta dziewica z kamienia jest bez głowy, a tamtego witraża brak. Dowie się rychło, że wcale nie tak dawno temu w jego własne zaułki i domy wdarła się ekstaza pustyń i jego smutną wyspę ogarnął szal obrazoburców⁶.

Jedną z cech wzniosłej, choć ponurej prostoty islamu było to, że nie znał on granic. Jego domem była bezdomność, gdyż urodził się na bezbrzeżnych piaskach wśród koczowników, a siedł on wszędzie, ponieważ nie przychodził znikąd. U Saracenów wczesnego średniowiecza tę koczowniczą właściwość islamu maskowała wysoka cywilizacja, bardziej naukowa, choć mniej twórcza artystycznie niż u współczesnego chrześcijaństwa. Muzułmański monoteizm był, czy też wydawał się być bardziej racjonalistyczną religią. Ta pozbawiona korzeni a wyrafinowana kultura zaznaczała się szczególnie w dziedzinach abstrakcyjnych, czego dalekie echo doszło nas w samej nazwie algebry. W porównaniu z saraceńską cywilizacją chrześcijańska była jeszcze w dużej mierze instynktowna, jej instynkty były jednak bardzo silne i szły w zupełnie innym kierunku. Pełno w niej lokalnych przywiązań, które znalazły swój wyraz w tym systemie „płatów”, którymi pocięte są w kratkę wszystkie rzeczy średniowiecza, poczynając od herbów, a kończąc na połaciach dzierzawnej roli. Wszystkie zwyczaje i ustawy tych ludzi miały kształty i barwy zdecydowane a zarazem wesołe, jak je widzimy na rycerskich kopicach i herbowych tarczach. Świadczy to o tym, iż ludzie ci nie odrywali się od rzeczy zewnętrznych, a raczej stawiali się ich częścią. Samo przywitanie, które spotykało cudzoziemca spoza muru, świadczyło o uznaniu istnienia tego muru. Kto uważa swe własne życie za samowystarczalne, patrzy na jego kres nie jako na mur, ale jako na koniec świata. Chińczycy zwali białego człowieka „burzycielem nieba”.

⁶ W chwili największego natężenia reformacji (1548), której ofiarą padły niezliczone zabytki sztuki kościelnej (przyp. tłum.).

Duch średniowiecza uwielbiał angażować się w doczesne życie, bo traktował doczesność nie jako całość, lecz część większej całości.

Prawo udziału w życiu było przywilejem, nadanym z zewnątrz. Istnieje anegdota na temat benedyktyna, który przed posiłkiem wyrecytował zwykłą modlitwę „Benedictus benedicat”, na co nieuczony franciszkanin triumfująco odpowiedział: „Franciscus franciscat”. Ten żart jest jakby parabolą o średniowiecznej historii. Gdyby bowiem istniał czasownik „franciscare”, oddawałby on w przybliżeniu to, co czynił później św. Franciszek. Ów charakterystyczny mistycyzm franciszkański czekał dopiero na swój czas, natomiast „Benedictus benedicat” było zawołaniem najwcześniejszego średniowiecza, co znaczy, że każda rzecz jest błogosławiona od zewnątrz przez coś, co z kolei uzyskało błogosławieństwo od zewnątrz. Błogosławiają tylko błogosławieni. Okolicznością istotną dla zrozumienia wypraw krzyżowych było to, że dla nich to „zewnątrz” nie równało się nieskończoności, jak dla religii naszych czasów. Każde „zewnątrz” było dla nich jakimś miejscem. Misterium miejscowości, z całym jej potężnym wpływem na serce ludzkie, przewijało się przez najbardziej niezemskie sprawy chrześcijaństwa, nie dochodziło natomiast do głosu w najbardziej praktycznych sprawach islamu. Anglia wciąż brała coś z Francji, Francja z Włoch, Włochy z Grecji, Grecja z Palestyny, Palestyna z Raju. Nie znaczyło to tylko tyle, że kmieć z hrabstwa Kent miał dom poświęcony przez swego proboszcza, który był wyświęcony przez arcybiskupa z Canterbury, który z kolei był wyświęcony przez Rzym. Sam bowiem Rzym nie modlił się do siebie samego tak, jak to było w czasach pogańskich. Rzym patrzył na Wschód, do tajemniczej kolebki swej wiary, do kraju, gdzie samą ziemię zwano świętą. Patrząc zaś na Wschód, widział twarz Pohańca.

W miejscu, które było jego niebem na ziemi, widział żarłocznego olbrzyma, rodem z pustyni, olbrzyma, dla którego każda miejscowość była jednaka.

Musieliśmy zatrzymać się na chwilę na wewnętrznych przeżyciach krzyżowców, ponieważ dzisiejszemu czytelnikowi angielskiemu brakuje klucza do tych szczególnych uczuć jego ojców. Rzeczywisty zaś spór chrześcijaństwa z islamem, ten chrzest ogniowy młodych narodów, miał wyjątkowy charakter, którego nie da się inaczej uchwycić. Nie był to zwykły spór między dwoma ludźmi, którzy obaj pragnęli Jerozolimy. Był to znacznie bardziej morderczy spór między człowiekiem, który jej pożył, a drugim człowiekiem, który nie mógł pojąć, dlaczego tamten jej pożył. Muzułmanin miał oczywiście swe własne święte miejsca. Nie budziły one w nim jednak nigdy takich uczuć, jakie w człowieku zachodnim budzi pole czy dach nad głową. Myślał on o świętości jako o czymś świętym, a nie o miejscach jako miejscach. Surowe zakazy świętych obrazów oraz wędrowki wojenne, wzbraniające mu odpoczynku, odcięły mułmanina od wszystkiego, co kielkowało i kwitło w naszych miejscowych patriotyzmach. Zakazy te dały Turkom imperium, nie dając im nigdy narodu.

Ta przygoda wojenna z potężnym i tajemniczym wrogiem wpłynęła ogromnie na przekształcenie się Anglii, jak również wszystkich narodów, rozwijających się równoległe z Anglią. Po pierwsze, nauczyliśmy się niezmiernie dużo patrząc na to, co zrobili Saraceni. Po drugie, nauczyliśmy się znacznie więcej obserwując to, czego Saraceni nie zrobili. Widząc niektóre dobre rzeczy, których nam brakowało, potrafiliśmy na szczęście skorzystać z przykładu Saracenów. Wszystkie natomiast dobre rzeczy, których im brakowało, utwierdziły nas niezłomnie w naszym postanowieniu walki. Można powiedzieć, że chrześcijanie nie zdawali sobie sprawy, jak dalece mają słuszość, póki nie wyruszyli na wojnę przeciw mułmanom. Reakcją najbardziej rzucającą się w oczy i najbardziej reprezentatywną była ta reakcja, która stworzyła arcydzieła okresu nazywanego okresem sztuki chrześcijańskiej, przede wszystkim zaś tej sztuki, która stworzyła owe groteski gotyckiej architektury, nie tylko żyjące, ale i wierzgające nogami. Atmosfera Wschodu, jego bezosobowy czar, stanowiły niewątpliwie dla umysłów zachodnich bodziec, pobudziły je jednak raczej do łamania przykazań mułmańskich niż do ich przestrzegania. Wyszło na to, że chrześcijanie poczuli się zmuszeni, jak to czynią karykaturzyści, do wrysowywania twarzy w te wszystkie beztwarzowe ornamenty, do dawania głów wszystkim bezgłowym wężom oraz do malowania ptaków na wszystkich martwych drzewach. Pod wpływem zakazu wroga, jak gdyby pod działaniem błogosławieństwa, rzucono się gorączkowo do rzeźbienia posągów. Wizerunek, tylko

dlatego, że nazwany przez muzułmanów bałwanem, stał się dla chrześcijan nie tylko sztandarem, ale i orężem. Stokrotny posiew kamiennych posągów wyrósł we wszystkich świątyniach i na ulicach Europy. Obrazoburcy stworzyli więcej posągów, niż ich zburzyli.

Miejsce, które Ryszard Lwie Serce zajmuje w baśni ludowej i plotce, jest znacznie bliższe jego miejsca w prawdziwej historii niż rola pospolitego nicponia bez ojczyzny przyznana mu w naszych utylitarnych podręcznikach szkolnych. Wieść gminna jest prawie zawsze znacznie bliższa prawdy historycznej niż wykształcona opinia dzisiejsza. Tradycja jest bowiem prawdziwsza od mody. Król Ryszard jako typowy krzyżowiec oddał Anglii doniosłą przysługę przez to, że zamiast sumiennie poświęcać się polityce wewnętrznej na wzorowy sposób króla Jana, zyskał sławę na Wschodzie. Jego przypadkowy geniusz wojskowy oraz prestiż dały Anglii coś, co zachowała przez lat czterysta i bez czego nie można jej zrozumieć w tym całym okresie – sławę, że szła w prawdziwej awangardzie rycerstwa. Z tego okresu pochodzą wielkie romance Okrągłego Stołu, symbolizujące przywiązanie rycerstwa do imienia brytyjskiego króla. Ryszard był nie tylko rycerzem, ale i trubadurem, toteż z pojęciem odwagi Anglików związały się kultura i dworskość. Średniowieczny Anglik dumny był nawet ze swych dwornych obyczajów, co w każdym razie nie jest niczym gorszym od dumy z pieniędzy i dumy z kiepskich manier, cechy, którą w późniejszych wiekach wielu Anglików ochrzciło mianem zdrowego rozsądku.

Rycerskość można by określić jako chrzest feudalizmu. Była to próba wprowadzenia sprawiedliwości, czy nawet logiki katolickiej w już istniejący system wojskowy, próba obrócenia jego dyscypliny we wtajemniczenie, a jego nierówności w hierarchię. Jednym z głównych wdzięków tego nowego okresu jest znamieny kult godności kobiety, kult, który często zacieśnia znaczenie pojęcia „rycerskość”, albo je może wyolbrzymia. Ten kult stanowił bunt przeciw jednemu z najjaskrawszych braków w gładkiej cywilizacji Saracenów. Muzułmanie obarczeni byli z natury rzeczy dawnym wschodnim stosunkiem do kobiety, brakowało im bowiem szczególnego natchnienia, płynącego z kultu Dziewicy. Mylilibyśmy się twierdząc, że rycerski pogląd na kobietę był tylko afektacją. Był nią chyba tylko w tym znaczeniu, w którym afektacja pojawia się zawsze tam, gdzie jest jakiś ideał. Jest rzeczą obrzydliwie powierzchowną nie dostrzegać ciśnienia ogólnie panujących uczuć z tego jedynie powodu, że ciśnienie owo łamie się zawsze w toku wydarzeń dziejowych. Sama, na przykład, idea wyprawy krzyżowej żyła w uczuciach i oddziaływała podniecająco raczej jako marzenie niż jako fakt rzeczywisty. Od pierwszego Plantageneta po ostatniego Lancastera straszyla ona umysły królów angielskich, dając ich bitwom za tło miraż Palestyny. Uwielbienie takie, jakie czuł Edward I dla swej królowej, było zupełnie realnym bodźcem dla mnóstwa ludzi mu współczesnych. Z tłumu oświeconych turystów, którzy wyruszają w podróż z zamiarem wyśmiewania przesądów kontynentu, którzy kupują bilety i nalepiają nalepki na bagaż na dworcu kolejowym Charing Cross – nie wszyscy przemawiają do swych żon z bardziej potoczystą dworskością niż ich praojcowie z czasów Edwarda. Mało kto przystanie na chwilę, żeby rozpamiętywać legendę o smutku małżonka, smutku, który wyraża sama nazwa „Charing Cross”⁷.

Popelnilibyśmy poważny błąd historyczny, gdybyśmy przypuszczali, że wyprawy krzyżowe objęły jedynie tę górną warstwę społeczeństwa, dla której heraldyka była sztuką, a rycerskość etykietą. Rzeczywistość miała się odwrotnie. Pierwsza zwłaszcza wyprawa krzyżowa była w znacznie większej mierze jednomyślnym powstaniem ludu niż większość tzw. rozruchów i rewolucji. Cechy, te wielkie demokratyczne organizacje owych czasów, zawdzięczały swą rosnącą potęgę zbiorowej walce o Krzyż. O tych sprawach pomówimy jednak później.

Na Wschód ciągnęły nie tylko zaciężne zastępy żołnierza, ale karawany całych rodzin, wzorem Cyganów, dzieci zaś organizowały wyprawy krzyżowe tak, jak dziś organizują zabawy. Najlepiej uprzytomnimy sobie to zjawisko, wyobrażając sobie każdą wyprawę krzyżową jako Krucjatę Dzieci, bowiem te wyprawy pełne były ducha, który nowoczesny świat wielbi u dzieci, ponieważ wyniszczył go u dorosłych. Najprymitywniejsze zabytki najwulgarniejszej sztuki

⁷ Przed wejściem do londyńskiego dworca Charing Cross stoi wielki krzyż kamienny; stoi on w miejscu, w którym król Edward I postawił w 1290 r. krzyż dla uczczenia pamięci swej żony Eleonory. Słowo „Charing” wywodzi się od „chere reine” (przyp. tłum.).

średniowiecznej świadczą o tym, iż życie tych ludzi pełne było tego czegoś, co wszyscy widywaliśmy z okien naszych dzieciennych pokojów. Najlepiej da się to zaobserwować w późniejszym średniowieczu, np. we wnętrzach Memlinga, przejawia się również obficie w starszych i mniej dojrzałych zabytkach średniowiecza. Jest to owo coś, co dalekie kraje zrobiło swojskimi i przybliżyło widnokraj do naszych domów. Do węglów swych domów ludzie ówczesni umocowali krańce ziemi i nieba. Ich perspektywa była prymitywna i zwariowana, ale była perspektywą, a nie dekoracyjną tylko płaszczyzną sztuki orientalnej. Jednym słowem, ich świat, podobnie jak świat dziecka, pełen był skrótów, jakby dróg na przełaj, chociaż do kraju baśni. Ich mapy były bardziej jeszcze wyzywające niż ich obrazy. Choć półbaśniowe ich zwierzęta wyglądają jak potwory, przecież są to kotki-pieszczotki. Trudno ująć w słowa tę niesłychanie żywą atmosferę. W każdym razie była to zarówno pewnego rodzaju atmosfera, jak i przygoda. I właśnie te dziwaczne wizje zbłądziły rzeczywiście pod każdą strzechę, podczas gdy królewskie rady i feudalne spory były czymś stosunkowo obcym. Ziemia Święta leżała znacznie bliżej domu prostego człowieka niż Westminster, a niepomiernie bliżej niż Runnymede⁸.

Samo tylko wyliczanie angielskich królów i parlamentów, jak to ma miejsce w wielu podręcznikach historii, bez jednego słowa o tym zdumiewającym przekształceniu życia codziennego pod wpływem religii, to głupota tak piramidalna, że brak dla niej nawet stosownego porównania. W słabym przybliżeniu można by ją oddać poprzez paralelę z bliższych nam czasów, gdybyśmy zamienili miejscami religię i sekularyzm. Wyobraźmy więc sobie, że jakiś klerykalny czy rojalistyczny pisarz ogłasza spis arcybiskupów Paryża z lat 1750–1850, zaznaczając skrupulatnie, że jeden z nich umarł na czarną ospę, inny ze starości, a jeszcze innemu, osobliwym przypadkiem, ucięto głowę – lecz całkowicie przemilczając naturę, i nawet nazwę, rewolucji francuskiej.

VII. Zagadnienie Plantagenetów

Czołowi badacze wszystkich gałęzi wiedzy biorą sobie za punkt honoru głosić, że pewne popularne teksty i autorytety są „późne”, a tym samym, jak się zdaje, bezwartościowe. Ich zdaniem dwa podobne zdarzenia są zawsze tym samym zdarzeniem, a na wiarę zasługują tylko zdarzenia późniejsze. Tego rodzaju fanatyzm myli się często, jeśli idzie o same fakty, ignoruje najpospolitsze zbiegi wypadków. Możliwe, że jakiś przyszły badacz oświadczy, iż opowieść o wieży Babel nie może być starsza od wieży Eiffla, ponieważ i na Wystawie Paryskiej panowało pomieszanie języków.

Większość zabytków średniowiecza, z którymi współczesny czytelnik jest oswojony, jest z konieczności „późna”, jak na przykład Chaucer⁹ czy ballady o Robin Hoodzie¹⁰, niemniej jednak poważny badacz musi je uznać za źródła godne uwagi, a nawet wiary. Za każdą epoką ciągnie się zazwyczaj to, co żyło w niej najbujniej. Czytanie historii od tyłu jest doskonałym zwyczajem. Współczesny człowiek robi znacznie mądrzej, czytając wieki średnie wstecz od zawałonego średniowieczną Szekspira, którego może pojąć własnym rozumem – niż próbując czytać dzieje w

⁸ Runnymede – łąka nad brzegiem Tamizy, na której w 1215 r. podpisana została Magna Charta, stanowiąca punkt wyjściowy całego systemu swobód obywatelskich Anglii (przyp. tłum.).

⁹ Geoffrey Chaucer (ur. 1340 – zm. 1400), największy średniowieczny poeta Anglii, autor słynnych „Opowieści kanterburskich” (przyp. tłum.).

¹⁰ Robin Hood, bohater angielskich ballad późnego średniowiecza. Dla ludu angielskiego owych czasów Robin Hood był bożyszczem, podobnie jak Artur dla klas wyższych. W legendzie ludowej żył Robin Hood jako idealny rozbójnik, który zabiera bogatym i rozdaje ubogim, wielbi Najświętszą Pannę, a nienawidzi mnichów, jest odważny, szczodry, rycerski dla kobiet, łucznik niezrównany, miłośnik natury, bohater tysiąca romantycznych zdarzeń (przyp. tłum.).

przód, poczynając od Caedmona¹¹, o którym nic dziś nie wiemy i o którym nawet powagi naukowej, na które musimy się zdać, wiedzą bardzo mało. Co zaś jest prawdą w stosunku do Szekspira, jest oczywiście tym prawdziwsze w stosunku do Chaucera. Chcąc bowiem naprawdę wiedzieć, co było najsilniejsze w wieku dwunastym, nie zawadzi zapytać, co przetrwało do wieku czternastego? Jakież będzie pierwsze pytanie przeciętnego czytelnika zabierającego się do czytania „Opowieści kanterburskich”, które są nadal równie zabawne jak Dickens, choć równie średniowieczne jak katedra w Durham. Dlaczego na przykład zwą się one „Opowieściami kanterburskimi” i co robili pielgrzymi na drodze do Canterbury? Oczywiście obchodzili oni popularne święto, podobne do nowoczesnego „holiday”, choć znacznie ucieśniejšie i pozbawione nerwowego pośpiechu. A może nie jesteśmy przygotowani, żeby przyjąć – jako oczywisty dowód postępu – faktu, że średniowieczne święta wywodzą się od świętych, a nasze święta dyktują bankierzy¹².

Ludzie dzisiejsi zdążyli już zapomnieć, że człowiek święty jest po prostu człowiekiem bardzo dobrym. Pojęcie wybitności czysto moralnej, idącej często w parze z zupełną głupotą lub brakiem powodzenia życiowego, jest obrazem rewolucyjnym, który stał się niezrozumiały na skutek swej wielkiej zrozumiałości. Wymaga on, podobnie jak tyle innych spraw tego zamierzchłego okresu, jakiegoś niemal absurdalnego nowoczesnego porównania, jeśli chcemy oddać jego pierwotną świeżość oraz istotę. Wyobraźmy więc sobie, że wchodzimy np. do obcego miasta i natykamy się tam na kolumnę w rodzaju kolumny Nelsona. Pytamy o bohatera stojącego na jej szczycie i otrzymujemy zdumiewające wyjaśnienie, że służył on z uprzejmości i wesołości w czasie chronicznego bólu zębów. Gdyby np. ulicami maszerował pochód z orkiestrą dętą i bohaterem na białym koniu, uczulibyśmy się ponownie zaskoczeni wyjaśnieniem, że człowiek ten okazał dużo ciepłoty wobec dziewiczej ciotki, pół-idiotki. A jednak tylko jakaś nieprawdopodobna pantomima mogłaby należycie oddać to, czym była owa innowacja chrześcijańskiej ideologii, jaką wnosił jakiś popularny i powszechnie uznany święty. W szczególności powinniśmy sobie uprzytomnić, że tego rodzaju chwała była równocześnie najwyższą i w pewnym sensie najniższą. Materiały użyte do jej wytworzenia były niemal takie same jak te, których używamy do pracy koło własnego domu: nie potrzebowała ona ani miecza, ani berła, wystarczały jej kostur lub łopata. Była ambicją ubóstwa. Wszystko to powinniśmy mieć dobrze przed oczyma, jeśli chcemy dostrzec ważne skutki zdarzenia stanowiącego tło pielgrzymki do Canterbury.

Pierwszych parę wierszy poematu Chaucera, nie mówiąc już o tysiącach następnych, wyjaśnia nam z miejsca, że nie chodzi tu o igrzyska świeckie, związane resztkami rytuału z imieniem jakiegoś zapomnianego boga, jakby się to mogło zdarzyć w czasie zmięch pogaństwa. Chaucer i jego przyjaciele myśleli o św. Tomaszu częściej, niż urzędnik z Margate myśli dziś o św. Lubbocku. Stanowczo wierzyli oni w leczenie ciał za pośrednictwem św. Tomasza; wierzyli w to przynajmniej równie silnie jak najbardziej oświeceni i postępowi ludzie nowoczesni wierzą w lekarzy-cudotwórców. Kimże był św. Tomasz, do którego przybytku zdążyło całe to społeczeństwo?

I dlaczego uchodził za postać tak ważną? Gdyby był choć cień szczeroty w twierdzeniu, że uczy się dziś w szkołach społecznej i demokratycznej strony dziejów, a nie tylko zwykłego następstwa królów i bitew – opowieści Chaucera powinny służyć jako klucz do tej postaci, która spierała się o Anglię z pierwszym Plantagenetem. Historia naprawdę popularna powinna by się rozwodzić nad popularnością tej postaci szerzej jeszcze niż nad jej polityką. Niewątpliwie bowiem tysiące parobków, cieśli, kucharzy i kmieci, z których składał się różnobarwny tłum Chaucera, wiedziało dużo o św. Tomaszu, a nie służyło nigdy o Tomaszu à Becket¹³.

¹¹ Najwcześniejszy z poetów chrześcijańskich Anglii (zmarł ok. 680 r.). Postać na pół legendarna (przyp. tłum.).

¹² W Wielkiej Brytanii poza niedzielami istnieją tylko tzw. „święta bankowe” (Bank-holidays) – przyp. tłum.

¹³ Sw. Tomasz Becket, arcybiskup Canterbury, zamordowany został w 1170 r. w swej katedrze przez czterech rycerzy z rozkazu króla Henryka II. Przed powołaniem na stolicę arcybiskupią był on kanclerzem tegoż króla (przyp.

Nietrudno dać szczegółowy opis feudalnego zamieszania, które nastąpiło po podboju normañskim i trwało do chwili, kiedy ksiązę andegaweński powtórzył jednoczące dzieło Wilhelma Zdobywcy. Równie łatwo pisać o łowach Czerwonego Króla czy o jego budowach, które przetrwały dłużej i które zapewne znacznie bardziej kochał. Łatwo ułożyć też spis zagadnień, które król dysputował ze św. Anzelmem – opuszczając pytanie obchodzące Anzelma najbardziej, które zadawał on z wybuchową prostotą ducha: „Dlaczego Bóg był człowiekiem?” Wszystko to jest równie proste jak powiedzenie, że jakiś król zmarł po zjedzeniu węgorza, z czego niewiele można się dziś nauczyć, tyle chyba, że gdy monarcha dziś umiera z obżarstwa, gazety rzadko o tym piszą. Jeśli chcemy jednak naprawdę wiedzieć, jakie były losy Anglii w tej mglistej epoce, dowiemy się tego mglisto, lecz prawdziwie, z historii św. Tomasza z Canterbury.

Henryk Andegaweński wniósł do monarchii świeżą krew francuską i odświeżył również ideę, której Francuzi zawsze hołdowali: ideę czegoś bezosobowego i wszechobecnego, tkwiącą w prawie rzymskim. Czytając zwykłą francuską opowieść detektywistyczną, śmiejemy się z tego, że Sprawiedliwość otwiera torebkę lub Sprawiedliwość ściga dorożkę. Henryk II robił rzeczywiście wrażenie całego oddziału policji, wcielonego w jedną osobę. Współczesny mu ksiądz porównał jego niezmordowaną czujność do ptaka i ryby z Pisma św., ptaka i ryby, których drogi nieznanne są nikomu. Władza królewska była jednak wyrazem prawa, a nie kaprysu. Jej ideałem była sprawiedliwość tania i jasna jak słońce. Atmosfera ta przetrwała tylko w ludowych powiedzeniach o królewskiej angielszczyźnie czy królewskim gościńcu. Ideał ten zmierzał wprawdzie do równości, ale nie miał w sobie dążeń humanitarnych. W nowoczesnej Francji, podobnie jak w starożytnym Rzymie, drugim imieniem Sprawiedliwości bywał niekiedy Terror. Francuz jest zawsze rewolucjonistą – nigdy anarchistą. Królowie w rodzaju Henryka II, usiłowali budować na fundamencie takim, jak prawo rzymskie, jednakże ich wysiłki były krzyżowane i komplikowane przez niezliczone feudalne fantazje i uczucia, miotające zarówno nimi samymi, jak i ich podwładnymi. Wpływ na te wysiłki miała również pewna okoliczność stanowiąca kamień węgielny całej ówczesnej cywilizacji. Oto odbudowa ta musiała się odbywać nie tylko przy udziale Kościoła, ale i w jego ramach. Kościół był bowiem dla tych ludzi światem, w którym żyli, a nie tylko budynkiem, do którego chodzili. Bez Kościoła średniowiecze byłoby bez prawa, tak jak bez Kościoła reformacja byłaby bez Biblii. Wielu księży wykladało i upiększało prawo rzymskie i wielu z nich popierało Henryka II. A jednak w Kościele tkwił jeszcze inny element, złożony w jego fundamentach jak dynamit i przeznaczony do tego, by w każdej epoce niszczyć lub odnawiać świat. Był to idealizm, brat niemożliwości, prąd, co przebiegał przez wieki równoległe do wszystkich kompromisów politycznych. Sam system zakonny był rozsądnikiem niezliczonych Utopii, bezpotomnych, a jednak odwiecznych. Krył on w sobie – co zaświadczały wielokrotnie czasy po epokach zepsucia – dziwną tajemnicę: pomagał ubożać szybko. Nędzarze w habitach wyrastali wspaniale jak grzyby po deszczu. Ten wiatr rewolucyjny porwał w epoce krzyżowej Franciszka z Asyżu i odarł go na ulicy z jego bogatych szat. Ten sam wiatr rewolucji uderzył nagle w Tomasza Becketa, świetnego i lubiącego przepych kanclerza króla Henryka II i poniósł go do nieziemskiej chwały i krwawego końca.

Becket był typowym przedstawicielem tego okresu dziejów, w których najpraktyczniej było być niepraktycznym. Spór, który poróżnił go z jego królewskim przyjacielem, miał charakter zasadniczo odmienny od tych prawniczych i konstytucyjnych debat, które odegrały tak wielką rolę w nowej historii w związku z nieszczęsnymi wypadkami siedemnastego wieku. Skazanie św. Tomasza za złamanie prawa i klerykalne intrygi, ponieważ prawo Kościoła przeciwstawił prawu państwa – byłoby mniej więcej równie właściwe, jak skazanie św. Franciszka za złą znajomość heraldyki, ponieważ oświadczył, że jest bratem słońca i księżycy. Może nawet w owych czasach, znacznie logiczniejszych od naszych, niektórzy heraldycy byli na tyle głupi, by go za to potępić – nie jest to jednak zadowalający sposób rozprawiania się z wizjami czy rewolucjami. Św. Tomasz z Canterbury był wielkim wizjonerem i wielkim rewolucjonistą, jeśli jednak idzie o Anglię, jego rewolucja nie udała się i jego wizja się nie spełniła. Z podręczników historii dowiadujemy się tylko

tylę, że kłócił się on z królem o pewne przepisy prawne, z których najdrażliwszy tyczył pytania, czy duchowni, którzy popełnili przestępstwo, powinni być karani przez państwo czy przez Kościół. Był to bodajże najważniejszy przedmiot tego sporu, chcąc go jednak zrozumieć, musimy jeszcze raz przypomnieć rzecz najtrudniejszą do zrozumienia dla współczesnego Anglika – tzn. przypomnieć charakter Kościoła katolickiego z tej epoki, kiedy sam o sobie stanowił, oraz przypomnieć jego nieprzemijające znaczenie rewolucyjne.

Podstawowe fakty umykają z reguły uwadze, podstawowym zaś faktem w odniesieniu do Kościoła było to, że stworzył on aparat do przebaczenia tam, gdzie państwo pracowało tylko przy pomocy aparatu do karania. Kościół uważał się za Boskiego detektywa, pomagającego zbrodniarzowi w ucieczce, bo przyznał się do winy. W samej więc naturze tej instytucji leżało to, że skoro rzeczywiście karała materialnie, to karała lżej. Gdyby jakimkolwiek współczesnemu człowiekowi kazano przenieść się z powrotem w czasy sporu króla z Tomaszem Becketem, rozpołowiłyby się na pewno jego uczucia. O ile bowiem projekty króla były bardziej racjonalne, to projekty arcybiskupa były bardziej ludzkie. I mimo okropności, które długo jeszcze potem rzucały swój cień na spory religijne, taki był właśnie – ogólnie rzecz biorąc – historyczny charakter rządów Kościoła. Oto przykład: przyjmuje się, że wyrzucanie czy brutalne traktowanie dzierżawców było w praktyce nieznaną wszędzie tam, gdzie właścicielem był Kościół. Zasada ta przetrwała do gorszych czasów w tej postaci, że władze kościelne przekazywały władzy świeckiej winowajców dla wykonania wyroków śmierci, nawet za przestępstwa o charakterze religijnym. We współczesnych powieściach traktuje się to zjawisko jako zwykłą hipokryzję, a przecież człowiek traktujący jako hipokryzję każdy brak konsekwencji u innych ludzi, sam jest hipokrytą w kwestii braku konsekwencji u siebie.

Nasz świat nie pojmie więc św. Tomasza ani też św. Franciszka, jeśli nie zdobędzie się na bardzo proste rozumienie płomiennego miłosierdzia, z którym wielki arcybiskup ujmował się za ofiarami tego świata, w którym koło fortuny miażdży ubogich. Możliwe, że św. Tomasz był zbyt wielkim idealistą, gdyż pragnął zachować Kościół jako coś w rodzaju ziemskiego raj. Reguły tego raj. mogły być dlań równie ojcowskie jak reguły nieba, królowi natomiast mogły się one wydawać równie kapryśne jak reguły z kraju baśni. Jeśli jednak ksiądz był zbyt idealistyczny, to król był zaiste zbyt praktyczny. Z pełną słusnością możemy powiedzieć, że był on zbyt praktyczny na to, by mogło mu się powieść w praktyce. Pojawia się tu znowu i przewija potem przez całe dzieje Anglii ta trudna do opisan. prawda, o której wspominałem mówiąc o Wilhelmie Zdobywcy – że nie był on może dostatecznie bezosobowy na prawdziwego despotę. Prawdziwy morał z naszych średniowiecznych dziejów stoi, moim zdaniem, w subtelnej sprzeczności z Carlyleowską¹⁴ wizją jakiegoś burzliwego, mocnego męża, wykuwającego państwo kowalskim młotem. Nasi mocni mężowie byli zbyt mocni dla nas i zbyt mocni dla siebie samych. Byli oni zbyt mocni, by osiągnąć własny cel, tzn. sprawiedliwą i demokratyczną monarchię. Kowal złamał na kowadle miecz państwa, który kuł dla samego siebie. Bez względu na to, czy to porównanie posłuży nam, czy nie posłuży jako klucz do bardzo skomplikowanej historii naszych królów i możnowładców, wytłumaczy nam w każdym razie postawę Henryka II względem swego rywala. Henryk II złamał prawo z czystej miłości do prawa. I on bronił, choć w zimniejszy i bardziej pośredni sposób, ludu przeciw feudalnemu uciskowi, toteż gdyby mu się udało utrzymać czystość polityki – przywileje i kapitalizm późniejszych czasów stałyby się niemożliwe. Cechował go jakiś fizyczny niepokój, który wyrażał się w kopaniu i rozbijaniu mebli. I właśnie ten niespokojny duch nie pozwolił ani jemu, ani jego spadkobiercom siedzieć na tronie tak spokojnie, jak siedzieli spadkobiercy św. Ludwika. Henryk bił raz po raz w twardą nieuchwytność księżej utopii jak człowiek walczący z duchami. Na metafizyczne wyzwania odpowiadał podłymi prześladowaniami materialnymi. W końcu zaś – w ciemny i, moim zdaniem, rozstrzygający dzień dziejów Anglii – jego usta wypowiedziały słowa, które posłały czterech feudalnych morderców do klasztoru w Canterbury. Poszli tam zniszczyć zdrajcę i stworzyć świętego.

¹⁴ T. Carlyle (1795–1881), brytyjski eseista, historyk i filozof (przyp. tłum.).

Przy grobie zmarłego wybuchło coś, co można określić tylko jako epidemię uleczeń. Na opowiadane w związku z tym cuda istnieją takie same dowody jak na połowę faktów historycznych; a każdy, kto chce im przeczyć, musi oprzeć się na jakimś dogmacie. Nastąpiło jednak rychło coś, co nowoczesnej cywilizacji wydałoby się jeszcze bardziej monstualne od cudu. Jeśli czytelnik potrafi sobie np. wyobrazić p. Cecila Rhodesa¹⁵ pozwalającego się okładać batem przez Boera w katedrze św. Pawła w celu zmazania winy jakiejś niemożliwej do usprawiedliwienia śmierci, związanej z zagonem Jamesona¹⁶, będzie miał słabe tylko wyobrażenie o tym, co znaczyła chłosta, którą z rąk zakonników otrzymał Henryk II przy grobie swego wasala i wroga. Przytoczone przed chwilą nowoczesne porównanie jest śmieszne, prawdą jest jednak, że średniowieczne zdarzenia odznaczają się gwałtownością, która dzisiejszym konwencjonalnym obyczajom wydaje się śmieszna. Katolikami owych czasów powodowały dwie główne myśli: niezmierna waga pokuty jako ekspiacji za grzech oraz niezmierna waga jaskrawych, publicznych aktów pokuty. Dla tych ludzi dopiero skrajne upokorzenie po skrajnej pysze przywracało równowagę ducha. Warto położyć na to nacisk, bowiem bez zrozumienia tego faktu współczesny człowiek nie pojmie nic z tego okresu. Green np. twierdzi z całą powagą o Fulku Andegaweńskim, przodka Henryka, że jego tyranie i oszustwa stały się jeszcze czarniejsze na skutek „niskiego przesądu”, który kazał mu dać się wlec na sznurze dokoła świątyni, biczować i krzyknąć do Boga o zmiłowanie. Ludzie średniowiecza powiedzieliby po prostu, że taki człowiek mógł słusznie krzyknąć o zmiłowanie, gdyż krzyk jego był jedynym logicznym wyjaśnieniem, które mógł dać w owej chwili. Nie potrafiliby oni jednak pojąć, dlaczego ten jego krzyk należałoby dodać do jego grzechów, a nie odjąć. Uważaliby po prostu za pomyłonego takiego człowieka, który żywiłby do kogoś tę samą odrazę za to, że jest przeraźliwie grzeszny, jak i za to, że ma przeraźliwy żal.

Zastrzegając się co do mojej nieznamośności rzeczy, myślę jednak, że andegaweński ideał sprawiedliwości królewskiej stracił więcej przez śmierć św. Tomasza, niż się to w pierwszej chwili stało widoczne w przerażeniu całego chrześcijaństwa, kanonizacji ofiary i publicznej pokucie tyrana. Te rzeczy były w pewnym sensie przemijające. Król odzyskał rychło prawo sądzenia kleryków i wielu późniejszych królów i sędziów kontynuowało plan monarchiczny. Pozwalam sobie jednak wyrazić tu przypuszczenie, jako możliwy klucz do zrozumienia późniejszych zastanawiających wydarzeń, że na skutek tego morderczego ciosu korona utraciła to, co powinno było stanowić milczące i masowe podtrzymanie całej jej polityki. Chcę powiedzieć, że straciła lud.

Nie trzeba chyba powtarzać, że usprawiedliwieniem despotyzmu jest demokracja. Okrutny względem mocnych, despota jest z reguły łagodny względem słabych. Historycznej roli autokraty nie można sądzić na podstawie jego stosunków z innymi postaciami historycznymi. Jego prawdziwy poklask nie pochodzi od tych paru aktorów na oświetlonej scenie arystokracji, ale od tej nieprzeliczonej widowni, która przez cały ciąg dramatu siedzi w ciemnościach. Król wspomagający rzesze ludzi, wspomaga ludzi bezimiennych, toteż w chwilach, gdy najhojniej szafuje swą pomocą, jest on chrześcijaninem, czyniącym dobrze po kryjomu. Tego typu monarchia stanowiła ideał średniowieczny, który nie musiał koniecznie zawieść w praktyce. Królowie francuscy nie byli nigdy miłsierniejsi dla ludu niż wtedy, kiedy byli nielitościwi dla możnowładców. Jest też zapewne prawdą, że car będący srogim władcą dla swego otoczenia, dla niezliczonych chat był batiuszką. Jest niezmiernie prawdopodobne, że taka centralna władza, choć byłaby może w końcu zasłużyła na zniszczenie i w Anglii, podobnie jak się to stało we Francji, byłaby i tu, i tam uniemożliwiła garstce ludzi uchwycenie i trzymanie całego bogactwa i władzy po dzień dzisiejszy. W Anglii centralna władza załamała się jednak, a to na skutek czegoś, czego czołowy przykład stanowiło zabójstwo św. Tomasza: czegoś bolesnego i przerażającego, i przeciwnego instynktom ludu. Jakże zaś

¹⁵ Cecil Rhodes (1853–1902), twórca imperium brytyjskiego w Płd. Afryce. Od jego imienia wzięła nazwę Rodezja (przyp. tłum.).

¹⁶ L. S. Jameson, pionier kolonialny i jeden z przywódców politycznych i premierów Płd. Afryki (1853–1917). Bliski współpracownik Cecila Rhodesa. Znany z zagonu, dokonanego w r. 1895 w Transwalu na czele 600 ludzi, za który ukarany został rocznym więzieniem (przyp. tłum.).

znaczenie miało w wiekach średnich to coś bardzo potężnego i raczej osobliwego, co zwiemy ludem, opowiem w następnym rozdziale.

W każdym razie następujące po tym zabójstwie wypadki potwierdzają nasze przypuszczenie. Wielki, choć indywidualny plan Wilhelma Zdobywcy załamał się mimo wszystko w chaosie przejścia do rządów Stefana – podobnie jak wielki, choć indywidualny, plan pierwszego z Plantagenetów załamał się w chaosie wojen baronów. Jeśli nawet uwzględnimy konstytucyjne fikcje i spóźnione zastrzeżenia, wydaje się, że tu, po raz pierwszy, pewne siły moralne opuściły monarchię. Charakter Jana, młodszego syna Henryka (bo Ryszard należy raczej do naszego ostatniego rozdziału), wycisnął na niej jakieś przypadkowe, a jednak symboliczne piętno. Nie znaczy to, by Jan był zwykłą czarną plamą na czystym złocie Plantagenetów, gdyż charakter tej dynastii był znacznie bardziej skomplikowany i ciągły. W rzeczywistości był on jednak zdyskredytowanym Plantagenetem, czy nawet Plantagenetem ze skazą. Nie znaczy to, by był on człowiekiem gorszym niż wielu z jego przeciwników, należał jednak do tego gatunku złych ludzi, których zwalczają zgodnie i źli, i dobrzy. Niewątpliwie udało mu się wpędzić koronę w konflikt ze słusnością, choć doszedł do tego sposobami subtelniejszymi niż metoda prawniczego i parlamentarnego naciągania logiki, wynaleziona znacznie później. Nikt nie twierdził wówczas, że baronowie z czasów Stefana zamykali ludzi w wieżach w celu wzmożenia swobód politycznych, ani że wieszali ich za pięty dla symbolicznego zaznaczenia, że żądają wolnego parlamentu. W czasie panowania Jana i jego syna znowu baronowie, bynajmniej nie lud, uchwycili władzę. Zaczęło się jednak rysować wówczas pewne uzasadnienie tego uchwycenia władzy przez baronów. Tak sądzili ludzie ówczesni, tak sądzili późniejsi dziejopisowie konstytucji. Jan, w jednym ze swych dyplomatycznych manewrów, oddał Anglię pod opiekę papieża, tak jak majątek nieletniego oddaje się pod opiekę sądu. Niestety jednak chciało, że papież, którego rady bywały na ogół łagodne i liberalne, walczył wówczas na śmierć i życie z cesarzem niemieckim i do zwycięstwa potrzebował każdego grosza, jaki tylko mógł uzyskać. Jego zwycięstwo było błogosławieństwem dla Europy, ale dopustem dla Anglii, użył bowiem wyspy jako skarbcza dla tej zagranicznej wojny. W tej sprawie, jak również w innych sprawach, w partii baronów zaczęły rodzić się pewnego rodzaju zasady, które stanowią kościec wszelkiej polityki. Dużo konwencjonalnych rozpraw historycznych, przyrównujących radę baronów do naszej Izby Gmin, jest podobnie naciągniętych, jak byłoby to z powiedzeniem, że *speaker*¹⁷ Izby Gmin używa maczugi, podobnej do tych, jakimi baronowie wywijali na polu bitwy. Szymon de Montfort nie był wprawdzie entuzjastą wigowskiej teorii konstytucji brytyjskiej, był jednak entuzjastą czegoś innego. Założył on parlament w przystępie znacznego zamroczenia umysłu; z prawdziwą natomiast przytomnością umysłu, w odpowiedzialnym, a nawet religijnym stanie ducha – tym samym, który z jego ojca uczynił tak srogiego krzyżowca przeciw heretykom – rozdzielał ciosy swym wielkim mieczem, póki nie poległ pod Evesham¹⁸.

Magna Carta nie była krokiem ku demokracji, lecz krokiem od despotyzmu. Jeśli zapamiętamy sobie dobrze tę podwójną prawdę, będziemy mieli coś w rodzaju klucza do reszty dziejów Anglii. Rozlazłe rządy arystokracji nie tylko zyskały sobie miano wolności, ale nawet często na nie zasługiwały. Dzieje Anglików można najzwięźlej streścić stosując do nich francuskie motto: „Wolność, Równość, Braterstwo” i stwierdzając, że Anglicy kochali szczerze pierwszą, a stracili oba następne.

W ówczesnym zawiłym położeniu wiele przemawiało zarówno za koroną, jak i za nowym i szerszym związkiem szlachty. Były to jednak rzeczy zawiłe, cud natomiast jest sprawą prostą, którą może pojąć każdy człowiek. Możliwości czy niemożliwości św. Tomasza Becketa pozostaną dla

¹⁷ Przewodniczący Izby Gmin to Speaker. W czasie obrad leży przed nim na stole tradycyjne berło – maczuga, zwane Mace (przyp. tłum.).

¹⁸ W 1265 r. Szymon de Montfort zginął w bitwie pod Evesham, pobity przez księcia Edwarda, późniejszego króla Edwarda I (przyp. tłum.).

historii zagadką. Biały płomień jego śmiałej teokracji został stłumiony, a praca jego ucięta tak nagle, jak bajka niedopowiedziana do końca. Pamięć o nim przeszła jednak pod opiekę prostego ludu, wśród niego zaś był on bardziej aktywny po śmierci niż za życia – tak jest, dużo bardziej aktywny. W następnym rozdziale rozważymy, co miano na myśli w wiekach średnich mówiąc o prostym ludzie i jak niezwykłym wydałby on nam się dzisiaj. W poprzednim rozdziale widzieliśmy, jak to w epoce wypraw krzyżowych najdziwniejsze rzeczy nabierały cech swojskich, a ludzie karmili się opowieściami podróżników w czasach, kiedy nie było gazet. Różnokolorowy pokaz martyrologii na niezliczonych murach i oknach oswoił najmniej oświecone jednostki z zagranicznymi okrucieństwami w różnych stronach świata, z biskupem obdartym ze skóry przez Duńczyków czy z dziewicą spaloną przez Saracenów, z jednym świętym ukamienowanym przez żydów a innym pociętym na kawałki przez Muszulinów. Nie mogę uznać za rzecz małej wagi, że wśród tych obrazów jeden z najwspanialszych zginął dopiero niedawno z rąk jednego z monarchów angielskich. W opowieści o tych dwu potężnych przyjaciołach, z których jeden uderzył zbyt mocno i zabił drugiego, było coś z prymitywnych i epicznych romansów tego okresu. Może już wtedy osądzono milcząco pewną sprawę, w oczach zaś tłumu na koronie pozostało tajemnicze piętno niepewności, podobne do piętna Kaina, na królach zaś Anglii pozostało piętno wygnania.

VIII. „Radosna Anglia”¹⁹

Chwył intelektualny, przy pomocy którego pierwszą połowę dziejów Anglii sprowadzono do zupełnie karlich wymiarów i odebrano jej cechy ludzkie, jest bardzo prosty. Polega on na tym, że opowiada się tylko o zawodowych burzycielach, a następnie uskarża się, że cała opowieść jest opowieścią o burzeniu. Król owych czasów jest w najlepszym razie koronowanym katem. Wszelkie rządy są brzydką koniecznością. Jeśli zaś były wówczas jeszcze brzydsze, to po prostu dlatego, że były trudniejsze. To, co zwiemy dziś sądową sesją wyjazdową, było początkowo raczej królewskim zajazdem. Przez pewien czas warstwa przestępców była tak silna, że codzienne rządy sprawowano przy pomocy pewnego rodzaju wojny domowej. Jeśli udało się schwytać wroga ładu społecznego, zabijano go lub kaleczono dziko. Król nie mógł wozić więźnia Pentonville ze sobą na kółkach. Daleki jestem od zaprzeczenia faktu, że w wiekach średnich istniał czynnik prawdziwego okrucieństwa. Istota sprawy polega jednak na tym, że chodziło tu o jedną tylko stronę życia i że więcej okrucieństw wymagało więcej odwagi. Myśląc o naszych przodkach jako o ludziach zadających tortury, powinniśmy czasem pomyśleć o nich również jako o ludziach nieuginających się przed nimi. Nowoczesny krytyk średniowiecza widzi zazwyczaj tylko te ponure cienie, a nie widzi zwykłego światła dziennego średnich wieków. Skoro się raz upora ze swym oburzonym zdumieniem, że wojownicy wojowali, a kaci wieszali, zakłada, że wszystkie inne idee, jakiegokolwiek by one były, były nieskuteczne i bezowocne. Pogardza zakonnikami za unikanie tych właśnie czynności, za których uprawianie pogardza wojownikami. Kładzie nacisk na to, że sztuka wojenna była bezpłodna, nie dopuszczając nawet myśli, by sztuki pokoju były twórcze. Prawda średniowiecza polega natomiast na tym, że właśnie w kwestii sztuk pokoju i typu wytwórczości wieki średnie były czymś wyjątkowym i jedynym w swym rodzaju. Nie piszemy tu eulogii, lecz historię. Człowiek obznajomiony z przedmiotem musi uznać istnienie tych zdolności wytwórczych, choćby ich nawet z pewnych względów nienawidził. Melodramatyczne sprawy, zwane potocznie średniowiecznymi, jak np. sport turniejów, czy też użycie tortur, są znacznie starsze i bardziej uniwersalne. Turniej był doprawdy chrześcijańskim i liberalnym ulepszeniem pokazów gladiatorских, skoro w turnieju panowie narażali się sami, a nie tylko swych niewolników. Tortury nie tylko nie stanowiły wynalazku średniowiecza, ale wywodziły się z pogańskiego Rzymu i jego jak najbardziej racjonalistycznej sztuki politycznej, ich stosowanie do innych ludzi, a nie tylko do

¹⁹ W oryginale „The Meaning of Merry England”. Merry England jest pojęciem zakorzenionym mocno w kulturze angielskiej i oznaczającym starą, wesołą Anglię, pod czym na ogół rozumie się Anglię średniowieczną. „Radosna Anglia” to niedokładnie to samo.

niewolników, było zaś ważkim objawem powolnego wygasania niewolnictwa. Tortury są rzeczą logiczną, zwykłą w państwach nieskalanych fanatyzmem, jak np. w wielkim agnostycznym imperium chińskim. Co było jednak rzeczywiście zastanawiające i godne uwagi w średniowieczu – podobnie jak spartańska dyscyplina była szczególną cechą Sparty, czy też rosyjskie komuny są typowe dla Rosji – to właśnie społeczny charakter średniowiecznej wytwórczości, społeczne metody fabrykacji, budowy i hodowli wszystkich dobrych rzeczy życia.

Wypadki dziejowe, opowiedziane w książce takiej jak nasza, nie mogą dać nawet przedsmaku średniowiecznej Anglii. Dynastie i parlamenty przechodziły jak chmury po niebie, na tle niezmiennego, rodzimego krajobrazu. Instytucje wpływające wówczas na los mas można porównać do zboża czy drzew owocowych, w tym przynajmniej znaczeniu, że wyrastały one od dołu. Istniały może społeczeństwa lepsze, a na pewno nie trzeba rozglądać się daleko, by znaleźć gorsze. Wątpię jednak, czy istniało kiedy społeczeństwo równie samorządne. Nie potrafimy np. ocenić sprawiedliwie samorządów terytorialnych owej epoki, jeśli będziemy przyrównywać je do dzisiejszych form samorządu terytorialnego. Nowoczesny samorząd przychodzi zawsze od góry, w najlepszym razie jest nadany, częściej natomiast jest po prostu narzucony. Nowoczesna oligarchia angielska, czy też nowoczesne państwo niemieckie, z natury rzeczy są sprawniejsze niż średniowiecze, tworząc gminy według pewnego planu czy raczej szablonu. Jednakże ludzie średniowiecza nie tylko mieli samorząd, ale ten samorząd był ich własnym wytworem. Oczywiście szukali oni i uzyskiwali zatwierdzającą pieczęć państwa, w miarę jak centralne władze monarchii narodowych rosły w siłę. Ta pieczęć była zatwierdzeniem faktu już istniejącego. Ludzie związali się w cechy i parafie na długo, zanim przyśniły się komukolwiek akty o samorządach. Podobnie jak miłosierdzie, które uprawiano na tę samą modłę, samorząd stworzyli sobie ci ludzie sami. Wpływy ostatnich wieków pozbawiły większość wykształconych ludzi korporacyjnej wyobraźni, potrzebnej do wyobrażenia sobie ludowego samorządu. Dzisiejszy intelektualista myśli o tłumie tylko jako o czymś, co tłucze pewne rzeczy – nawet jeśli przyznaje mu słuszność w tłuczeniu tych rzeczy. Tłum jednak był twórcą tych rzeczy. Artysta wyśmiewany jako wielogłowy, artysta o wielu oczach i dłoniach stworzył te majstersztyki. Jeśli zaś nowoczesny sceptyk, obrzydony ideałem demokratycznym, ma pretensję, że nazywam te rzeczy majstersztykami, niech mu wystarczy na razie prosta odpowiedź, że samo słowo „majstersztyk” zaczerpnięte zostało ze słownictwa średniowiecznego rzemiosła. Te szczegóły ustroju cechowego rozpatrzemy jednak trochę później. W tym miejscu chodzi nam tylko o zupełnie samorządne pojawienie się wszystkich tych instytucji społecznych, jakie wówczas widzimy. Wyrastały one wszędzie, jak milczący bunt, jak nieruchome rozruchy. W nowoczesnych państwach konstytucyjnych nie spotyka się w praktyce instytucji politycznych nadanych sobie w ten sposób przez sam lud. Wszystkie takie instytucje otrzymuje lud w darze od kogoś innego. Jedna tylko rzecz ostała się dziś jeszcze wśród nas, osłabiona wprawdzie i zagrożona, ale dzierżąca nadal pewną władzę, jakby jakaś zjawia średniowiecza: związki zawodowe.

W rolnictwie przydarzyło się ziemi coś w rodzaju ogólnego jej obsunięcia. Cudownym jednak zdarzeniem, inaczej niż w przypadku katastrof geologicznych, ziemia obsunęła się pod górę. Cywilizacja wiejska znalazła się na zupełnie nowym i znacznie wyższym poziomie, mimo że nie tłumaczyło się to ani wielkimi społecznymi zaburzeniami, ani nawet, jak się zdaje, wielkimi społecznymi zmaganiem. Wygląda na to, że jest to odosobniony w dziejach przykład ludzi upadających pod górę, lub też – w najgorszym razie – przykład wyrzutków padających na równe nogi czy też włóczęgów trafiających przypadkiem do ziemi obiecanej. Rzecz taka nie mogła być i nie była prostym zbiegiem okoliczności. Jeśli jednak założymy, że ludzie zazwyczaj kierują się świadomymi planami politycznymi, to było to rzeczywiście czymś w rodzaju cudu. Pojawiła się bowiem wówczas jakby jakaś rasa podziemna, wydobyta na światło dzienne, coś nieznanego dostojnej cywilizacji cesarstwa rzymskiego, a mianowicie – chłopstwo.

Na początku ciemnych wieków wielkie pogańskie kosmopolityczne społeczeństwo, które przeszło na chrześcijaństwo, było oparte na niewolnictwie w tym samym sensie jak dawna Południowa Karolina²⁰. Tymczasem w czternastym wieku społeczeństwo to składało się z

²⁰ Jeden ze stanów wchodzących w skład USA, znany ze szczególnie okrutnego traktowania niewolników aż do

uwłaszczonych chłopów w tym samym prawie stopniu, co nowożytna Francja. Nie wydano żadnych ustaw przeciw niewolnictwu. Żadne dogmaty nie potępiały go w zasadzie, nie stoczono przeciw niemu żadnej wojny, żadna nowa rasa czy kasta rządząca nie odrzuciła go. A jednak znikło. Ta groźna i milcząca, cicha przemiana daje najlepszą może miarę nacisku ludowych sił w wiekach średnich, szybkości, z jaką w swej duchowej fabryce wytwarzały one rzeczy nowe. Podobnie jak wszystko inne w rewolucji średniowiecznej, od jej katedr po jej ballady, przemiana ta była równie bezimienna jak ogromna. Jest rzeczą bezsporną, że świadomymi i czynnymi tępicielami niewolnictwa byli wszędzie księża parafialni oraz bractwa religijne. Niczyje jednak imię nie przetrwało i żaden z tych ludzi nie uzyskał nagrody na tym świecie. Niezliczeni Clarksonowie i Wilberforceowie²¹, niedysponujący ani aparatem politycznym, ani rozgłosem publicznym, pracowali przy łożach śmierci, w konfesjonalach we wszystkich wsiach Europy, aż wielka instytucja niewolnictwa zanikła. Największe to chyba z dzieł dokonanych kiedykolwiek dobrowolnie przez obie strony, średniowiecze było bowiem, i w tej sprawie, i w innych, epoką ochotników. Wystarczyłoby może wyliczyć z grubsza stadia, przez które sprawa ta przeszła; takie wyliczenie nie wyjaśniłoby jednak, dlaczego wielcy posiadacze niewolników wypuścili ich z ręki. Nie da się tego wyjaśnić inaczej niż psychologicznie. Chrześcijaństwo typu katolickiego było nie tylko żywiołem, było również klimatem. A w tym klimacie niewolnik nie chciał rosnąć. Mówiąc o stopniowym przekształcaniu się cesarstwa rzymskiego, stanowiącym tło wszystkich tych wieków, wspomniałem już, że mistyczny pogląd na godność człowieka musiał wywołać taki właśnie skutek. Stół, który chodzi i mówi, czy też krzesło wylatujące przez okno na skrzydłach, byłoby równie nieprzydatne, jak nieśmiertelne bydło. O ile jednak tu, podobnie jak wszędzie indziej, duch tłumaczy zdarzenia, a zdarzenia nie mogą w żaden sposób wytłumaczyć ducha, to przecież te zdarzenia wiążą się z dwoma bardzo istotnymi momentami, bez których rozpatrzenia nie uda nam się zrozumieć, jak tę wielką ludową cywilizację stworzono – ani też jak ją zniszczono.

To, co zwiemy obecnie dworami, to były pierwotnie *villae* pogańskich panów, zaludnione niewolnikami. Możemy na różny sposób tłumaczyć sobie ten rozwój wypadków, w każdym razie doszło do tego, że pan przestał rościć sobie pretensje do całości zysku z gospodarstwa, w którym pracowali niewolnicy. W ten sposób roszczenia jego zredukowały się do części zysku z tego gospodarstwa, aż wreszcie skurczyły się do pewnych tylko należności czy też zwyczajowych opłat, po których zapłaceniu niewolnik mógł nie tylko uprawiać ziemię, ale ciągnąć z niej zyski do własnej kieszeni. Należy pamiętać, że panami dużych obszarów, i to szczególnie ważnych obszarów, byli opaci, tzn. urzędnicy wybrani przez mistyczne komuny, sami często pochodzący z chłopów. Pod ich pieczęcią ludzie otrzymywali nie tylko niezłą miarę sprawiedliwości, ale i niezłą miarę wolności, która broniła ich przed swawolą panów. Dwa szczegóły tej ewolucji są bardzo istotne. Po pierwsze, jak już zaznaczyliśmy w innym miejscu, niewolnik pozostał długo w pośrednim stanie chłopu pańszczyźnianego. Znaczyło to, że ziemia miała wprawdzie prawo do usług tego człowieka, ale i on był również uprawniony do utrzymywania się z tej ziemi. Nie można go było usunąć, nie można mu nawet było – dzisiejszą modą – podnieść czynszu dzierżawnego. Zaczęło się od tego, że niewolnik stanowił jeszcze czyjąś własność, lecz nie można go już było przynajmniej wywłaszczyć. Skończyło się zaś na tym, że stał się on faktycznie małym właścicielem ziemskim, po prostu dlatego, że nie należał on już do pana, a jedynie do ziemi. Nie zaryzykujemy wiele, twierdząc, że w tym wypadku (na skutek jednego z paradoksów tego niezwykłego okresu) sama sztywność ustroju pańszczyźnianego służyła sprawie wolności. Nowy chłop odziedziczył coś z ustabilizowanego stanowiska, jakie zajmował niewolnik. Nie przychodził on na świat w atmosferze rozpasanego współzawodnictwa, w której każdy starał się wydrzeć mu jego wolność. Znalazł się wśród sąsiadów, którzy uważali jego obecność za rzecz normalną, a jego granice za granice naturalne, za granice, wśród których wszechwładne obyczaje dusiły w zarodku wszelkie

wojny domowej w roku 1863, w wyniku której zniesiono niewolnictwo (przyp. tłum.).

²¹ Angielscy reformatorzy społeczni z połowy XIX wieku, którzy przeprowadzili zwycięską kampanię o zniesienie niewolnictwa (przyp. tłum.).

próby współzawodnic Swa. Za sprawą jakiegoś chwytu czy nagłego zwrotu, których nawet najgenialniejszy łgarz nie odważyłby się wprowadzić do swej baśni, ten więzień stał się naczelnikiem własnego więzienia. Przez krótki okres bliskie prawdy było powiedzenie, że dom Anglika był jego zamkiem, ponieważ zbudowany był dostatecznie mocno, by mógł służyć za więzienie.

Drugi znamieny motyw polegał na tym, że gdy wytwory ziemi zaczęto zwyczajowo dzielić, dając panu już tylko ich część, resztę zaczęto dzielić stosownie do dwu typów własności. Jeden dotyczył chłopów pańszczyźnianych indywidualnie, w prywatnych gospodarstwach, z drugiego korzystali wspólnie, i to na ogół wspólnie z panem. W ten sposób powstała bardzo ważna średniowieczna instytucja ziemi gromadzkiej – obok ziemi prywatnej. Była to alternatywa, a zarazem kłapa bezpieczeństwa. Nikt z ludzi średniowiecza, poza zakonnikami, nie był komunistą, wszyscy byli jednak w pewnej mierze potencjalnymi komunistami. Jest typowe dla ponurego i wypranego z cech ludzkich obrazu tej epoki, że nasze powieści opisują stale, jak to wykolejony człowiek chroni się do lasów i do jaskiń, w których gnieźdzą się ludzie wyjęci spod prawa. Nigdy nie słyszymy jednak, by człowiek ten chronił się na ziemię gromadzką, co zdarzało się znacznie częściej.

Średniowiecze wierzyło w naprawienie wykolejonych ludzi. Idea ta znalazła swój wyraz zarówno w gromadzkim życiu zakonnym, jak i w gromadzkim życiu chłopów na gromadzkiej ziemi. Był to ich wielki zielony szpital, ich wolny i przewiewny dom roboczy. Ziemia gromadzka, zwana „Common”, nie była tym, czym są krzaki czy nieużytki na skrajach przedmieść, zwane dziś „Common”. Był to zapas bogactwa, podobny do zapasu ziarna w stodole. Rozmyślnie trzymano tę ziemię w zapasie, tak jak się trzyma w banku zapas gotówki. Otóż te instytucje, zmierzające do zdrowego rozdziału własności, same w sobie dowodzą każdemu człowiekowi obdarzonemu wyobraźnią, że uczyniono rzeczywisty wysiłek moralny w kierunku sprawiedliwości społecznej i że nie był to tylko ewolucyjny przypadek, który powoli obracał niewolnika w pańszczyźnianego chłopca, a tego ostatniego w chłopca uwłaszczonego. Gdyby ktoś jednak jeszcze uważał, że to ślepy traf, a nie poszukiwanie światła, jakoś tak doprowadził do powstania stanu chłopskiego w miejsce majątków obrabianych przez niewolników, niech się zainteresuje tym, co się działo równocześnie we wszystkich innych zawodach. Przestanie wówczas wątpić, zobaczy bowiem ludzi tego samego średniowiecza przy pracy nad ustrojem społecznym, równie jasno zmierzającym do miłosierdzia i równości. Ustrój taki nie mógł powstać przypadkiem, tak jak trzęsienie ziemi nie mogło zbudować żadnej z katedr średniowiecznych.

Większość rodzajów pracy, poza podstawową pracą na roli, była wówczas pod strażą czujnych na punkcie równości cechów. Trudno znaleźć jakieś określenie dla odległości między tym systemem a społeczeństwem współczesnym. Możemy uzyskać tylko pewne przybliżenie, opierając się na słabo dziś widocznych śladach, które ten system po sobie zostawił. Nasze życie codziennie zasłane jest odpadkami średniowiecza, a w szczególności martwymi słowami, które zatraciły swe dawne znaczenie. Wymieniłem już jeden taki przykład. Na pewno nie nasuwa nam się obraz powrotu do chrześcijańskiego humanizmu, ilekroć wspominamy Plac Gromadzki (Common) na przedmieściu Wimbledon. Wyraża się to nawet w takich drobiazgach, jak tytuły, które piszemy na listach i kartkach. Zagadkowy i okaleczony skrót „Esq.” stanowi patetyczną pozostałość po odległej ewolucji od rycerstwa do snobizmu. Trudno o dwa pojęcia historyczne odleglejsze od siebie niż giermek (esquire) i ziemianin (squire). Pierwszy był stanowiskiem niepewnym i próbnym – poczwarką rycerską, drugi oznacza bezpieczną pozycję posiadaczy i władców wiejskiej Anglii na przestrzeni ostatnich wieków. Nasi giermkowie nie uzyskiwali żadnych posiadłości, póki nie poświęcili osobistych zachcianek dla zdobycia swych ostróg. Giermek (esquire) nie jest więc synonimem ziemianina (squire), a „esq.”, jako nagłówek w liście, nie znaczy w ogóle nic. Pozostał jednak na naszych listach ten mały wężyk, pisany piórem na papierze, hieroglif niemożliwy do odcyfrowania, pogmatwany przez osobliwe koleje naszych dziejów, które przemieniły wojskową dyscyplinę w pacyfistyczną oligarchię, a tę ostatnią w końcu w zwykłą plutokrację. Na podobne zagadki historyczne można również natrafić w formach tytułowania się w towarzystwie. Jest coś dziwnie pożałowania godnego we współczesnym słowie „Mister”. Nawet w samym jego brzmieniu

przebija niezdarna słabość, znamionująca zwyrodnienie mocnego słowa, od którego „Mister” pochodzi. Znaczenie tego dźwięku nie jest jednak nieścisle. Przypominam sobie niemiecką opowieść o Samsonie, w której nosił on niepozorne miano Simsona, ukazujące Samsona w postaci skarłalej. Jest coś z tego samego smętnego diminuendo w przejściu słowa „Master” w słowo „Mister”.

Wielce istotne znaczenie słowa „Master” polega na następującej okoliczności: cech był, mówiąc bardzo ogólnie, związkiem zawodowym, w którym każdy człowiek był swoim własnym pracodawcą. Znaczy to, że żaden człowiek nie mógł pracować w żadnym zawodzie, o ile nie przystąpił do związku i nie przyjął praw tego zawodu, pracował jednak we własnym warsztacie, własnymi narzędziami i cały zysk szedł do jego kieszeni. Słowo „pracodawca” wykazuje jednak nowoczesne braki, czyniące nowoczesny sposób używania słowa „master” (mistrz) zupełnie niewłaściwym. „Mistrz” znaczyło coś zupełnie innego i większego niż „boss”. Znaczyło to mistrza w pracy, podczas gdy dziś oznacza tylko zwierzchnika pracowników. Jest zasadniczą cechą kapitalizmu, że właściciel okrętu nie potrzebuje znać się na okręcie. Właściciel ziemski może nie widzieć nigdy wiejskiego krajobrazu, właściciel kopalni złota może nie interesować się niczym poza zbieraniem stylowych naczyń cynowych, a właściciel linii kolejowej może podróżować wyłącznie balonami. Czasem będzie on miał większe powodzenie jako kapitalista, jeśli z własnego przedsiębiorstwa zrobi swoje „hobby”; często uzyska większe powodzenie jako kapitalista, jeśli będzie miał wystarczająco wiele rozumu, by zdać się na swego dyrektora. Z punktu widzenia ekonomii włada on jednak przedsiębiorstwem, ponieważ jest kapitalistą, a nie ponieważ ma jakieś „hobby”, czy jakiś rozum. Najwyższym stopniem w systemie cechowym był „mistrz”, co oznaczało mistrzostwo w danym zawodzie. By się posłużyć terminem ukutym przez uczelnie tego samego okresu, wszyscy średniowieczni szefowie przedsiębiorstw byli „Masters of Arts”²². Niższymi stopniami byli czeladnik i uczeń. Analogicznie jednak do odpowiednich stopni uniwersyteckich – były to stopnie, przez które każdy zwykły człowiek musiał przejść. Nie były to klasy społeczne, były to stopnie, a nie kasty. Tym się tłumaczy zjawisko stale się powtarzającego romansu ucznia, który żeni się z córką mistrza. Mistrza nie dziwiła taka rzecz, podobnie jak „Master of Arts” nie zawrzałyby arystokratycznym oburzeniem, gdyby jego córka wyszła za „Bachelor of Arts”²³.

Przechodząc od hierarchii zawodowej do ideału równościowego, zauważymy znowu, że dzisiejsze pozostałości tego systemu są tak wykoślawione i bez związku, że stały się po prostu śmieszne. Istnieją w City londyńskim spółki dziedziczące herby i ogromne bogactwa dawnych cechów, nie dziedziczące jednak niczego poza tym. Nawet ich zalety nie odpowiadają zaletom cechów. W jednym np. wypadku widzimy instytucję w rodzaju Czcigodnego Towarzystwa Układaczy Cegieł, w którym nie ma oczywiście ani jednego murarza, ani w ogóle nikogo, kto by kiedykolwiek znał osobiście murarza, ale w którym szefowie paru wielkich przedsiębiorstw z City, wraz z paru zramolałymi dygnitarzami wojskowymi, rozmiłowanymi w jedzeniu, tłumaczą sobie nawzajem w poobiednich przemówieniach, że chlubą ich życia było sporządzanie alegorycznych cegieł. W innym znów wypadku widzimy Czcigodne Towarzystwo Praczy, zasługujące na swą nazwę w tym chyba tylko rozumieniu, że wielu z nich zatrudnia przy praniu dużą ilość innych ludzi. Te towarzystwa utrzymują wielkie instytucje miłosierdzia, bardzo zresztą nieraz pożyteczne. Ich założenie jednak jest zupełnie inne od miłosierdzia praktykowanego przez dawne cechy. Cechowa dobroczynność miała ten sam cel, co ziemia gromadzka. Chodziło o przeciwstawienie się nierówności, czy też, jak powiedzieliby niektórzy poważni panowie z poprzedniego pokolenia, o oparcie się ewolucji. Chodziło nie tylko o pewność, że sztuka murarska utrzyma się i będzie prosperować, ale że każdy z osobna murarz utrzyma się i będzie prosperował. Dążono do odbudowy ruin każdego murarza i do dania nowego fartucha każdemu wypłowiłowemu praczowi.

²² Stopień naukowy nadawany do dziś na uniwersytetach angielskich, pośredni między naszym magisterium a doktorem (przyp. tłum.).

²³ Odpowiednik naszego magistra (przyp. tłum.).

Zadaniem cechów była naprawa szewców, podobnie jak butów, i łatanie sukienników ich własnym sukniem; wzmacnianie najsłabszego punktu i szukanie zgubionej owieczki. Jednym słowem chodziło o utrzymywanie linii małych warsztatów nieprzerwanej, jak linii frontu. Cech bronił się przed wzrostem wielkiego warsztatu. Otóż nawet prace z Towarzystwa Pracy nie zechcą chyba twierdzić, że towarzystwo to istnieje w celu zapobiegania, by wielki warsztat nie połykał małego warsztatu, lub że dla zapobieżenia temu Towarzystwo Pracy kiedykolwiek coś uczyniło. W najlepszym zresztą razie pomoc, okazana dziś zbankrutowanemu praczowi, sprowadziłaby się do pewnego rodzaju odszkodowania, nie byłaby zaś przywróceniem go na dawne jego miejsce w ustroju przemysłowym. O ile wydajemy się dziś dbać o sam zawód, o tyle nie troszczymy się o pojedyncze życie. Toteż na skutek tej bardzo nowoczesnej, ewolucyjnej filozofii uległy zniszczeniu same zawody. Dawne cechy, mając oczywiście na oku ten sam cel, tj. równość, kładły kategoryczny nacisk na ten sam system równej płacy i równego traktowania, który zarzuca się dzisiejszym związkom zawodowym. Cechy średniowieczne należały jednak także, czego dzisiejsze związki zawodowe robić nie mogą, na wysoki poziom umiejętności fachowych, który świat jeszcze ciągle podziwia w narożnikach walących się budynków i w barwach połamanego szkła. Nie ma dziś artysty ani krytyka sztuki, który by nie przyznał, bez względu na odległość dzielącą jego własny styl od gotyku, że owe czasy przejawiały bezimienny – ale uniwersalny – smak artystyczny przy kształtowaniu przedmiotów codziennego użytku. Przypadek zachował najzwyczajniejsze łaski i krzesła, garnki i rondle o tak wdzięcznych kształtach, jak gdyby właścicielami ich były rusałki. Rzeczy te wytwarzano bowiem w kraju niesłychanie, w porównaniu z następnymi ustrojami, fantastycznym, bo w kraju wolnym.

Że ta najbardziej średniowieczna z instytucji nowożytnych, jaką są związki zawodowe, nie walczy o ten sam ideał estetycznego wykończenia, jest doprawdy tragiczne. Ganiąc je za to, wykazał ibyśmy jednak zupełny brak zrozumienia przyczyn tej tragedii. Związki zawodowe są zrzeszeniami ludzi bez własności, starających się wyrównać jej brak swą liczebnością oraz faktem, że ich praca jest koniecznie potrzebna. Cechy natomiast były zrzeszeniami ludzi uwłaszczonych, starających się zabezpieczyć każdego człowieka w posiadaniu jego własności. Tylko w takim wypadku można oczywiście w ogóle mówić o istnieniu własności. Nie wolno by nam bowiem było nazywać jakiegoś społeczeństwa murzyńskim, gdyby większość ludzi była w nim biała, a nieliczni murzyni byłiby olbrzymami. Nie powinniśmy również uważać za społeczeństwo ludzi żonatych takiego społeczeństwa, w którym większość mężczyzn byłaby kawalerami, a trzech ludzi miałoby haremy. Społeczeństwem ludzi żonatych nazwiemy takie, w którym większość ludzi będzie żonata, a nie takie, w którym jeden lub dwu ludzi będzie „bardzo żonatych”. Społeczeństwo jest więc wtedy uwłaszczone, kiedy większość ludzi posiada jakąś własność, a nie kiedy to społeczeństwo ma paru kapitalistów. Faktycznie zaś członkowie cechów (podobnie jak chłopci pańszczyźniani, pół-pańszczyźniani i wolni) byli znacznie bogatsi, niż się to da wywnioskować z samego faktu, że cechy broniły prawa do posiadania własnego domu, własnych narzędzi i sprawiedliwej płacy. Okaże się to jasno przy sumiennym przestudiowaniu cen tego okresu, oczywiście przy pełnym uwzględnieniu odmiennej wartości dzisiejszych pieniędzy. Człowiek mógł wówczas kupić gęś lub kilka kwart piwa za jedną lub dwie z najmniejszych i najpowszechniejszych monet, przy czym dla istoty sprawy obojętne są same nazwy tych monet. Nawet tam, gdzie indywidualne bogactwo było surowo ograniczane, bogactwo zbiorowe było bardzo duże – bogactwo cechów, parafii, a szczególnie – bogactwo posiadłości zakonnych. Jeśli chcemy zrozumieć dalsze dzieje Anglii, powinniśmy pamiętać o tym fakcie.

Następnym faktem godnym zanotowania jest to, że samorząd gminny wyrósł z ustroju cechowego, a nie ustrój cechowy z samorządu. Szkicując tu zdrowe zasady tego zaginionego społeczeństwa, nie będę – nie podejrzewa mnie chyba o to nikt będący przy zdrowych zmysłach – malował jakiegoś rajy moralnego ani sugerował, że społeczeństwo to było wolne od błędów i walk, i zmartwień, które we wszystkich czasach nękały ludzi, a na pewno w nie mniejszym stopniu nękają ich w naszych czasach. Na temat cechów toczyło się sporo kłótni i walk, w szczególności zaś wrzało przez pewien czas gorące współzawodnictwo między gildiami kupców, którzy sprzedawali towary, a cechami rzemieślników, którzy je wytwarzali. W sporach tych brali na ogół górę

rzemieślnicy. Bez względu jednak na to, która ze stron przeważała, głowy cechów zostawały głowami miast, a nie na odwrót. Skostniałe przeżytki tego niegdyś samorzutnego objawu widzimy również w stanowiącej obecnie anomalię instytucji Lorda Mayora oraz Korporacji (Livery) londyńskiego City. Skoro powtarza się nam dziś w kółko, że rządy naszych ojców opierały się na narzędziach walki, nie zawadzi podkreślić, że ich najbliższe i najcodzienniejsze rządy były oparte w całości na narzędziach pracy. Był to ustrój, w którym narzędzie robotnika stało się berłem. Blake, w jednej ze swych symbolicznych fantazji, wysuwa myśl, że w Złotym Wieku złoto i klejnoty należy zdjąć z rękojeści miecza i umieścić na rączce pługa. W istocie coś bardzo podobnego zdarzyło się w okresie tego interludium średniowiecznej demokracji, która fermentowała pod powłoką średniowiecznej monarchii i systemu arystokratycznego. Narzędzia pracy grały często rolę pompatycznych znaków heraldycznych. W emblematkach czy paradnych widowiskach cechowych pełno było symboli oznaczających najbardziej prozaiczne zajęcia. Żeby użyć odpowiedniego porównania, trzeba by wyobrazić sobie, że kaptury na rycerskich zbrojach – czy też nawet szaty religijne – sporządzone były z samodziału i ozdobione perłowymi guzikami z koszuli straganiarza.

Skoro do tego pobieżnego szkicu, obrazującego obcy nam obecnie, a nawet zupełnie fantastyczny stan rzeczy, dorzucimy jeszcze dwa rysy, stanie się on na tyle pełny, na ile nas tutaj stać. Oba te rysy odnoszą się do związków między życiem ludowym a polityką, z których składa się zazwyczaj całość dziejów. Pierwszym, a dla naszych czasów najwidoczniejszym z tych ogniw, jest przywilej. Uciekając się jeszcze raz do porównania ze związkami zawodowymi, najbardziej zrozumiałego dla dzisiejszego czytelnika, możemy powiedzieć, że przywileje cechowe odpowiadały z grubsza temu „uznaniu”, o które bezskutecznie rozbijali się kolejarze i inne związki zawodowe jeszcze parę dziesiątków lat temu. Dzięki przywilejom cech czerpał uprawnienia od króla czy też rządu centralnego lub państwowego, a to miało wielką wagę moralną dla ludzi średniowiecza, którzy wolność uważali zawsze za stan pozytywny, a nie za negatywną ucieczkę od skrepowania. Nie mieli oni w sobie nic z nowoczesnego romantyzmu, upodabniającego wolność do samotności. Ich pogląd wyrażał się w zdaniu o dawaniu komuś „wolności” jakiegoś miasta²⁴: nie pragnęli oni dawać wolności jakiegoś pustkowi. Jeśli stwierdzimy ponadto, że cechy zyskały również uznanie Kościoła – powiemy za mało, gdyż religia przewijała się, jak bogata nić, poprzez szorstki kobierzec tych ludowych spraw wówczas, gdy były one ciągle jeszcze tylko ludowe. Niejedno stowarzyszenie zawodowe miało świętego patrona na długo przed otrzymaniem pieczęci królewskiej.

Drugą istotną okolicznością jest fakt, że właśnie z tych istniejących już gmin wybrano pierwszych posłów do największego i ostatniego może z wielkich doświadczeń średniowiecza: do parlamentu.

Czytaliśmy wszyscy w szkole, jak to Szymon de Montfort i Edward I, gdy po raz pierwszy powołali gminy do rady nad miejscowym opodatkowaniem, wezwali z każdego miasta „po dwu mieszczan”. Gdybyśmy się byli wczytali lepiej w historię, te proste słowa mogłyby nam zdradzić całą tajemnicę utraconej cywilizacji średniowiecza. Wystarczyło zapytać, czym byli mieszczanie i czy rośli oni może na drzewach? Odkrylibyśmy wtedy łatwo, że średniowieczna Anglia pełna była małych parlamentów, z których sporządzono jeden duży parlament. Gdyby zaś ktoś wyraził zdziwienie, dlaczego ta duża rada (ciągle jeszcze nosząca dziwną, staroświecką nazwę Izby Gmin), jest jedyną spośród ludowych czy wybieranych korporacji, o której słyszy się tyle w naszych podręcznikach historii, otrzyma odpowiedź prostą i nieco smutną. Otóż parlament był jedynym z twórców średniowiecza, który w końcu zgodził się zdradzić i zniszczyć inne twory.

IX. Wojny z Francją kształtują naród

Co mamy na myśli mówiąc, że świat chrześcijański stanowił i stanowi jedność kulturalną czy cywilizacyjną? Na to pytanie istnieje prymitywna, ale prosta odpowiedź, polegająca na zbadaniu,

²⁴ „Freedom of City” równa się naszemu „obywatelstwu honorowemu” (przyp. tłum.).

który z wielu sposobów użycia słowa „chrześcijański” jest najpowszechniej używany. Jeden z tych sposobów jest oczywiście najwyższy, słowa tego używa się dziś jednak i na wiele innych sposobów. Czasem słowo „chrześcijanin” oznacza ewangelika. Czasem, i to dopiero w ostatnich czasach, chrześcijanin oznacza kwakra. Czasem chrześcijanin oznacza jakąś skromną osobę, wierzącą, że jest podobna do Chrystusa. Długo jednak, w przypadkowych rozmowach, toczonych przez szarych ludzi, miało to słowo jedno tylko znaczenie i oznaczało pewną kulturę czy cywilizację. Ben Gunn na Wypie Skarbów nie powiedział do Jima Hawkinsa: „Czuję się oderwany od pewnego typu cywilizacji”, ale powiedział: „Stęskniłem się za chrześcijańskim jadłem”. Stare baby wiejskie patrząc na panią o krótkich włosach, ubraną w spodnie, nie powiedzą na pewno: „Dostrzegamy rozbieżność między jej kulturą a naszą”, lecz powiedzą: „Dlaczego nie ubierze się ona po chrześcijańsku?” To, że ten sposób wyrażania się przeniknął w najprostsze, a nawet najgłupsze codzienne rozmowy, dowodzi tylko tego, że świat chrześcijański był niezwykle rzeczywisty. Był on jednak, jak widzieliśmy, również zdecydowanie „zlokalizowany”, szczególnie w wiekach średnich. Ten zaś żywy lokalizm, budzony przez chrześcijańską wiarę i uczucia, doprowadził do nadmiernej parafianščyzny Przybytki tego samego świętego współzawodniczyły ze sobą. Między dwoma posągami tego samego bóstwa odbywało się coś w rodzaju pojedynków. Na skutek rozwoju wypadków, który będzie przedmiotem naszego następnego rozdziału, ludy europejskie zaczęły się sobie stawać rzeczywiście obce. Ludzie zaczęli uważać, że cudzoziemcy nie jedzą czy nie piją jak chrześcijanie, a nawet, gdy nastąpiła schizma, zaczęli wątpić, czy cudzoziemcy są w ogóle chrześcijanami.

Chodziło tu oczywiście o rzeczy znacznie ważniejsze. Podczas gdy wewnętrzny układ średniowiecza był parafialny i w dużej mierze ludowy, w sprawach większych, a szczególnie w sprawach takich jak pokój czy wojna, większość (choć bynajmniej nie całość) spraw średniowiecza miała charakter monarchiczny. Chcąc zobaczyć, jakiego znaczenia nabrali wówczas królowie, musimy rzucić okiem wstecz na to wielkie tło, utkane jakby z ciemności i świtu, na którym rysują nam się pierwsze postacie naszych dziejów. Tym tłem były wojny z barbarzyńcami. Póki one trwały, świat chrześcijański był nie tylko jednym narodem, ale jakby jednym miastem – i to miastem oblężonym. Wessex był tylko jednym jego murem, a Paryż jedną basztą. W tym samym języku i duchu Beda pisał kronikę oblężenia Paryża i Abbo śpiewał pieśń o Alfredzie. Potem przysłała kolej na podboje i nawracanie: cały koniec ciemnych wieków oraz brzask średniowiecza pełne były niesienia Ewangelii między barbarzyńców. Paradoks wypraw krzyżowych polegał na tym, że choć Saraceni po wierzchu byli bardziej ogładzeni od chrześcijan, zdrowy instynkt kazał ich uważać za burzycieli z ducha. Sprawa z północnymi poganami była prostsza i cywilizacja szerzyła się tam w sposób prostszy. Dopiero jednak pod sam koniec wieków średnich, na krótko przed reformacją, lud Prus, dzikiego kraju, leżącego poza Niemcami, doczekał się wreszcie chrztu. Ktoś, dla kogo nie ma nic świętego, mógłby pozwolić sobie tu na trywialne porównanie chrztu ze szczepieniem ospy i wyrazić przypuszczenie, że dla takich czy innych powodów szczepienie Prusów „nie przyjęło się” nawet wówczas.

Groźbę ze strony barbarzyńców usuwano więc krok za krokiem. Islamu nie potrafiono wprawdzie złamać, ale skutecznie go poskromiono. Wyprawy krzyżowe stały się beznadziejne, lecz stały się i niepotrzebne. Skoro zagrożenie chrześcijaństwa minęło, władcy Europy, którzy połączyli się dla stawienia mu czoła, stanęli oko w oko naprzeciw siebie. Mieli teraz więcej wolnego czasu dla stwierdzenia, że ich własne zapędy władcze wchodzą ze sobą w konflikt. Byłoby to jednak łatwe do przezwyciężenia albo wywołałoby niewielkie tylko zamieszanie, gdyby prawdziwie samorodna twórczość wyrażająca się w życiu lokalnym nie prowadziła ze swej strony do rzeczywistej różnorodności. Nic o tym prawie nie wiedząc, królowie nabrali charakteru przedstawicieli wła i nych społeczeństw. Niejeden z nich, upierając się jeszcze przy drzewie genealogicznym czy tytule prawnym, przemawiał już w imieniu lasów i pieśni całej okolicy. Szczególnie w Anglii ta przemiana znalazła typowy wyraz w przypadku, który wyniósł na tron jednego z najszlachetniejszych ludzi wieków średnich.

Edward I chodził we wszystkich blaskach swej epoki. Podjął Krzyż i walczył z Saracenami. Był jedynym godnym przeciwnikiem Szymona de Montfort w tych wojnach z baronami, które, jak

to widzieliśmy, były pierwszymi (choć jeszcze słabymi) oznakami rodzącej się teorii, że Anglią powinni rządzić jej baronowie, a nie jej królowie. Wziął się on, podobnie jak Szymon de Montfort, ale solidniej, do rozwijania wielkiej średniowiecznej instytucji parlamentu. Jak już wspomnieliśmy, parlament nałożony został na istniejące demokracje parafialne i sprowadzał się początkowo do wzywania miejscowych przedstawicieli do rady na temat podatków miejscowych. Wzrost znaczenia parlamentu zbiegał się ze wzrostem opodatkowania. Są więc pewne przesłanki teoretyczne dla późniejszych roszczeń parlamentu do wyłącznego prawa nakładania podatków. Początkowo parlament był narzędziem królów sprawiedliwych, a przede wszystkim narzędziem Edwarda I, który kłócił się często ze swoimi parlamentami, a może czasem nie podobał się swemu ludowi (co nie było zresztą nigdy jednym i tym samym), ale na ogół był władcą w najwyższym stopniu reprezentatywnym. W związku z tym należy rozważyć pewne trudne i ciekawe zagadnienie, stanowiące koniec wątku rozpoczętego podbojem normañskim. Edward nie był na pewno nigdy królem bardziej reprezentatywnym, można powiedzieć: królem bardziej republikańskim, niż wtedy, kiedy wyganiał żydów. Problem ten jest tak mało rozumiany i nacechowany uczuciem tak głupiej niechęci względem tej zdolnej i historycznej rasy, że musimy zatrzymać się na chwilę dla omówienia tej sprawy.

Żydzi byli w średniowieczu równie potężni, jak niepopularni. Byli oni kapitalistami tej epoki, posiadaczami płynnych bogactw, gotowych w każdej chwili do wypożyczenia. Można bronić tezy, że w ten sposób byli oni użyteczni. Pewne jest, że w ten sposób ich używano. Można również zupełnie słusznie powiedzieć, że w ten sposób ich nadużywano. Nie chodziło tu jednak o to nadużycie, o którym wspomina się przypadkowo w powieściach, obracających się przeważnie dokoła tej jednej myśli, że wrywano im zęby. Ci, którzy słyszeli o tym w formie anegdoty o królu Janie, na ogół nie znają dość ważnego szczegółu, że była to anegdota skierowana przeciw królowi Janowi. Anegdota ta wydaje się wątpliwa, opowiadając ją, podkreślano jej wyjątkowość, samo zaś to podkreślanie świadczy, że uważano ją za krzywdzącą. Prawdziwa natomiast niesprawiedliwość położenia żydów była głębsza i przejmowała rozpacz ten wrażliwy i wysoce cywilizowany lud. Mogli oni słusznie twierdzić, że chrześcijańscy królowie i szlachta, a nawet chrześcijańscy papieże i biskupi, dla celów chrześcijańskich (takich jak wyprawy krzyżowe i katedry) używali pieniędzy, które można było gromadzić w takich stosach tylko przy pomocy lichwy, niekonsekwentnie piętnowanej przez tych samych ludzi, jako niechrześcijańskiej. Gdy zaś nadchodziły gorsze czasy, wydawali oni żydów na pastwę biedaków zrujnowanych tą użyteczną lichwą. Taki był rzeczywisty stan rzeczy, przemawiający na korzyść żydów, toteż bez wątpienia czuli się oni rzeczywiście uciśnieni. Na nieszczęście na korzyść chrześcijan przemawiał fakt, że i oni, z tą samą co najmniej słusnością, czuli w żydzie ciemiężcę. To zaś wzajemne oskarżanie się o tyranie stanowi semicki kłopot wszystkich czasów. Jest pewne, że głos ludu nie tłumaczył tego antysemityzmu brakiem miłosierdzia, ale po prostu uważał go za objaw miłosierdzia. Chaucer wsadza swą klątwę na okrucieństwa hebrajskie w usta przeoryszy o wielkim sercu, która płakała na widok myszy w łapce. Kiedy więc Edward, łamiąc dotychczasową regułę, według której władcy sprzyjali bogaceni się swych bankierów, wyrzucił obcych finansistów z kraju, jego lud widział w nim zapewne najwyraźniej błędnego rycerza i ojca miłującego swój lud.

Można mieć różne poglądy na tę sprawę, w każdym razie taki obraz Edwarda daleki był od nieprawdy. Był on najsprawiedliwszym i najsumienniejszym okazem średniowiecznego monarchy. Te zaś właśnie jego cechy pozwalają dojrzeć tym wyraźniej działanie tej nowej siły, która miała pokrzyżować jego plany i w walce z którą zmarł. Będąc sprawiedliwym był on również zdecydowanym legalistą, należy zaś pamiętać – jeżeli nie chcemy po prostu przypisywać własnych poglądów epokom minionym – że w owych czasach wiele sporów miało charakter prawniczy. Różnic dynastycznych i feudalnych nie kojarzono jeszcze wówczas z niczym innym. W tym też duchu poproszono Edwarda o rozjemstwo w sprawie spornych roszczeń do tronu szkockiego. I w tym też rozumieniu rozsądzał on zupełnie, jak się zdaje, uczciwie. Jednakże za sprawą swego prawniczego, czy też, jakby to powiedział ktoś złośliwy, pedantycznego umysłu wstawił klauzulę, że król szkocki jest wasalem króla Anglii. Edward nie zrozumiał zapewne nigdy, jakiego ducha wywołał przeciw sobie, gdyż duch ten nie miał wówczas jeszcze nazwy. Dziś zwiemy go

nacjonalizmem. Szkocja oparła się Edwardowi, a przygody wyjętego spod prawa rycerza Wallace'a dostarczyły jej rychło jednej z tych legend, które są ważniejsze od historii. W sposób praktykowany w owych czasach tak samo przynajmniej jak dziś, katolicy księża szkoccy stali się partią patriotyczną i antyangielską, i nie przestali nią być nawet w czasie reformacji. Wallace został pobity i stracony, ale dach palił się już nad głową. Opowiedzenie się za sprawą narodową ze strony jednego z jego własnych rycerzy, nazwiskiem Bruce, wydało się staremu królowi zwykłą zdradą feudalnego prawa. W szale wściekłości, prowadząc nowy najazd, umarł on na samej granicy Szkocji. W ostatnich swych słowach wielki król polecił, by jego kości niesiono w pierwszym szeregu w czasie bitwy. Te olbrzymich rozmiarów kości pochowano w końcu z napisem nagrobnym „Tu leży Edward Wysoki, który był młotem na Szkotów”. Był to napis prawdziwy, ale w pewnym sensie dokładnie odwrotny od zamierzeń jego autorów. Edward był młotem na Szkotów, nie złamał ich jednak, ale wykuł. Bił bowiem w nich na kowadło i przekuwał ich na miecz.

Ten zbieg okoliczności, czy też bieg wypadków, często obserwowany w dziejach Anglii, na skutek którego (z takich czy innych powodów) nasi najpotężniejsi królowie pozostawiali swą władzę w stanie zachwianym, zaznaczył się pod następnym panowaniem, kiedy to odżyły spory pomiędzy baronami i północne królestwo pod Bruce'em wywalczyło sobie ostatecznie wolność w bitwie pod Bannockburn. Panowanie to jednak stanowiło tylko interludium, za następnego zaś króla widzimy dalszy rozwój nowej tendencji narodowej. Wielkie wojny francuskie, rozpoczęte przez Edwarda III, w których Anglia zyskała tyle chwały, nabierały charakteru coraz bardziej nacjonalistycznego. Uwzględniając nawet zmienionego ducha czasów, musimy najpierw uprzytomnić sobie, że Edward III podniósł w stosunku do Francji roszczenia równie legalne i dynastyczne, jak Edward I w stosunku do Szkocji. Roszczenia te były znacznie może słabsze co do treści, ale równie poprawne co do formy. Myślał on, czy nawet powiedział, że rości sobie prawo do królestwa, tak jakby jakiś ziemianin powiedział, że ma prawo do majątku. Sądząc powierzchownie, była to sprawa do rozpalzenia przez prawników angielskich i francuskich. Ktokolwiek chciałby jednak wywnioskować z tego, że lud ówczesny był baranem, przechodzącym z rąk do rąk, wykazałby całkowity brak zrozumienia dziejów średniowiecza, jako że barany nie miewają związków zawodowych. Wojsko angielskie zawdzięczało dużo swej siły warstwie wolnych kmieci (*yeomen*). Piechota zaś, a szczególnie łucznicy, zawdzięczali swe powodzenie w dużej mierze temu ludowemu duchowi, który już pod Courtrai wysadził był z siodła wysokie rycerstwo francuskie. Istota zagadnienia sprowadzała się jednak do tego, że podczas kiedy prawnicy gadali jeszcze ciągle o Prawie Salickim, to żołnierze, którzy dawniej byliby gadali o prawie cechowym czy ziemskim, gadali już teraz o prawie angielskim czy francuskim. W tym dążeniu do dopatrzenia się czegoś poza miastem, bractwem cechowym, powinnościami feudalnymi czy też ziemią gromadzką, przodowali Francuzi. Całą historię tej przemiany ukazuje fakt, że Francuzi zaczęli od dawna nazywać naród Większym Krajem. Francja była pierwszym z narodów i pozostała wzorem dla innych. Była jedynym narodem będącym narodem i niczym więcej. Ale w tym starciu Anglicy scementowali się równie silnie, toteż z prawdziwie patriotycznym poklaskiem spotkały się prawdopodobnie zwycięstwa pod Crecy i Poitiers, a na pewno późniejsze zwycięstwo pod Azincourt. To ostatnie zaszło dopiero po wewnętrznych przewrotach w Anglii, które rozważymy później. Nacjonalizm rósł w czasie ciągłych wojen z Francją. Równie ciągłym zjawiskiem była angielska tradycja legend, które zrodziły się po Azincourt. Znalazły one wyraz w niewyszukanych w formie, ale pełnych ducha balladach sprzed epoki wielkich pisarzy elżbietańskich. Henryk V Szekspira nie jest na pewno Henrykiem V z historii, ale jest bardziej historyczny. Jest on nie tylko osobą rozsądniejszą i sympatyczniejszą, ale również mającą większe znaczenie. Tradycja całej tej historii nie była bowiem tradycją Henryka, ale pospólstwa, które przerobiło Henryka na Harryego. W armii pod Azincourt było tysiąc Harrych, nie tylko jeden, toteż postać, którą Szekspir ulepił z legend wielkiego zwycięstwa, jest w dużej mierze wizerunkiem Anglika wieków średnich, tak jak go wszyscy ludzie widzieli. Nie mówił on sam co dzień wierszem, jak bohater Szekspira, ale byłby to chętnie czynił. Nie mogąc zaś mówić wierszem – śpiewał. Lud angielski ukazuje się nam we współczesnych opisach przede wszystkim jako lud śpiewający. Był on widocznie nie tylko ekspansywny, ale i skłonny do przesady. I pewno szarżował, nie tylko na polu bitwy. Piękny,

krotochwilny obrazowy język, który przetrwał w komicznych pieśniach i codziennej mowie angielskich biedaków jeszcze po dziś dzień, narodził się szczęśliwie w epoce, kiedy Anglia stawała się narodem. Przetrwał on, mimo że współczesny biedak, pod naciskiem gospodarczego postępu, stracił częściowo wesołość i zachował tylko humor. Jednakże na tym przedwiośniu patriotyzmu nowa jedność państwa mało jeszcze ciążyła na biedakach i dlatego szewc w armii Henryka, który u siebie w domu myślałby najpierw o tym, że było to święto św. Kryspina, patrona szewców, mógł prawdziwie i szczerze wiwatować na cześć pogromu lanc francuskich gradem strzał, wznosząc okrzyki na cześć św. Jerzego i Wesołej Anglii.

Sprawy ludzkie skomplikowane są w sposób niewygodny, toteż owo przedwiośnie patriotyzmu było zarazem jesienią społeczeństwa średniowiecznego. W następnym rozdziale postaram się wytropić siły rozkładające tę cywilizację. W tym już jednak miejscu, zaraz po wzmiance o pierwszych zwycięstwach, należy podkreślić rozgoryczenie i jałowe ambicje, ujawniające się coraz bardziej w późniejszych okresach, w miarę przeciągania się wojen francuskich. Francja była w tym czasie znacznie mniej szczęśliwa od Anglii – zdrada jej szlachty i słabość jej królów nękały ją prawie w tym samym stopniu, co najazd wyspiarzy. A jednak od tej właśnie rozpacz i tego poniżenia rozdarło się w końcu niebo i ukazało jasność zjawiska, które najtrzeźwieszemu nawet z historyków trudno nazwać inaczej niż cudem.

Możliwe, że na skutek oczywistego cudu nacjonalizm stał się nieśmiertelny. Wolno wyrazić przypuszczenie, choć sprawa ta jest zbyt trudna, by ją tu analizować, że w wielkiej moralnej przemianie, która przekształciła cesarstwo rzymskie w społeczeństwo chrześcijańskie, tkwiło coś, dzięki czemu każda wielka rzecz, której ta przemiana dawała później początek, dostawała przy chrzcie obietnicę trwałości lub przynajmniej nadzieję na trwałość. Możliwe, że każda z idei tej epoki nosiła w sobie zarodki nieśmiertelności. Na pewno czegoś takiego dopatrzyć się można w koncepcji, która małżeństwo przekształciła z umowy w sakrament. Bez względu jednak na powody tego zjawiska – to jedno jest pewne, że nawet u jak najbardziej świeckich ludzi naszych własnych czasów stosunek do rodzinnego kraju stał się nie umowny, lecz sakramentalny. Możemy sobie mówić, że flagi są szmatami, czy granice fikcjami, ale ci sami ludzie, którzy to powtarzali przez pół swego życia, umierają potem za szmatę i darcą się w strzępy w obronie fikcji. Dzieje się to nawet w chwili, w której to piszę. Gdy w roku 1914 zagrzmiała trąba do boju, nowoczesna ludzkość zgrupowała się w narody prędej, zanim sobie zdążyła uprzytomnić, co uczyniła. Człowiek rozumny nie znajdzie powodu, by wątpić, że jeśli ten sam dźwięk rozlegnie się za lat tysiąc, ludzkość powtórzy dokładnie to samo. Choćby jednak ten wielki i dziwny stan ducha nie miał okazać się trwały, istota rzeczy leży w tym, że odczuwamy go dziś jako trwały. Trudno dać definicję wierności, ale może zbliżymy się do niej nazywając ją uczuciem rodzącym się tam, gdzie obowiązek nie ma granic. Minimum zaś obowiązku, czy nawet przyzwoitości, wymagane od patrioty, stanowi maksimum wymagane przez jak najwznioślejszą koncepcję małżeństwa. Patriotyzm, tak jak go ogół rozumie, nie sprowadza się do zwykłego stosunku obywatela do państwa. W rozumieniu ogółu patriotyzm obowiązuje na czasy lepsze i gorsze, tłuste i chude, na zdrowie i chorobę, na potęgę i chwałę narodu, jak i na jego pohańbienie i upadek. Nie wystarczy podróżować w nawie państwa w charakterze pasażera. W razie potrzeby trzeba umieć zatonać wraz z okrętem.

Nie widzę potrzeby powtarzania tu opowieści o tym trzęsieniu ziemi, w czasie którego przejaśnił o się niebo ukazując ponad zamieszaniem i poniżeniem tronów władczą postać kobiety z ludu. Ona, sama jedna, osamotniona, była istną – Rewolucją Francuską. Stała się żywym dowodem, że pewna moc leżała nie w francuskich królach czy w francuskich rycerzach, ale w samych Francuzach. Sam fakt jednak, że dojrzała ona coś ponad sobą, co było czymś więcej niż błękit nieba, fakt, że żyła życiem świętej i umarła śmiercią męczeńską, wybił na nowym uczuciu narodowym uświęcone znamię. Fakt zaś, że walczyła ona za kraj pobity i że – nawet mimo jego zwycięstwa – została sama w końcu pokonana, ten fakt charakteryzuje trudny do zrozumienia czynnik ofiarnego oddania się, o którym mówiłem przed chwilą, czynnik godzący nawet pesymizm z patriotyzmem. W tym miejscu wydaje się wskazane rozważyć wpływ tej ofiary na poezję i rzeczywistość Anglii.

Nie byłem nigdy zdania, by rola patrioty miała polegać na obrzucaniu własnego kraju utartymi i nieprzekonywającymi komplementami. Nie zrozumie jednak Anglii ten, kto nie pojmie, że wymieniony powyżej epizod historyczny, który w sposób oczywisty wskazuje, iż Anglia nie miała racji – łączy się w rezultacie z ciekawą właściwością, która wskazuje, że Anglicy mieli wyjątkowo rację. Nikt porównujący nas uczciwie z innymi krajami nie może twierdzić, byśmy zaniechali budowy grobowców prorokom, których kamienowaliśmy, czy nawet prorokom, którzy ciskali w nas kamienie. Angielska tradycja historyczna odznacza się pewną niedbałą wielkodusznością, która zawsze popada w końcu w chwalenie nie tylko wielkich cudzoziemców, ale i wielkich wrogów. Często obok wielkiej niesprawiedliwości ma ona nielogicznie szeroki gest. Załatwia się z jakimś wielkim narodem ignorując go po prostu, natomiast do wielkiej osobistości odnosi się z serdecznym uwielbieniem. Szereg przykładów tej właściwości można by znaleźć i w tym rozdziale naszych dziejów, gdyż nasze książki robią z Wallace'a człowieka lepszego, niż nim był naprawdę, podobnie jak przyznawały później Waszyngtonowi nawet wyższe ideały, niż te, które posiadał w rzeczywistości. Thackeray śmiał się z portretu Wallace'a pędzla panny Jane Porter, według której szedł on na wojnę – płacząc, z piękną lnianą chusteczką do nosa. Jednakże jej postawa była bardziej angielska i nie mniej ścisła, a jej idealizacja była bliższa prawdy niż własne pojęcia Thackeraya o średniowieczu brudnych hipokrytów, zakutych w zbroje. Jeśli Edward, figurujący w dziejach jako tyran, potrafił płakać ze współczucia, to wydaje się dość prawdopodobne, że Wallace płakał również, z chusteczką czy bez. W każdym razie romans panny Porter oddawał ściśle rzeczywistość nacjonalizmu. Wiedziała ona znacznie więcej o szkockich patriotach, żyjących na wiele wieków przed jej czasem, niż wiedział Thackeray o irlandzkich patriotach, których miał pod nosem. Thackeray był człowiekiem wielkim, w tej sprawie był on jednak człowieczkiem bardzo małym, doprawdy ledwie że dostrzegalnym. Przykłady Wallace'a i Waszyngtona i wielu innych przytaczamy tu jednak tylko po to, by wykazać naszą ekscentryczną wielkoduszność, którą okupujemy niektóre z naszych uprzedzeń. Narobiliśmy wiele głupstw, dokonaliśmy jednak przynajmniej jednej pięknej rzeczy: wybieliliśmy naszych najgorszych wrogów. Jeśli uczyniliśmy to w stosunku do śmiałego szkockiego zagończyka oraz do przedsiębiorczego właściciela niewolników ze stanu Virginia, to nie odmówimy chyba naszego uznania i tej jedynej białej postaci wśród prostego tłumu żołdaków. Uważam, że w nowoczesnej Anglii panuje w tej sprawie coś jakby powszechny entuzjazm. Pewien wielki krytyk angielski napisał książkę o tej bohaterce jedynie w celu zganienia wielkiego krytyka francuskiego za to, że nie pochwalił jej dostatecznie. Nie wierzę, by żył dziś jakiś Anglik, który, gdyby mu zaproponowano wcielenie się w Anglika z owych czasów, nie zrzekłby się zaszczytu jazdy z wieńcem zwycięzcy na skroni, na czele wszystkich włóczy spod Azincourt, na rzecz wcielenia się w tego prostego żołnierza angielskiego, o którym mówi tradycja, że złamał swą włócznię, by zrobić z niej krzyż dla św. Joanny d'Arc.

X. Wojna uzurpatorów

Poeta Pope był wprawdzie przyjacielem największego z torysowskich demokratów, Bolingbroke'a, żył jednak w świecie, w którym nawet torysi przypominali wigów. Umysł zaś wigowski nie wyraził nigdy jaśniej swego politycznego credo niż w wierszu Pope'a: „Boskie prawo królów do złych rządów”. Gdy dojdziemy do tego okresu dziejów, nie będę się starał usprawiedliwiać tego, co rzeczywiście urągało rozumowi w ujęciu prawa Boskiego przez Filmera i niektórych pedantycznych rojalistów XVII wieku. Głosili oni niemożliwy ideał „nieopierania się” żadnej legalnej władzy rodzimej, choć takie stanowisko wydaje mi się nawet mniej służalcze i zabobonne niż nowocześniejszy ideał „nieopierania się” nawet władzy obcej i bezprawnej. Wiek siedemnasty był wiekiem sekt, to znaczy maniactwa, toteż uczniowie Filmera z Boskiego prawa zrobili manię. Prawo to sięgało swymi korzeniami daleko wstecz. Choć miało charakter religijny, było jednak zupełnie realistyczne. Poplątało się ono z wieloma innymi, sprzecznymi, sprawami średniowiecza i przewija się przez wszystkie przemiany, które będziemy obecnie rozpatrywali. Trudno lepiej uzmysłwić sobie ten związek, niż cytując lekki epigram Pope'a i wykazując, że jest

on w gruncie rzeczy bardzo słaby filozoficznie. „Słuszne prawo królów do złych rządów”, o ile rozumieć je jako szyderstwo, urąga rzeczywistości wszystkiemu, co rozumiemy pod słowem „prawo”. Mieć prawo do czynienia czegoś znaczy zupełnie coś innego, niż mieć słuszność czyniąc to. To, co Pope mówi satyrycznie o prawie Boskim, pokrywa się z tym, co zwykliśmy wszyscy mówić zupełnie poważnie o prawie ludzkim. Jeśli człowiek ma prawo głosu, to czyż nie ma on prawa oddać tego głosu mylnie? Jeśli mężczyzna ma prawo wybrać sobie żonę, to czyż nie ma on prawa pomylić się w wyborze? Mam prawo do wyrażenia zdania, które obecnie piszę, powinienem być jednak ostrożny z wysunięciem wątpliwego twierdzenia, jakoby to dowodziło, że moje zdanie jest słuszne.

Otóż monarchia średniowieczna, choć stanowiła tylko jeden z aspektów średniowiecznego ładu, wyrażała się z grubsza w idei, że władca ma prawo do rządzenia, tak jak wyborca ma prawo głosu. Monarcha mógł rządzić źle, póki jednak nie rządził wręcz potwornie i nie dopuszczał się niezwykłego zła, zachowywał prawo do swego stanowiska, tak jak człowiek prywatny zachowuje prawo do małżeństwa i przenoszenia się z miejsca w miejsce, póki nie pomiesza mu się w głowie okropnie i niezwykle. W praktyce nie było to takie proste, bowiem wieki średnie nie miały, jak się to często zwykło wyobrażać, jednolitej i żelaznej dyscypliny. Było w nich dużo spraw spornych, a tym samym bardzo zawitych, łatwo więc – wyrываяc z kontekstu poszczególne zdania, czy to dotyczące *ius divinum*, czy *primus inter pares* – przyklepić ludziom średniowiecza taką czy inną etykietę. Twierdzono np. poważnie, że byli oni wszyscy Germanami. Prawdą jest natomiast, że wpływ Kościoła, choć bynajmniej nie wszystkich jego Doktorów, wzbudził poczucie pewnego rodzaju sakramentu władzy, co miało na celu uczynić monarchę groźnym i dlatego czyniło go często tyranem. Złe strony takiego despotyzmu są oczywiste, natomiast charakter płynących z niego korzyści należy przemyśleć dokładniej, niż się to czyni obecnie, jeśli się chce zrozumieć zdarzenia, które mamy teraz opowiedzieć.

Korzyść z „Boskiego prawa”, czyli nieusuwalnego legitymizmu, jest następująca: kładzie ono kres ambicjom bogaczy. „*Roi je nepuis*”. Władza królewska, bez względu na to, czy pochodziła z nieba, czy nie, była pod jednym względem podobna do władzy niebieskiej: nie była na sprzedaż. Konstytucyjni moralisci twierdzą często, że tyran i motłoch mają te same wady. Nie zwrócono jednak dobrze uwagi na to, że tyran i motłoch mają stanowczo te same cnoty. Jedna cnota, którą dzielą w sposób bardzo oczywisty, wyraża się w tym, że ani tyran, ani motłoch nie są snobami. Nie troszczą się ani za grosz o to, co robią z ludźmi bogatymi. Prawdą jest, iż uważano, że tyrania przychodziła czasem z niebios, tak jak gdyby dosłownie spadała z chmur. Hołubić nadzieję na koronę królewską znaczyło tyle, co hołubić nadzieję na to, by stać się wiatrem zachodnim czy gwiazdą poranną. Najzłośliwszy nawet młynarz nie może jednak zmusić wiatru, by kręcił tylko jego własny młyn. Największy pedant wśród uczonych nie potrafi przemienić gwiazdy porannej w swoją wyłącznie lampę do czytania. A jednak coś w tym rodzaju zaszło w Anglii w późnym średniowieczu, pierwszym zaś znakiem tego zjawiska był, zdaniem moim, upadek Ryszarda II.

Historyczne sztuki Szekspira bliższe są prawdy niż historii. Są tradycyjne. Żywa pamięć o wielu rzeczach przetrwała, choć pamięć o innych zagięła. Szekspir miał słuszność robiąc z Ryszarda II wcielenie pretensji do Boskiego prawa, a z Bolingbroke’a wcielenie ambicji baronów, która rozsadziła stary ład średniowieczny. Z nastaniem Tudorów Boskie prawo stało się jednak bardziej suche, a zarazem i bardziej fantastyczne. Szekspirowi trudno było odtworzyć świeżość i ludowy posmak tej sprawy, trafił bowiem właśnie na proces sztywnienia ustroju, charakterystyczny dla późnego średniowiecza. Możliwe, że sam Ryszard był władcą kapryśnym i doprowadzał ludzi do rozpacz. Możliwe, że w silnym łańcuchu Plantagenetów było to właśnie owo słabe ogniwo, które się zerwało. Możliwe, że istniały poważne argumenty przeciw zamachowi stanu, którego Ryszard dokonał w 1397 r., i że jego krewniak – Henryk Bolingbroke – miał po swej stronie poważny odłam rozczarowanej opinii publicznej, gdy w 1399 r. dokonał pierwszej w dziejach Anglii prawdziwej usurpacji. Jeśli jednak pragniemy zrozumieć tę szerszą tradycję, którą zagubił nawet Szekspir, musimy rzucić okiem wstecz na coś, co spotkało Ryszarda w pierwszych latach jego rządów. Było to na pewno największe zdarzenie jego panowania, a może największe zdarzenie we wszystkich panowaniach, które przebiegamy w tej książce. Prawdziwy lud angielski, ludzie

pracujący własnymi rękoma, podnieśli te ręce, by uderzyć swych panów, chyba po raz pierwszy, a na pewno po raz ostatni w dziejach.

Pogańskie niewolnictwo powoli zanikało, nie tyle drogą rozkładu, co drogą przekształcenia się w coś lepszego. W pewnym sensie nie umarło ono, ale raczej nabrało życia. Właściciel niewolników podobny był do człowieka, który wkopie rząd słupów, żeby zrobić płot, a później stwierdzi, że wypuściły one korzenie i rozwinęły się w drzewka. Są one teraz i więcej warte, i trudniejsze do obchodzenia się, a w szczególności trudniejsze do przeniesienia w inne miejsce. Taka różnica między słupem a drzewem odpowiada dokładnie różnicy między niewolnikiem a poddanym – czy nawet wolnym chłopem, do którego to stanu poddany wydawał się szybko zmierzać. Była to, w najlepszym rozumieniu tego oklepanego frazesu, ewolucja społeczna, przy czym miała ona złą stronę każdej takiej ewolucji, polegającą na tym, że podczas gdy była najgłębszym wyrazem ładu, była jeszcze ciągle po prostu bezprawiem, to znaczy, że wyzwolenie gminu posunęło się już było bardzo daleko, ale jeszcze nie na tyle, by dało się ująć w jakąś ustawę. Zwyczaj był „niepisany”, podobnie jak konstytucja brytyjska, i (podobnie jak ta ewolucyjna, nieuchwytna instytucja) mógł być zawsze deptany przez bogaczy, którzy zaczęli go używać jako narzędzia do załatwiania swych interesów przez akty parlamentarne. Świeżo upieczony chłop był ciągle jeszcze prawie niewolnikiem. Miał się o tym dowiedzieć na skutek jednego z tych obrotów fortuny, które zadają kłam lekkomyślnej wierze w zdrowy rozsądek niepisanych konstytucji. Wojny z Francją stały się z biegiem czasu takim samym prawie dopustem dla Anglii, jak dla Francji. Anglię wyniszczyły jej zwycięstwa. Na przeciwległych krańcach społeczeństwa rosły zbytek i ubóstwo – i na skutek procesu, którego opis nadaje się lepiej do jednego z następnych rozdziałów, zachwiała się równowaga znamionująca większą część średniowiecza. W końcu straszna zaraza, zwana Czarną śmiercią, przeszła przez kraj jak podmuch eksplozji, przeredzając ludność i rujnując dorobek pokoleń. Zabrakło rąk do pracy i trudno było o luksusowe wyroby, toteż wielcy panowie uczynili to, czego można się było po nich spodziewać. Stali się prawnikami i podtrzymywaczami litery prawa. Odwołali się do zasad zupełnie przedawnionych, by zagnać poddanego z powrotem w niewolę ciemnych wieków. Ogłosili ludowi swe postanowienie i lud chwycił za broń.

Dwie dramatyczne opowieści, łączące Wata Tylera w sposób wątpliwy z początkiem tego buntu, a stanowczo z jego końcem, nie są bynajmniej nieważne, mimo że nasi dzisiejsi prozaiczni historycy udają, że wszystkie dramatyczne opowieści są nieważne. Opowieść o pierwszym uderzeniu Tylera ma o tyle znaczenie, że jest nie tylko dramatyczna, ale wiąże się z domem rodzinnym. Uderzenie to było pomstą za obrazę rodziny i zrobiło z legendy o tym buncie, bez względu na jego przypadkowe nieprzyzwoitości, coś w rodzaju demonstracji na rzecz przyzwoitości. Ma to swą wagę, gdyż na godność człowieka ubogiego nie zwraca się prawie zupełnie uwagi we współczesnych dyskusjach. Dziś poborcy podatkowemu wystarczy przynieść formularz i powiedzieć kilka długich słów, nie narażając się na rozbicie głowy. Przyczyną protestu oraz formą, jaką reakcja feudalna przybrała początkowo, był podatek od głosowania. Był to jednak tylko fragment powszechnego procesu wtłaczania ludności w pracę niewolniczą, co w pełni tłumaczy dzikie postępowanie rządu po złamaniu powstania. W swych wypowiedziach rząd groził, że uczyni poddanego jeszcze bardziej niewolnym, niż był przedtem. Fakty związane z upadkiem powstania są lepiej znane. Średniowieczne pospólstwo wykazało znaczną energię wojskową i umiejętność współdziałania, przebiło sobie drogę do Londynu i natknęło się pod murami miasta na siłę zbrojną, wśród której byli król i burmistrz Londynu. Zmuszono ich do zgody na rokowania. Jednakże zdradzieckie zasztyletowanie Tylera przez burmistrza dało sygnał do walki i masakry. Chłopi rzucili się naprzód krzycząc „zabili nam wodza”. Wówczas to zaszła rzecz dziwna, coś, co daje nam przelotny i ostatni rzut oka na ukoronowanego pomazańca wieków średnich. Na jedną krótką chwilę Boskie prawo stało się Boskim.

Król był jeszcze chłopcem. W uszach tego tłumu głos jego musiał więc brzmieć nieledwie jak głos dziecka. Jednakże siła jego ojców i wielkość cywilizacji chrześcijańskiej, z której się wywodził, zstąpiły w jakiś dziwny sposób na niego. Wyjechał na koniu przed szeregi ludu i zawołał: „Ja jestem waszym wodzem”, i obiecał przyznać im wszystko, o co prosili. Obietnicę tę później złamał. Ci jednak, którzy w złamaniu jej widzą zwykłą zmienność młodego i

lekkomyślnego króla, składają dowód nie tyle płytkiego, co skrajnie ignoranckiego rozumienia całego ducha tych czasów. Faktem, który musimy sobie zapamiętać, jeśli następne zdarzenia mają się nam ukazać we właściwym świetle, jest to, że parlament na pewno zachęcił, a prawie na pewno zmusił króla do odtrącenia ludu. Skoro bowiem uradowani rewolucjoniści złożyli broń i zostali zdradzeni, król zaproponował parlamentowi ludzki kompromis, który parlament odrzucił z furją. Parlament nie był już wówczas tylko ciałem rządzącym, ale warstwą rządzącą. Odnosił się on z jednaką pogardą do chłopów w wieku XIV, jak do kartystów w wieku XIX. Ciało to, powołane początkowo przez króla analogicznie do sądów przysięgłych i wielu innych rzeczy, w celu uzyskania od szarych ludzi (niezbyt do tego chętnych) wypowiedzi na temat opodatkowania, zdążyło się już stać celem ambicji, a tym samym arystokracją. Toczyła się już wówczas wojna, w tym wypadku dosłownie na noże, między Izbą Gmin przez duże „G” a gminem przez małe „g”. Skoro już mowa o nożach, jest rzeczą znamionną, że zabójca Tylera nie był zwykłym szlachcicem, ale wybrańcem kupieckiej oligarchii Londynu, aczkolwiek nie ma zapewne prawdy w opowieści, jakoby jego zboczony krwią sztylet figurował w herbie City londyńskiego. Średniowieczni londyńczycy byli zdolni do zamordowania człowieka, ale nie do wetknięcia skalanego w ten sposób noża w pobliżu krzyża swego Odkupiciela, w miejsce, które w rzeczywistości zajmuje miecz św. Pawła.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że parlament był już arystokracją, gdyż stał się celem ambicji. Prawda leży może trochę głębiej. Gdyby jednak nadszedł dzień, w którym ludzie zaczęliby marzyć o dostaniu się do ławy przysięgłych, wolno by zaryzykować przypuszczenie, że sąd przysięgłych przestał być instytucją ludową. W każdym razie ten fakt musimy mieć na uwadze, w przeciwieństwie do odwrotnej idei *ius divinum*, czyli władzy ustalonej, jeśli chcemy ocenić właściwie upadek Ryszarda. Jeśli fakt zrzucenia go z tronu był buntem, to był to bunt parlamentu, czyli tej instytucji, która wobec buntu ludu okazała się właśnie znacznie bardziej bezlitosna niż sam król. Nie to jednak jest sprawą najistotniejszą. Istotne jest to, że na skutek obalenia Ryszarda wydostanie się ponad parlament stało się po raz pierwszy możliwe. Przeskok był ogromny; celem ambicji stała się teraz korona. Co mógł uchwycić jeden, mógł mu wyrwać drugi; co dynastia Lancaster trzymała siłą, dynastia York mogła wyrwać siłą. Czar, że króla nie można zdetronizować, gdyż usadowił się poza zasięgiem ludzkim – przysł, i w ciągu trzech nieszczęsnych pokoleń awanturnicy potykali się na schodach śliskich od krwi, na schodach, ponad którymi stało coś, czego nie można było wyobrazić sobie w średniowieczu: pusty tron.

Brak poczucia bezpieczeństwa, cechujący lancasterskiego uzurpatora – głównie dlatego, że był uzurpatorem – tłumaczy wiele czynów, z których niektóre określilibyśmy dziś jako dobre, inne jako złe, a wszystkie razem jako dobre lub złe, z tą samą szczególną łatwością, z jaką wydajemy sądy o rzeczach odległych. Skłoniło to dynastię lancasterską do opierania się o parlament, będący, jak to już widzieliśmy, instytucją bardzo złożoną. Pod pewnymi względami mogło być dla monarchii korzystne, że kontrolowała ją i rzucała jej wyzwanie instytucja, która zachowała choć trochę z dawnej bezpośredniości i wolności słowa. Było to jednak na pewno złe dla parlamentu, gdyż czyniło z niego jeszcze bardziej sprzymierzeńca ambicji szlacheckiej, której wiele przykładów zobaczymy później. Skłoniło to również dynastię lancasterską do oparcia się o ludowe uczucia patriotyczne, do uczynienia języka angielskiego po raz pierwszy językiem dworu i do ponownego wszczęcia wojen francuskich pięknym spotkaniem pod Azincourt. Skłoniło to również dynastię do oparcia się o Kościół, a może raczej o wyższe duchowieństwo, co było prawdopodobnie najgorszą formą klerykalizmu. Pewien niezdrowy duch, ciężący coraz silniej na ostatkach średniowiecza, wyraził się w nowych i starannie obmyślanych okrucieństwach przeciw ostatniemu wykwitowi herezji. Pobieżna nawet znajomość filozofii tych herezji pozwala podać w wątpliwość pogląd, jakoby zwiastowały one reformację. Trudno zrozumieć, jak ktoś mógłby nazwać Wyklifa protestantem, nie nazywając równocześnie protestantami Pelagiusza czy Ariusza, jeśli zaś John Ball był reformatorem, to Latimer nie mógł być reformatorem. Choć jednak nowe herezje nie zapowiadały początku angielskiego protestantyzmu, to zapowiadały może koniec angielskiego katolicyzmu. Cobham nie zapalił świeczki w celu przekazania jej kaplicom niekonformistycznym, jednakże Arundel zapalił pochodnię i przytknął ją do własnego kościoła. Ta niepopularność, która z

biegiem czasu obarczyła stary system religijny i stał a się następnie prawdziwą tradycją narodową, skierowaną przeciw Marii, miała niewątpliwie swe źródło w chorobliwej energii owych piętnastowiecznych biskupów. Prześladowanie może mieć podkład filozoficzny, dający się obronić, ale u niektórych z tych ludzi prześladowanie było raczej zboczeniem. Z drugiej strony Kanału la Manche jeden z tych ludzi przewodniczył rozprawie przeciw św. Joannie d'Arc.

To wynaturzenie, ta chorobliwa energia stanowią jednak siłę napędową całej tej epoki po upadku Ryszarda II, a w szczególności tych sporów, które znalazły tak ironiczny wyraz w angielskich różach – i cierniach. Niniejsza książka może jedynie pretendować do tego, by być skrótem perspektywicznym rzuconym wstecz. Nie pozwala nam to wdawać się w opis zawitych wojen między domami York a Lancaster, ani na żadne próby śledzenia emocjonujących nawrotów fortuny i odwetów, których pełne były żywoty Warwicka Twórcy Królów oraz wojowniczej wdowy po Henryku V. Współzawodnicy ci nie walczyli oczywiście, jak się to czasem przesadnie twierdzi, o nic, ani nawet (jak lew i jednorożec) nie walczyli tylko o koronę. Nawet w tym burzliwym półmroku bohaterskich czasów można się doszukać cienia sporów moralnych. Skoro jednak powiemy, że Lancaster bronił na ogół nowego pojęcia króla podpartego przez parlament i potężnych biskupów, a York resztek dawniejszej idei króla, który nie pozwala niczemu stawać między sobą a ludem, wyczerpiemy już wszystko, co miało trwały sens polityczny, i nic więcej nie da się wywnioskować, nawet gdybyśmy policzyli wszystkie strzały spod Barnet czy wszystkie kopie spod Tewkesbury. Jednakże twierdzenie, że yorkiści mieli w sobie coś, co z grubsza można by nazwać toryzmem, ma przynajmniej tę jedną ciekawą stronę, że rzuca blask romantyzmu na ostatnią i najgodniejszą uwagi postać wojowniczego domu York, z której upadkiem Wojny Róż dobiegły końca.

Jeśli pragniemy uchwycić dziwne barwy zachodu średniowiecznego słońca, jeśli chcemy zobaczyć, co odmieniło ducha rycerskiego, choć go jeszcze niezupełnie zabiło, trudno o lepsze studium niż zagadka Ryszarda III. Oczywiście ani jeden z jego rysów nie odpowiadał karykaturze, którą jego znacznie mniejszy następcą rozplakatował po świetle po jego śmierci. Nie był on nawet garbusem; miał jedno ramię trochę wyższe od drugiego, zapewne na skutek szalonego zamiłowania do miecza, co musiało oddziaływać na kości z natury drobne i delikatne. A jednak jego dusza, jeśli nie jego ciało, prześladuje nas jakby jakiś krzywy cień prostego rycerza z lepszych czasów. Nie był on potworem przelewającym potoki krwi. Niektórzy z ludzi, których kazał stracić, zasługiwali na to nie mniej niż inni ludzie tej złej epoki. Nawet opowieść o zamordowaniu bratanków nie jest pewna, gdyż opowiadali ją ludzie, którzy twierdzili również, że urodził się on z kłami i jako niemowlę – pokryty był włosami. A jednak krwawo czerwona chmura wisi nad jego wspomnieniem, a atmosfera tego czasu jest tak przepojona rzezią, że nie możemy twierdzić, iż nie był on zdolny nawet do tych rzeczy, których – być może – nie popełnił. Czy był człowiekiem dobrym czy nie, był, jak się zdaje, królem dobrym i nawet popularnym; a jednak myślimy o nim – mgliście, ale chyba nie bez racji – że panowanie jego było po trosze dopustem. Wyprzedził on renesans swym niezwykłym entuzjazmem dla sztuki i muzyki – ponadto trzymał się, jak się zdaje, starych ścieżek religii i miłosierdzia. Nie dlatego chwycił stale za miecz i sztylet, że jedyna jego przyjemność polegała na przecinaniu gardeł, ale czynił to zapewne z nerwowości. Był to okres naszych pierwszych malowanych portretów, i piękna jego ówczesna podobizna rzuca światło na pewien osobliwy szczegół: pokazuje go bowiem bawiącego się pierścieniem na palcu. Jest to ruch charakterystyczny dla osoby o temperamencie wybuchowym, osoby, która bawiłaby się również sztyletem. Na jego twarzy, tak jak ją widzimy na obrazie, możemy studiować to wszystko, dzięki czemu opłaca się zatrzymać tak długo przy jego nazwisku: atmosferę bardzo różną od wszystkiego przed nim i po nim. Twarz uderza pięknnością intelektualną. Rysuje się jednak na niej coś innego, co samo w sobie nie jest ani dobre, ani złe, a tym czymś jest – śmierć, śmierć pewnej epoki, śmierć wielkiej cywilizacji, śmierć czegoś, co niegdyś śpiewało do słońca w kantyczce św. Franciszka i płynęło na krańce świata w okrętach pierwszej wyprawy krzyżowej, coś, co jednak w czasie pokoju zmęczyło się i obróciło swój oręż do wewnątrz, raniąc własnych braci; coś, co złamało własne słowo, grało w hazard o koronę i dostało gorączki nawet na punkcie wiary, coś, co zachowało jednak ten jeden wdzięk wśród gasnących cnót, że jego waleczność umarła – ostatnia.

Jeśli były jednak w Ryszardzie Gloucester jakieś inne złe czy dobre strony, posiadał on

jednak cechę, która czyniła z niego naprawdę ostatniego z królów średniowiecza. Wyraziła się ona w tym jednym słowie, które wykrzyknął głośno, kiedy powalał jednego wroga za drugim w czasie ostatniej szarży pod Bosworth – w słowie „zdrada”. Dla niego, tak jak dla pierwszych królów normañskich, zdrada była tym samym co oszustwo. W tym zaś przynajmniej wypadku była ona rzeczywiście tym samym co oszustwo. Gdy szlachta opuściła go przed bitwą, nie patrzył na to jako na nową kombinację polityczną, ale jako na grzech fałszywych przyjaciół i niewiernych sług. Posługując się własnym głosem jak trąbą herolda, wyzwał on swego rywala na bój podobnie osobisty, jak bój dwu paladynów Karola Wielkiego. Jego rywal nie przyjął wyzwania. Nie zanosilo się na to, by je przyjął. Zaczęła się nowoczesna epoka. Owo wyzwanie rozbrzmiewało bez odpowiedzi przez następne wieki, gdyż po tym dniu żaden król angielski nie walczył już w tym stylu. Zabiwszy wielu, Ryszard sam został zabity, a jego uszczuplone siły spotkała zagłada.

Tak skończyła się wojna uzurpatorów. Ostatni zaś i najbardziej wątpliwy ze wszystkich uzurpatorów – przybłąda z kresów walijskich – rycerz rodem znikąd, znalazł koronę Anglii pod krzakiem głogu.

XI. Bunt bogaczy

Mistyczne sieci, w które Tomasa Morusa w końcu uwikłano i zabito, oceniane są różnie. Wszyscy sławią go natomiast zgodnie jako bohatera Nowej Nauki, tego wielkiego brzasku racjonalnego światła dziennego, w porównaniu z którym średniowiecze wydaje się tylu ludziom zwykłą ciemnością. Można różnie myśleć o jego uznaniu dla Reformacji, bezsporne jest natomiast jego uznanie dla Renesansu. W pierwszym rzędzie był on humanistą, i to bardzo ludzkim. Pod wieloma względami był on nawet bardzo nowoczesny, co zdaniem – mylnym – niektórych ludzi znaczy to samo, co być ludzkim. Ponadto był on również humanitarny. Rzucił zarys pewnego ideału, czy raczej może wymyślnego ustroju społecznego. Trochę w tym było naiwności H.G. Wellsa, ale było to znacznie głębsze od frywolności przypisywanej Bernardowi Shaw. Nie godzi się obciążać jego moralności pojęciami Utopii. Jednak ich przedmiot i wnioski składają się na to, co w braku odpowiedniejszego wyrazu musimy nazwać jego modernizmem. Tak więc nieśmiertelność zwierząt stanowi ten rodzaj transcendentalizmu, który ma posmak ewolucji, grubszy zaś żart o preliminariach małżeństwa mogą wziąć zupełnie na serio studenci eugeniki. Morus zaproponował ponadto pewnego rodzaju pacyfizm – choć mieszkańcy Utopii dochodzili do niego w sposób osobliwy. Mówiąc krótko, choć był on, wraz ze swym przyjacielem Erazmem, satyrykiem średniowiecznych nadużyć, niewielu ludzi zaprzeczy dziś, że protestantyzm byłby dla niego raczej zbyt ciasny niż zbyt szeroki. Choć jest rzeczą oczywistą, że nie był on protestantem, niewielu protestantów odmówi mu miana reformatora. Był on jednak nowa to rem w sprawach bardziej pociągających dla umysłów nowoczesnych niż teologia. W pewnej mierze można by go nazwać neopoganinem. Jego przyjaciel Colet określił tę ucieczkę od mediewalizmu jako przejście ze złej łaciny na dobrą grekę. W naszych chaotycznych rozprawach miesza się obie razem. Greka była nową naroślą tych czasów, podczas gdy zawsze istniała łacina popularna, o ile nie wręcz kuchenna. Będziemy bliżsi prawdy zwąc ludzi średniowiecza dwujęzycznymi niż zwąc ich łaciną językiem martwym. Greka nie weszła naturalnie nigdy w użycie tak powszechne. Kto ją jednak opanował, czuł się – można tak powiedzieć bez przesady – jakby wypuszczony po raz pierwszy na świeże powietrze. Dużo z tego greckiego ducha znalazło swe odbicie w Morusie: jego uniwersalizm, jego ogląda, jego mieszanina kipiącego rozumu i chłodnej ciekawości. Prawdopodobnie dopuszczał się on nawet niektórych ekscesów i błędów smaku, które kaziły wspaniały intelektualizm reakcji przeciw średniowieczu. Możemy sobie wyobrazić, że uważał on pokraczne wyloty ryńien na katedrach gotyckich za barbarzyńskie, czy że nawet nie podniecała go – podobnie jak Sydneya – trąba „Chevy Chase”. Bogactwo starożytnego świata pogańskiego w dowcip, wdzięk i cnoty obywatelskie tak dopiero niedawno objawiło się temu pokoleniu w olśniewającej obfitości i doskonałości, że trudno uważać za wielki grzech, jeśli tu i ówdzie wyrządzono niesprawiedliwość pozostałościom ciemnych wieków. Patrząc na świat oczyma Morusa, patrzymy z największych okien tego czasu: patrzymy na angielski krajobraz, widziany po raz pierwszy jako równina w

poziomych promieniach porannego słońca. To bowiem, co widział Morus, było Anglią renesansu, Anglią na przejściu ze średniowiecza do czasów nowożytnych. Patrzył więc w dal i widział wiele rzeczy, i mówił wiele rzeczy. Wszystkie były cenne, a dużo było dowcipnych. Zauważył przy tym pewną rzecz, stanowiącą okropny majak wyobraźni a zarazem fakt codzienny i rzeczywisty. Patrząc na krajobraz powiedział: „Owce pozerają ludzi”.

Tej dziwnej formuły na określenie wielkiej epoki naszego wyzwolenia i oświecenia nie wysuwa się zazwyczaj na czoło zwięzłych opisów naszej historii. Formuła ta nie ma nic wspólnego z przekładem Pisma Świętego ani z charakterem Henryka VIII, ani z charakterami żon Henryka VIII, ani z trójstronnymi debatami między Henrykiem, Lutrem i Papieżem. Nie były to papieskie owce jedzące protestanckich ludzi czy *vice versa* – nie był to również Henryk rzucający, w którymś z okresów swego krótkiego i oszałamiającego papiestwa – męczenników na pożarcie jagniętom, jak to czynili poganie rzucając ich lwom. To obrazowe wyrażenie miało oczywiście znaczyć, że intensywny typ uprawy rolnej ustępował ekstensywnemu typowi hodowli. Wielkie przestrzenie Anglii, stanowiące do tej pory rzeczpospolitą pewnej liczby rolników, przechodziły teraz pod suwerenną władzę samotnego pasterza owiec. W sedno tej sprawy, epigramem w stylu samego Morusa, utrafił J. Stephen w uderzającym eseju, który można obecnie znaleźć chyba tylko w starych rocznikach pisma „The New Witness”. Zwrócił on uwagę na paradoks, że wielce podziwiany osobnik, który spowodował, że miast jednego źdźbła trawy rosą dwa, był mordercą. W tym samym artykule p. Stephen ustalił prawdziwe źródła moralne tego ruchu, który doprowadził do uprawy tak wielkiej ilości pastwisk i do wymordowania, a przynajmniej wyniszczenia tylu żywotów ludzkich. Jako przyczynę tego zjawiska, co każdy prawdziwy opis tej przemiany potwierdza, ustalił on wzrost nowego wykwintu – pod pewnym względem racjonalniejszego – warstwy rządzącej. Średniowieczny lord był osobnikiem stosunkowo nieokrzesanym i żył po prostu w największej farmie według obyczaju największego farmera. Pił wino, kiedy mógł, ale było gotów pić również piwo, wiedza nie dostarczyła mu jeszcze koni pijących benzynę. W epoce późniejszej od omawianej obecnie jedna z największych dam Anglii napisze do swego męża, że nie może do niego przyjechać, ponieważ jej konie cugowe chodzą w pługu. W prawdziwym średniowieczu najwięksi ludzie mieli prymitywniejsze jeszcze przeszkody, ale w czasach Henryka VIII rozpoczęła się już przemiana. W następnym pokoleniu w ogólnym obiegu będzie zdanie, które jest jednym z kluczy do zrozumienia tych czasów, i to kluczem szczególnie objaśniającym te ambitne plany ziemskie. O tym czy owym wielkim panu mówić się będzie wówczas, że jest „zwłoszczał”. Znaczyć to będzie subtelniejsze formy piękna, delikatne a zarazem mniej kruche szkło, złoto i srebro w postaci nie barbarzyńskich kamieni, ale raczej łodyg i wieńców z roztopionego metalu, lusterka, karty do gry i świecidelka, tryskające pięknem. Była to doskonałość drobiazgów. Nie było to, jak w ludowym rzemiośle gotyckim, nieświadome znamię sztuki na wszystkich przedmiotach potrzebnych do życia: było to raczej namiętne, z całej duszy wkładanie świadomej sztuki w rzeczy najczęściej zbędne. Przedmioty zbytku ożyły otrzymując duszę. Musimy pamiętać o tym rzeczywistym pragnieniu piękna. Tłumaczy ono bowiem – i usprawiedliwia.

Grono dawnych baronów przerzedziło się w wojnach domowych zakończonych pod Bosworth i zmniejszyło się na skutek oszczędnej i chytrej polityki tego niekrólewskiego króla, jakim był Henryk VII. On sam był „nowym człowiekiem”, toteż baronowie w dużej mierze ustąpili miejsca arystokracji nowych ludzi. Ale starsze już nawet rody obróciły swe oblicza w nowszym kierunku. O niektórych z nich, jak np. o Howardach, można powiedzieć, że figurowały zarówno jako rody stare, jak i nowe. W każdym razie duch całej warstwy wyższej można określić jako coraz nowszy. Arystokracja angielska, będąca głównym tworem reformacji, zasługuje bez wątpienia na pewną pochwałę, którą uważa się obecnie prawie ogólnie za pochwałę bardzo wysoką: była zawsze postępową. Arystokratom zarzuca się, że szczycą się swymi przodkami. O angielskich natomiast arystokratach można słusznie powiedzieć, że szczycili się raczej swymi potomkami. Dla potomków planowali oni wielkie fundacje i piętrzyli stopy bogactw, dla swych potomków walczyli o coraz to wyższe miejsce w rządach państwem, dla swych potomków popierali każdą nową gałąź wiedzy czy system filozofii społecznej. Zrozumieli oni wielkie gospodarcze możliwości pastwisk, osuszili jednak również mokradła. Wymietli księży, ale łaskawie dopuścili do swego towarzystwa

filozofów. W miarę jak pokolenia nowej dynastii Tudorów następują po sobie, wytwarza się cywilizacja nowa i bardziej racjonalistyczna. Uczni krytykują autentyczne teksty; sceptycy dyskredytują nie tylko papieskich świętych, ale i pogańskich filozofów; specjaliści analizują i racjonalizują tradycje, a owce jedzą ludzi.

Jak widzieliśmy, w wieku XIV miała miejsce w Anglii prawdziwa rewolucja ubogich. Niewiele brakowało, by się udała. Nie potrzebuję kryć się z przekonaniem, że byłoby dla nas wszystkich rzeczą możliwie najlepszą, gdyby się była całkowicie udała. Gdyby Ryszard II rzeczywiście skoczył w siodło Wata Tylera, czy raczej gdyby parlament nie był go zrzucił z konia, gdy się nań dostał, gdyby był potwierdził fakt nowej wolności chłopskiej jakimś aktem władzy królewskiej, tak już wówczas było w zwyczaju potwierdzać istnienie związków zawodowych przywilejami królewskimi – nasz kraj byłby zapewne miał dzieje na tyle szczęśliwe, na ile pozwala natura człowieka. Renesans byłby przybrał formę wykształcenia ludowego, a nie kultury klubu estetów. Nowa nauka mogła być równie demokratyczna, jak stara nauka w starych dniach średniowiecznego Paryża i Oksfordu. Wyśmienity artyzm szkoły Celliniego mógł być tylko najwyższym stopniem umiejętności cechowej. Dramaty Szekspira mogli być wystawiać robotnicy na scenach drewnianych, ustawianych na ulicy podobnie jak teatry marionetek; byłoby to udoskonaleniem sztuk religijnych, jakie grały cechy. Aktorzy nie musieli być „sługami króla”, ale mogli być własnymi panami. Wielki Renesans ze swym wykształceniem liberalnym mógł być liberalny. Jeśli to jest fantazja, to przynajmniej taka, której nierealności nie da się udowodnić. Średniowieczna rewolucja miała zbyt mało powodzenia na samym początku, by ktokolwiek był w stanie udowodnić, że nie mogła mieć powodzenia na końcu. Feudalny parlament wziął górę i zepchnął chłopów z powrotem do ich wątpliwego i na wpół rozwiniętego stanu. Powiedzieć więcej niż to, co się powiedziało, byłoby przesadą, a zarazem antycypacją rzeczywiście rozstrzygających zdarzeń późniejszych. Gdy Henryk VIII wstąpił na tron, rozwój cechów był może zahamowany, ale one same – pozornie niezmienione, a chłopci odzyskali nawet trochę swobody. Wielu z nich w teorii wciąż było przypisanych do ziemi, ale większość żyła pod niezbyt uciążliwą władzą opatów.

Średniowieczny ustrój utrzymywał się jeszcze. Mógł on, o ile można wnioskować ze znanych nam faktów, zacząć rozwijać się ponownie, wszystkie jednak takie domysły toną w nowych i bardzo dziwnych zjawiskach. Po nieudaniu się rewolucji ubogich nastąpiła w końcu kontrewolucja: uwieńczona powodzeniem rewolucja bogaczy.

Pozorny jej punkt wyjściowy leżał w pewnych zdarzeniach politycznych, a nawet osobistych. Z grubsza sprowadzają się one do dwóch: małżeństwa Henryka VIII oraz sprawy klasztorów. Małżeństwa Henryka VIII są od dawna przedmiotem popularnych, a nawet brodatych kawałów. W kawałach tych mieści się pewna tradycyjna prawda, tak jak w każdym prawie kawale, o ile jest dostatecznie popularny i dostatecznie brodaty. Żart nie doczeka się nigdy brody, jeśli nie jest zarazem poważny. Henryk w początkach swego panowania był popularny. Nawet współcześni mu cudzoziemcy malują go jako wspaniałego, młodego księcia renesansowego, promieniującego wszystkimi powabami nowej ogłady. W swych ostatnich latach przypominał on mocno maniaka: przestał budzić miłość, jeśli zaś nawet napawał lękiem, był to raczej lęk przed wściekłym psem niż przed psem pilnującym domu. W tej zmianie nietrwałość, a nawet hańba jego „sinobrodych” małżeństw odegrały niewątpliwie dużą rolę. Sprawiedliwość każe jednak przyznać, że z wyjątkiem może pierwszej i ostatniej żony, był on prawie równie nieszczęśliwy w wyborze żon, jak one w wyborze małżonka. Ale właśnie sprawa jego pierwszego rozwodu złamała podstawy jego honoru, a przy sposobności złamała bardzo wiele innych, cenniejszych i bardziej uniwersalnych rzeczy. Chcąc zrozumieć przyczyny jego wściekłości, musimy sobie uprzytomnić, że nie uważał się on za nieprzyjaciela Papieża, ale raczej za jego przyjaciela. Jest w tym oddźwięk starej historii z Becketem. Henryk bronił był uprzednio Papieża w sporach dyplomatycznych, a Kościół w sporach religijnych, toteż gdy obrzydła mu jego królowa i upodobał sobie namiętnie jedną z jej dam dworu, Annę Boleyn, wydawało mu się, że cyniczne ustępstwo – w tej epoce cynicznych ustępstw – należy mu się ze strony przyjaciela. Należy to jednak do tego łańcucha niekonsekwencji, którym są losy wiary chrześcijańskiej w ludzkich rękach: nikt nie może przewidzieć, kiedy jej wyższa strona weźmie górę, choćby tylko na chwilę, i czy najgorsze epoki Kościoła nie uczynią lub nie powiedzą

czegoś – jakby przypadkiem – co będzie godne najlepszych epok. Tak czy owak, z tej czy innej przyczyny, Henryk chciał oprzeć się na poduszkach wyścielających tron Leona, doszedł jednak do przekonania, że rękę swą złamał na Piotrowej opoce. Papież nie uznał nowego małżeństwa i Henryk, wzburzony i zaślepiiony gniewem, zerwał wszystkie dawne stosunki z papieżem. Wydaje się prawdopodobne, że nie zdawał sobie jasno sprawy z niepomiaralnych skutków swego postępu. I my sami nie wiemy tego nawet dziś. Z pewnością nie uważał siebie za antykatolika. Trudno również powiedzieć, by uważał się za przeciwnika Papieża, przecież najwidoczniej siebie samego uważał za papieża. Od tego dnia datuje się coś, co odegrało charakterystyczną rolę w dziejach, a mianowicie nowoczesna doktryna Boskiego prawa królów, zasadniczo różna od doktryny średniowiecznej. Zagadnienie to komplikuje jeszcze bardziej otwarta do dziś kwestia ciągłości spraw katolickich w anglikanizmie. Była to bowiem nuta nowa, choć uderzyła w nią czynniki tradycjonalistyczne. Zwierzchnictwo króla nad angielskim kościołem narodowym nie było bowiem, niestety, zwykłą zachcianką króla, gdyż stało się częściowo, na pewien czas, zachcianką samego kościoła. Pomijając jednak wszystkie sporne zagadnienia, w pewnym ludzkim i historycznym sensie ciągłość naszej przeszłości uległa w tym punkcie niebezpiecznemu załamaniu. Henryk nie tylko odciął Anglię od Europy, ale – co ważniejsze – odciął Anglię od Anglii.

Wielki rozwód sprowadził upadek Wolseya, potężnego ministra, który utrzymywał równowagę między cesarstwem a monarchią francuską i stworzył nowoczesną równowagę sił w Europie. Charakteryzuje się go często powiedzeniem *Ego et Rex Meus*, Wolsey to etap w dziejach Anglii raczej dlatego jednak, że cierpiał za to powiedzenie, niż dlatego, że je ukuł. *Ego et Rex Meus* może stanowić motto każdego nowoczesnego premiera, poszło dziś bowiem zupełnie w zapomnienie, że słowo „minister” znaczy tyle, co sługa. Wolsey był ostatnim wielkim sługą, którego można było odprawić i którego po prostu odprawiono. Była to oznaka monarchii ciągle jeszcze absolutnej: Anglicy zdumieni byli widząc to samo w nowoczesnych Niemczech, gdzie Bismarck odprawiono jak lokaja. Okropniejszy od tego czyn miał dowieść, że ta nowa siła zatraciła już cechy ludzkie. Oto powaliła ona najszlachetniejszego z humanistów. Tomasz Morus, który był epikurejczykiem z czasów Augusta, zmarł śmiercią świętego z czasów Dioklecjana. Umarł, żartując wspaniale. Jest rzeczą naturalną, iż jego śmierć ukazała nam raczej świętobliwą stronę jego duszy, jego dobre serce i ufność w prawdy Boże. Humanistom musiało się to jednak wydać potwornym poświęceniem. Wyglądało to tak, jak gdyby Montaigne został męczennikiem. Jest rzeczą znamionną, że coś, co należałoby określić jako nienaturalne, weszło już do renesansowego naturalizmu, toteż dusza wielkiego chrześcijanina powstała przeciw temu. Wskazał on palcem na słońce i powiedział: „Będę wyżej tego osobnika”, a rzekł to z tą franciszkańską poufałością, która może kochać naturę, ponieważ nie chce się do niej modlić. Zostawił więc swojemu królowi słońce, które przez tyle smętnych dni i lat miało patrzeć tylko na jego złość.

Zjawiskiem mniej osobistym, które zauważył sam Morus (jak o tym wspomnieliśmy na początku tego rozdziału), sprawą, która występuje jaśniej i mniej jest zaciemniona sporami – jest druga dziedzina polityki Henryka. Rzeczywiście istnieje różnica zdań na temat sprawy klasztorów, jest to jednak spór, który się wyjaśnia i przycicha z każdym dniem. Prawdą jest, że Kościół w epoce Renesansu doszedł do znacznego zepsucia, jednakże prawdziwe dowody na to odbiegają zarówno od ówczesnych, despotycznych pretensji, jak i od utartych opowieści protestanckich. Jest np. rzeczą jaskrawie niesłuszną cytować listy biskupów czy dygnitarzy Kościoła piętnujących często w sposób gwałtowny grzechy życia zakonnego. W żadnej mierze nie są one gwałtowniejsze od listów św. Pawła do najczystszych i bardzo pierwotnych kościołów. Zwracając się do tych wczesnych chrześcijan, których wszystkie wyznania ubóstwiają, apostoł przemawiał do nich jak do rzeźmieszków i złodziei. Kto interesuje się takimi subtelnymi, znajdzie może wytłumaczenie w fakcie, że chrześcijaństwo nie jest religią dla dobrych ludzi, ale po prostu dla ludzi. Listy takie pisywano we wszystkich wiekach. Nawet w wieku XVI dowodzą one nie tyle, że byli wówczas źli opaci, ile że byli dobrzy biskupi. Co więcej, nawet ci, którzy wskazują na rozwiązłość mnichów, nie śmiały twierdzić, że byli oni ciemiężcami. Słusznie mówi Cobbett, że tam, gdzie właścicielami ziemskimi byli mnisi, nie byli oni dalekimi dziedzicami, których obchodziło tylko wyduszenie czynszów. Tym niemniej w instytucjach dobrych leżała pewna słabość, podobnie jak prosta siła w

złych. Ta słabość wiąże się z najgorszym czynnikiem tych czasów. Kiedy upadają rzeczy dobre, pojawia się prawie zawsze motyw zdrady od wewnątrz. Opatów łatwiej było zniszczyć, ponieważ nie trzymali się razem. Nie trzymali się zaś razem dlatego, że duch epoki (będący bardzo często najgorszym wrogiem epoki) wyrażał się w rosnącym przedziale między bogatymi a ubogimi i że doszło nawet do częściowego rozdziału między klerem bogatym a ubogim. Zdrada zaś przyszła, jak to bywa prawie zawsze, od tego sługi Chrystusa, który dzierży trzos.

Przy dzisiejszych atakach na wolność, które rozgrywają się na płaszczyźnie znacznie niższej, oswoiliśmy się z obrazem polityka idącego do właścicieli wielkich browarów czy wielkich hoteli i wykazującego im bezużyteczność mrowia małych gospód. Od tego właśnie zaczęli politycy z epoki Tudorów w stosunku do klasztorów. Poszli oni do opatów wielkich klasztorów i zaproponowali im kasatę małych. Możliwość władcy duchowni nie potrafili się oprzeć, a może nie opierali się dość mocno. Zaczął się rabunek domów zakonnych. Choć jednak opaci zachowali się przez chwilę jak lordowie, w oczach znacznie większych lordów nie rozgrzeszyło to ich z faktu, że często przecież zachowywali się jak przystało na opatów. Chwilowe dołączenie się do obozu bogaczy nie mogło zatrzeć tysiąca drobnych interwencji, które wychodziły jedynie na korzyść ubogich. Rychło mieli się opaci przekonać, że minęły czasy ich łagodnych rządów i beztrudnej gościnności. Wielkie klasztory, obecnie już osamotnione, obalano jeden po drugim, a żebrak, któremu klasztor służył za coś w rodzaju uświęconej gospody, przyszedł do niej wieczorem i znalazł ją w gruzach. Światem zawładnęła bowiem nowa i szeroka filozofia, rządząca do dziś naszym społeczeństwem. W świetle tej nowej wiary większość mistycznych cnót dawnych zakonników uważano po prostu za wielkie grzechy. Największym zaś z nich było miłosierdzie.

Lud, który zbuntował się za Ryszarda II, nie był jeszcze rozbrojony. Wytrenowany był w prymitywnym używaniu łuku i halabardy i zorganizowany w lokalne grupy miast, cechów i wsi. W połowie hrabstw Anglii lud powstał i stoczył końcowy bój o wizję wieków średnich. Główne narzędzie nowej tyranii, wstrętny typ nazwiskiem Tomasz Cromwell, szczególnie odznaczył się tyranią i zaczął szybko obracać wszelkie rządzenie w koszmara. Ruch ludowy zgnieciono, po części siłą. Nowa nuta nowoczesnego militarystyki objawiła się w fakcie, że zgniotło ten ruch cyniczne wojsko zawodowe, importowane zza granicy i za cenę łożu niszczące religię angielską. Podobnie jak dawne powstanie ludowe, nowe powstanie zgnieciono w silniejszym jeszcze stopniu podstępem niż siłą. Podobnie jak dawne powstanie, odniosło ono dostateczne powodzenie, by zmusić rząd do rokowań. Musiał się on uciec do prostego wybiegu uspokojenia ludu obietnicami, a następnie do złamania najpierw obietnic, a potem ludu metodą, z którą oswoili nas politycy współcześni, stosując ją do wielkich strajków. Bunt ten zwano Pielgrzymką Łaski, a jego program sprowadzał się do żądania przywrócenia dawnej religii. W związku z domysłami na temat losów Anglii w wypadku zwycięstwa Tylera – dowodzi to, sądzę, jednej rzeczy, a mianowicie, że jego triumf, bez względu na to, czy doprowadziłby do czegoś, co można by nazwać reformami, czy też nie, uniemożliwiłby wszystko to, co mamy obecnie pod nazwą reformacji.

Rządy terroru wprowadzone przez Tomasza Cromwella były najgorszą i zupełnie niemożliwą do zniesienia Inkwizycją. Historycy, pozbawieni cienia nawet sympatii dla dawnej religii, zgodnie uważają, że religię wykorzeniono metodami tak okropnymi, jakich nie użyto w Anglii nigdy przedtem ani potem. Były to rządy katów, oparte na wszędobylskim szpiegostwie. Samo zaś obrabowanie zakonów przeprowadzono nie tylko z gwałtownością przypominającą czasy barbarzyńskie, ale z drobiazgowością, dla której trudno o inne określenie niż szmatłowość. Było to tak, jak gdyby najeźdźcy duńscy wrócili w charakterze detektywów. Brak konsekwencji w osobistym stosunku króla do katolicyzmu skomplikował sytuację za sprawą nowych brutalności w stosunku do protestantów. Jednakże reakcja miała w tym wypadku charakter czysto teologiczny. Cromwell utracił kapryśną łaskę króla i został stracony, ale terror szalał nadal tym straszniej, że sprowadził się do jedyne go motywu – gniewu króla. Szczytowym punktem tego terroru stał się dziwny czyn, który symbolicznie kończy historię opowiedzianą poprzednio. Despota pomścił się na buntowniku, którego wyzwanie dochodziło jakby z odległości trzech wieków. Spustoszył najpopularniejszy przybytek Anglików, przybytek, do którego ze śpiewem jechał niegdyś Chaucer. Był to przypadek, w którym król Henryk ukląkł, by się pokajać. Od trzech wieków Kościół i lud

zwali Becketa świętym. Gdy Henryk Tudor zbuntował się, nazwał go zdrajcą. Fakt ten mógłby się wydać szczytem autokracji, choć nie był nim w rzeczywistości. Wówczas to bowiem wystąpiła jaskrawo na jaw ta jeszcze dziwniejsza rzecz, której przebliski widzieliśmy już przedtem w naszych dziejach. Oto silny król był słaby. Był on nieporównanie słabszy od silnych królów średniowiecza. Czy ten upadek był pisany, czy nie – król upadł. Przez wyłom, który uczynił w tamie starodawnych doktryn, wdarła się fala, która omal jego samego nie zalała. W pewnym sensie zniknął on z widowni jeszcze przed swym zgonem, albowiem dramat, który wypełnił jego ostatnie dni, przestał już być dramatem jego własnego charakteru. Najtrafniej będzie chyba powiedzieć, że nie warto dyskutować, czy pragnienie stworzenia silnej monarchii narodowej może być usprawiedliwieniem dla zbrodni Henryka. Czy pragnął jej, czy nie – nie powstała. Tudorzy, w większym jeszcze stopniu niż wszyscy inni nasi królowie, zostawili po sobie władzę niezabezpieczoną i zdecentralizowaną, a okres, w którym monarchia wyglądała najgorzej, przypada tylko na jedno czy dwa pokolenia przed okresem jej największej słabości. W niewiele tylko lat później stosunek między koroną a jej nowymi sługami miał ulec odwróceniu w sposób, który przeraził świat. Topór, uświęcony krwią Morusa i skalany krwią Cromwella, miał, na rozkaz jednego z własnych potomków tego niewolnika, opaść i zabić angielskiego króla.

Falą, która w ten sposób przerwała tamę i zalała zarówno króla, jak i Kościół, był bunt bogaczy, a szczególnie *nowych bogaczy* (nuworyszów). Zasłaniał się oni imieniem króla i nie byliby w stanie zwyciężyć bez oparcia się o jego władzę, ale ostateczny efekt był taki, że obrabowali króla wtedy, kiedy on sam obrabował klasztory. Zdumiewająco mało tych bogactw – biorąc pod uwagę charakter całej sprawy – pozostało faktycznie w rękach króla. Chaos spotęgowała jeszcze okoliczność, że Edward VI wstąpił na tron jako chłopiec. Istota zagadnienia polega na trudności rozgraniczenia obu panowań. Biorąc żonę z rodu Seymourów i dając sobie w ten sposób syna – Henryk dał również krajowi ten typ możnego rodu, który miał rządzić wyłącznie rabunkiem. Ogromna i przeciwna naturze tragedia, stracenie jednego z Seymourów przez własnego brata, dokonała się podczas niemocy młodocianego króla, a zwycięski Seymour figurował jako Lord Protektor, choć nawet jemu samemu trudno by było powiedzieć, czego był protektorem, skoro nie potrafił uchronić nawet własnego rodu. W każdym razie można bez przesady powiedzieć, że dla żadnej ludzkiej sprawy nie było ochrony – protekcji – przed chciwością takich ludożerczych protektorów. Mówi się o rozwiązaniu zakonów, w rzeczywistości jednak doszło do rozwiązania całej dawnej cywilizacji. Prawnicy, lokaje i lichwiarze, najwstrętniejsi ze szczęściarzy, rozdrapywali sztukę i gospodarkę wieków średnich, jak złodzieje rabują kościół. Ich nazwiska (o ile ich nie zmienili) stały się nazwiskami książąt i markizów naszych czasów. Jeśli jednak rzucimy okiem wstecz na nasze dzieje, zobaczymy, że najbardziej może zasadniczy akt zniszczenia nastąpił, gdy zbrojni ludzie Seymourów i im podobnych przeszli od plądrowania klasztorów do plądrowania cechów. Średniowieczne związki zawodowe zniszczono, żołdactwo wdarło się do budynków, a fundusze cechów przywłaszczyła sobie nowa szlachta. To proste zdarzenie odbiera sens twierdzeniu (dość prawdopodobnemu), że cechy, jak wszystko inne w tych czasach, nie były może w stanie najlepszym. Rozstrzyga tu poczucie proporcji: być może i Cezar czuł się niedobrze w pamiętny poranek Id Marcowych. Twierdzić jednak, że cechy po prostu upadły, znaczyłoby to mniej więcej tyle, co powiedzieć, że Cezar umarł sobie spokojnie – z przyczyn czysto naturalnych – u stóp posągu Pompejusza.

XII. Hiszpania i schizma narodów

Przewrót, który zaczął się od renesansu i zakończył się w niektórych krajach reformacją dokonał w wewnętrznej polityce Anglii jednej drastycznej i realnej rzeczy. Rzeczą tą było zniszczenie instytucji służących ubogim. Nie był to jego jedyny akt, ale za to akt o największym praktycznym znaczeniu, podstawa wszystkich zagadnień związanych obecnie z kapitałem i pracą. W jakim stopniu teologiczne teorie owych czasów przyczyniły się do tego, może stanowić przedmiot dyskusji. Nikt jednak, kto zapozna się z faktami, nie zaprzeczy, że schizma religijna powstała w tym samym czasie i nastroju, w którym powstało również to nowe bezprawie bogaczy.

Najskrajniejszy protestant zadowoli się zapewne powiedzeniem, że protestantyzm nie był przyczyną, lecz pokrywką. Najskrajniejszy katolik zadowoli się zapewne przyznaniem, że protestantyzm nie był grzechem, lecz raczej karą za grzechy. Najradykałniejsza i bezwstydną część tego procesu dokonała się dopiero z końcem osiemnastego wieku, kiedy protestantyzm przeradzał się już w sceptycyzm. Bardzo wiele argumentów przemawia za paradoksem, że purytanizm był w gruncie rzeczy politurą na pogaństwie, że cała sprawa wzięła początek w beżładnym pragnieniu nowości u szlachty renesansu i zakończyła się w Klubie Ognia Piekielnego. Tak czy owak, pierwsze, co powstało w czasie reformacji, to nowa i nienormalnie potężna arystokracja, tym zaś, co ulegało niszczeniu, w coraz większej mierze, było wszystko to, co lud mógłby dzierżyć, bezpośrednio czy pośrednio, wbrew takiej arystokracji. Ten stan rzeczy charakteryzuje całe dalsze dzieje naszego kraju, najbliższy zaś epizod tych dziejów tyczy się położenia korony. W rzeczywistości zepchnęli już króla na bok dworzanie, którzy stłoczyli się za jego plecami tuż przed wyłamaniem drzwi. Król pozostaje w tyle w pogoni za bogactwem i nie jest już zdolny czynić niczego sam. Uderzaj ącego dowodu na to dostarczy następne panowanie, po chaosie panowania Edwarda VI.

Maria Tudor, córka rozwiedziona królowej Katarzyny, ma złą opinię nawet w dziejach popularnych, popularne zaś uprzedzenia są na ogół bardziej warte studiów niż sofizmaty naukowców. Jej wrogowie mylili się co do jej charakteru, nie mylili się jednak co do jego skutków. Była ona, w ograniczonym znaczeniu tego słowa, kobietą dobrą, o silnych przekonaniach, sumienną, chorowitą. Jest jednak prawdą, że była królową złą pod wielu względami, w szczególności zaś złą dla swej własnej, najukochańszej sprawy. Wszystko sprowadza się do tego, że postawiła sobie ona za zadanie wymazać napis „Precz z papieżem”, a w rzeczywistości wryła go jeszcze głębiej. Wyładowanie się jej fanatyzmu w okrucieństwie, a w szczególności skoncentrowanie go w szczególnych miejscach i w krótkim czasie, wryło się w pamięci publicznej jakby gorącym żelazem. Był to pierwszy z serii wielkich przypadków historycznych, które oddzieliły od starego reżimu istotną część opinii publicznej, jeśli nie jej całość. Wyraziło się to w śmierci na stosie trzech słynnych męczenników w Oksfordzie. Jeden z nich, Latimer, był reformatorem typu bardziej krzepkiego i ludzkiego, drugi, Cranmer, okazał się w radach Henryka VIII tak gładkim snobem i tchórzem, że Tomasz Cromwell w porównaniu z nim wydaje się mężczyzną.

O tym jednak, co można by nazwać tradycją Latimera, o tej zdrowszej i prawdziwszej odmianie protestantyzmu, pomówimy później. W owym czasie nawet męczennicy oksfordzcy wywołali zapewne mniej litości i wzburzenia niż straszna śmierć, jaką poniosło w płomieniach wielu mniej głośnych entuzjastów, których ciemnota i ubóstwo nadały ich sprawie więcej posmaku ludowego, niż miała ona naprawdę. Ten ostatni brzydki rys uwydatnił się ostrzej i wywołał więcej świadomej czy nieświadomej goryczy na tle tego innego wielkiego faktu, o którym mówiłem przed chwilą, faktu będącego rozstrzygającym sprawdzianem tej przejściowej epoki.

Cała trudność leżała w tym, że nawet pod tymi katolickimi rządami nie można było przywrócić Kościołowi katolickiemu jego własności. Choć Maria była fanatyczką, ten akt sprawiedliwości przekraczał najśmielsze marzenia fanatyzmu – w tym leżało sedno sprawy. Sam fakt, że była dostatecznie zagniewana, by popełniać na rachunek Kościoła rzeczy złe, a nie była na tyle śmiała, by dochodzić praw Kościoła – jest miarą ówczesnych stosunków. Wolno jej było pozbawiać życia małych ludzi, nie wolno jej było pozbawiać wielkich ludzi – ich własności, a raczej własności cudzej. Mogła karać herezje, nie mogła karać świętokradztwa. Z musu znalazła się w fałszywym położeniu zabijania ludzi za to, że nie chodzili do kościoła, a oszczędzania ludzi, którzy szli tam w celu kradzenia ozdób kościelnych. Co wpędziło ją w to przymusowe położenie? Na pewno nie jej własna postawa religijna, która była szczerą w stopniu nieledwie maniackim. Nie opinia publiczna, mająca naturalnie znacznie więcej sympatii dla dzieł religijnego humanitaryzmu, których nie przywróciła, niż dla niehumanitarnych postępów, których się dopuszczała w imię religii. Przymus płynął oczywiście ze strony nowej szlachty i nowych bogactw, których wydania szlachta odmawiała. Powodzenie tego nacisku dowodzi, że szlachta była już wówczas silniejsza od korony. Berło posłużyło tylko za łom do wyłamania drzwi od skarbcza. Złamało się ono, a przynajmniej zagięło, od tego uderzenia.

Trochę prawdy jest również w uporczywie przez lud powtarzanej historii o tym, że Maria kazała sobie wypisać na sercu słowo „Calais”, gdy ta ostatnia pozostałość średniowiecznych podbojów wróciła do Francji. Maria miała wyjątkową i heroiczną półnotę Tudorów: była patriotką. Zdarza się często, że patrioci pozostają patetycznie w tyle za duchem swoich czasów. Sam bowiem fakt, że trzymają się starych wrogów, nie pozwala im dostrzec nowych. W jednym z następnych pokoleń Cromwellowi przytrafił się ten sam błąd, ale „na odwrót”: oto patrzył on wrogim okiem na Hiszpanię wówczas, gdy powinien był wystrzegać się Francji. W naszych czasach szowiniści patrzyli złym wzrokiem na Francję jeszcze wówczas, gdy powinni już byli obrócić go przeciw Niemcom. Nie mając żadnych antynarodowych zamiarów, Maria znalazła się w antynarodowej sytuacji w czasie, kiedy kraj stanął w obliczu najdonioślejszej dla siebie sprawy międzynarodowej. Był to drugi ze zbiegów okoliczności, który potwierdził szesnastowieczne zmiany, a na imię mu było Hiszpania. Będąc córką hiszpańskiej królowej, Maria wyszła za mąż za hiszpańskiego księcia i zapewne nie widziała w takim związku niczego poza tym, co uczynił jej ojciec. Z chwilą jednak, kiedy na tron wstąpiła po niej jej siostra Elżbieta – odcięta od starej religii, a niezbyt mocno przywiązana do nowej – z chwilą, kiedy zamysł podobnego małżeństwa hiszpańskiego dla samej Elżbiety upadł, dojrzało coś, co było większe i potężniejsze niż plany królów. Stojąc na swej wysepce jak na samotnej łodzi, Anglicy zauważyli, że pada na nich cień wyniosłego statku.

Utarte frazesy o narodzinach imperium brytyjskiego i „przestronnej epoce” królowej Elżbiety nie tylko zaciemniają istotną prawdę, ale nawet zaprzeczają jej zupełnie. Z tych frazesów można by wywnioskować, że Anglia, jakimś imperialnym sposobem, uprzytomniła sobie wówczas po raz pierwszy swoją wielkość. Będziemy znacznie bliżsi prawdy mówiąc, że po raz pierwszy uprzytomniła sobie wówczas swą małość. Wielki poeta „przestronnych czasów” nie wielbi jej przestronności, ale porównuje ją do małego klejnotu. Wizja uniwersalnej ekspansji pojawiła się dopiero w wieku osiemnastym. Kiedy się pojawiła, była jednak znacznie mniej żywa i żywotna niż to, co się pojawiło w wieku szesnastym. To, co się wówczas pojawiło, nie było imperializmem, ale anty-imperializmem. Anglia urzeczywistniła, na samym początku swych dziejów nowożytnych, jedną rzecz, którą wyobraźnia ludzka uzna zawsze za bohaterską – epopeję małego narodu. Sprawa Armady stała się dla niej tym, czym Bannockburn dla Szkotów lub Majuba dla Burów – zwycięstwem, które zdumiało samych zwycięzców. To, z czym Anglicy wówczas walczyli, było imperializmem w swym pełnym i kolosalnym znaczeniu, było rzeczą nieznaną od czasów rzymskich. Mieli przeciw sobie, mówiąc bez przesady, samą cywilizację. Właśnie wielkość Hiszpanii przyniosła chwałę Anglii. Dopiero gdy sobie uprzytomnimy, że Anglicy byli w porównaniu z nią równie nieokrzesani, równie niedorozwinięci, równie małostkowi i prowincjonalni jak Burowie – zdołamy ocenić zuchwalstwo ich wyzwania i wspaniałość ich ocalenia. Pojmijmy to tylko wówczas, jeśli zdamy sobie sprawę, że dla dużej części Europy sprawa Armady miała znaczenie nieledwie wyprawy krzyżowej. Papież uznał Elżbietę za dziecko nieprawe – po prawdzie nie bardzo widać, co mógł powiedzieć innego, skoro małżeństwo jej matki uznał za nieważne. Fakt ten stanowił jeden więcej i może ostatni już cios odcinający Anglię od starszej części świata. W owym czasie o tych malowniczych angielskich żeglarzach, którzy nękali hiszpańskie imperium Nowego świata, mówiono na Południu po prostu jako o piratach i – technicznie biorąc – określenie to było słuszne, gdyż tylko „techniczne” napady, dokonywane przez stronę słabszą, osądzamy w retrospektywie z pewną wyrozumiałością. Wówczas to, jak gdyby dla utrwalenia tego kontrastu w obraz niezatarty, Hiszpania, a raczej imperium mające swój ośrodek w Hiszpanii, zebrało wszystkie siły i pokryło morze flotą, podobną do legendarnej floty Kserksesa. Zwaliała się ona na skazaną na zagładę wyspę całym ciężarem i z uroczystą powagą sądu ostatecznego. Żeglarze czy piraci uderzyli w nią małymi okrętami, zataczającymi się pod ogniem wielkich dział, walczyli z nią płonącym śmieciem, aż w ostatniej godzinie zmagania wielka burza wyrosła z morza i zmiotła dokoła wyspy. Gigantyczna flota zniknęła z oczu. Niesamowita zupełność klęski i nagła cisza, która pochłonęła tę cudowną Armadę, pobudziły strunę, która nigdy od tego czasu nie przestała drgać. Nadzieje Anglii datują się od tej beznadziejnej godziny, świat nie zna bowiem nadziei rzeczywistych, które nie byłyby kiedyś nadziejami straconymi. Przerwanie tej wielkiej sieci morskiej było znakiem, że mała rzecz, która uszła zagłady, przeżyje wielkość. A

jednak, pod pewnym względem, może już nigdy nie będziemy znowu ani tak mali, ani tak wielcy.

Wspaniałość epoki elżbietańskiej, o której zwykle się mówi jako o wschodzie słońca, była pod wielu względami zachodem. Czy patrząc na nią jako na koniec renesansu, czy też koniec starej cywilizacji średniowiecza, żaden uczciwy krytyk nie zaprzeczy, że główne jej blaski skończyły się wraz z nią. Niech sam czytelnik postawi sobie pytanie, co go szczególnie uderza we wspaniałości epoki elżbietańskiej. Dojdzie do wniosku, że jest to coś, co słabo widać w czasach średniowiecznych, i coś, czego prawie nie ma w czasach nowożytnych. Dramat elżbietański przypomina jedną z elżbietańskich tragedii – jego burzliwą pochodnię zdeptali rychło purytanie. Jest oczywiste, że główną tragedią było zniszczenie komedii. Komedie bowiem, która przybyła do Anglii po Restauracji, była – w porównaniu z elżbietańską – obca i zimna. W najlepszym razie była to komedia, w której był humor, ale nie było beztroski szczęścia. Warto zanotować, że postacie przynoszące dobre wieści i szczęście w sztukach miłosnych Szekspira należą prawie bez wyjątku do świata, który się kończy, bez względu na to, czy są to braciszczowie zakonni czy wróżki. Podobnie było z głównymi ideałami elżbietańskimi, wcielonymi w elżbietański dramat. Uwielbienia narodu dla królowej dziewicy nie należy dyskredytować z powodu jego niezgodności z szorstkim i podstępным charakterem historycznej Elżbiety. Jej krytycy mogą słusznie twierdzić, że zastępując Marię Dziewicę przez królową dziewicę angielscy reformatorzy wymienili po prostu prawdziwą dziewicę na fałszywą. Prawda ta nie zaprzeczy jednak istnieniu prawdziwego, choć ograniczonego, ówczesnego kultu. Cokolwiek myśleć o tej szczególnej królowej-dziewicy – z tragicznych bohaterek owych czasów można zestawić cały korowód dziewiczych królowych. Na pewno ludzie średniowiecza znacznie więcej od nowożytnych mieliby zrozumienia dla męczeństwa „Miarki za miarkę”. Podobnie jak z tytułem Dziewicy, ma się rzecz z tytułem Królowej. Mistyczną monarchią, uświetnioną w „Ryszardzie II”, miała rychło spotkać detronizacja znacznie bardziej katastrofalna niż w „Ryszardzie II”. Ci sami purytanie, którzy zdarli aktorom tekturowe korony, mieli również zedrzyć rzeczywiste korony królom, których role aktorzy ci grali. Wyjdzie zakaz zabraniający wszelkich widowisk aktorskich, a wszelką monarchię zwać się będzie kabotyńskim aktorstwem.

Szekspir zmarł w dniu św. Jerzego i dużo z tego, co wiązało się ze św. Jerzym, umarło wraz z nim. Nie chcę tu powiedzieć, że umarł patriotyzm Szekspira czy też Anglii. Utrzymał się on i rósł nawet stale, aż się stał najszlachetniejszą dumą nadchodzących czasów. Coś znacznie większego jednak niż patriotyzm wiązało się z tym wizerunkiem św. Jerzego, któremu Ryszard Lwie Serce oddał był w opiekę Anglię przed dawnymi czasy w pustyniach Palestyny. W koncepcji Świętego Patrona średniowiecze przekazało jedną bardzo osobliwą i niezastąpioną – jak dotąd – ideę. Była to idea różnolitości bez antagonizmu. Siedmiu Rycerzy Chrześcijaństwa rozmnożyło się siedemdziesiąt siedem razy w patronów miast, rzemiosł i warstw społecznych. Sama jednak myśl, że byli oni wszyscy świętymi, wykluczała możliwość ich wzajemnej rywalizacji jako patronów. Cech szewców i cech garbarzy, noszące odznaki św. Kryspina i św. Bartłomieja, mogły walczyć ze sobą na ulicach miast, nie wierzyły jednak, by w tym samym czasie św. Kryspin i św. Bartłomiej walczyli ze sobą w niebiesiech. Podobnie Anglicy pokrzykiwali w bitwie na cześć św. Jerzego, a Francuzi na cześć św. Dionizego. Nie wierzyli jednak na serio, by św. Jerzy nienawidził św. Dionizego, czy nawet tych, którzy zaklinali się na św. Dionizego. Św. Joanna d’Arc, której patriotyzm dziś nazwano by fanatycznym, zajmowała w tej sprawie postawę, którą większość ludzi nazwałaby dziś postawą bardzo postępową.

Teraz jednak, w ślad za schizmą religijną, pojawił się przedział głębszy i bardziej nieludzki. Nie była to już bójka między wyznawcami świętych, którzy byli między sobą w stanie pokoju, ale wojna między wyznawcami bogów będących w stanie wojny. To, że wielkie okręty hiszpańskie nosiły imiona św. Franciszka czy św. Filipa, zaczynało tracić znaczenie dla nowej Anglii. Niebawem miało znaczyć coś kosmicznie wrogiego, jak gdyby zwano je imieniami Baala czy Thora. Chodzi tu o zwykłe symbole, jednakże proces, który one symbolizowały, był bardzo realny i zasługuje na baczną uwagę. Wraz z wojnami religijnymi pojawiła się bowiem idea, którą dzisiejsza wiedza stosuje do wojen rasowych, idea wojen „naturalnych”, niewynikających z jakiegoś szczególnego sporu, ale z samej natury spierających się ludzi. Cień fatalizmu rasowego padł

wówczas po raz pierwszy w poprzek naszej drogi i daleko w mrokach poruszyło się coś, o czym ludzie prawie zapomnieli.

Poza granicami więdącego imperium leżał ten kraj nieuchwytny i płynny jak morze, który przelał się przez brzegi w epoce wojen z barbarzyńcami. Większa jego część była teraz formalnie chrześcijańska, ale słabo ucywilizowana; jakiś słaby strach przed kulturą Południa i Zachodu osiadł na jej dzikich siłach, jak lekki szron. Ten na pół cywilizowany świat trwał długo w stanie uśpiania, zaczął jednak śnić. W pokoleniu poprzedzającym Elżbietę pewien wielki mąż, który mimo całej swej gwałtowności był w gruncie rzeczy marzycielem – Marcin Luter – krzyknął przez sen głosem podobnym do grzmotu, protestując częściowo przeciw roli złych obyczajów, w dużej jednak mierze również przeciw roli dobrych uczynków w systemie chrześcijańskim. W pokoleniu po Elżbiecie rozprzestrzenienie się nowych dzikich doktryn w starych dzikich krajach wciągnęło Europę środkową w cykl wojen religijnych. W wojnach tych dynastia podtrzymująca legendę świętego Cesarstwa Rzymskiego, Austria, niemiecki partner Hiszpanii – walczyła za starą religię przeciw lidze innych Niemców, walczących o nową wiarę. Stosunki na kontynencie były zawile i komplikowały się coraz bardziej, w miarę jak marzenie o przywróceniu jedności religijnej zapadało się w nicość. Komplikowało je również stanowcze postanowienie Francji stania się narodem w pełnym nowoczesnym znaczeniu tego słowa i utrzymania stałej niezależności od wszelkich związków politycznych. Cel ten doprowadził ją, mimo jej nienawiści do rodzimych protestantów, do udzielenia dyplomatycznego poparcia wielu protestantom zagranicznym, po prostu dla zachowania równowagi sił przeciw gigantycznej konfederacji Hiszpanów i Austriaków. Komplikowało dalej te stosunki powstanie kalwińskiej społeczności kupieckiej w Niderlandach, silnej, logicznej, wyzywającej, walecznie broniącej swej niepodległości przeciw Hiszpanii. Nie popełnimy jednak błędu dopatrując się pierwszych bólów porodowych nowoczesnego układu międzynarodowego w tzw. wojnie trzydziestoletniej, i to bez względu na to, czy nazwiemy ją buntem półpogan przeciw Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu czy też przyjściem z północy nowej wiedzy, nowej filozofii i nowej etyki. Do walki włączyła się Szwecja i posłała herosa wojskowego na pomoc odnawiającym się Niemcom. Praktykowany wówczas typ wojskowego bohaterstwa odznaczał się dziwną kombinacją coraz to bardziej złożonej wiedzy strategicznej z jak najbardziej nagim i ludożerczym okrucieństwem. Poza Szwedami inne jeszcze siły zrobiły karierę na tej rzezi. Daleko na północnym wschodzie, w kraju jałowych moczarów, mały, ambitny ród lichwiarzy, którzy stali się panami, czujny, oszczędny, do gruntu samolubny, przyjął dość powierzchownie teorię Lutra i zaczął wynajmować swych zupełnie jeszcze dzikich parobków jako żołnierzy po stronie protestantów. Otrzymywał za to dobrą zapłatę i awansował krok za krokiem, w tym jednak czasie włości jego ograniczały się jeszcze do starej Marchii Brandenburskiej. Ród ten nosił nazwisko: Hohenzollernowie.

XIII. Wiek purytanów

Nudziłoby nas mocno, gdybyśmy musieli czytać opis niezwykle ciekawej dyskusji lub serii przygód, gdzie pozbawione znaczenia słowa jak „snark” czy „boojum” figurowałyby systematycznie zamiast nazw głównych postaci czy przedmiotów. Nudziłoby nas, gdyby nam opowiadano, że król miał do wyboru albo stać się „snarkiem”, albo ostatecznie oddać „boojum”, czy też, że tłum wpadł w szał na skutek publicznego wystąpienia „boojum”, co uważano za ciężki afront dla „snarka”. Otóż bardzo podobna sytuacja powstała na skutek najnowszych prób przedstawienia teologicznych sporów szesnastego i siedemnastego wieku, prób, które zasadały się na wstręcie do teologii, tak modnym w naszym pokoleniu – a raczej w pokoleniu poprzednim. Purytanie, jak sama nazwa wskazuje, entuzjasmowali się z początku tym, co uważali za religię czystą (*pure*). Dążyli często do narzucenia jej innym, a czasem pragnęli tylko swobody jej praktykowania dla siebie samych. W żadnym razie nie ocenimy sprawiedliwie tego, co w ich charakterach było najszlachetniejszego, a w ich myślach zajmowało pierwsze miejsce, jeśli nigdy – przy żadnej okazji – nie spytamy, czym było owo „coś”, co zamierzali narzucić lub praktykować. Wielu purytanów posiadało wiele bardzo szlachetnych cech, czego prawie zupełnie nie dostrzegają

nowocześni ich admiratorzy. Chwali się ich za rzeczy, na które albo spoglądali obojętnie, albo których częściej jeszcze nienawidzili z furją – jak np. wolności religijnej. A jednak: rozumie się zupełnie niedostatecznie, a nawet nie docenia się ich logicznego stosunku do spraw, na których im naprawdę zależało – takich jak np. kalwinizm. W powieściach i sztukach – które spaliliby publicznie – robimy z purytanów postacie malownicze w sposób, który by ich gwałtownie oburzył. Interesujemy się wszystkim, co ich dotyczy, z wyjątkiem tej jedynej rzeczy, którą oni sami byli zainteresowani.

Jak widzieliśmy, nowe doktryny były w Anglii w pierwszym rządzie zwykłą wymówką dla plutokratycznego rabunku – to jest cała prawda w tej sprawie. Zupełnie inaczej miała się rzecz z ludźmi żyjącymi o jedno lub dwa pokolenia później, ludźmi, dla których katastrofa Armady stała się już legendą o wyzwoleniu narodu od papieżstwa, wyzwoleniu podobnie cudownym i prawie równie odległym, jak te wyzwolenia, których tak realistyczne opisy czytali w księgach hebrajskich, które im obecnie udostępniono. Czcigodny przypadek owej hiszpańskiej klęski zbiegł się aż nazbyt dokładnie z ich zainteresowaniem dla niechrześcijańskich części Pisma św. Zwycięstwo nad Armadą zaspokoilo pewnego rodzaju starotestamentową tęsknotę: oto burzliwe znaki na niebie i morzu oznajmiły, że Anglicy są narodem wybranym. Obróciło się to łatwo w tę herezję pychy plemiennej, w którą ciężiej jeszcze popadli Niemcy. Na skutek takich procesów psychicznych cywilizowane państwo może spaść z poziomu narodu chrześcijańskiego do poziomu narodu wybranego. Ale jeśli nawet nacjonalizm Anglików okazał się później groźny dla przyjaznego współżycia narodów, był to – mimo wszystko – nacjonalizm. Purytanie byli w każdym calu patriotami i w tym górowali wyraźnie nad hugenotami francuskimi. Politycznie stanowili oni początkowo jedno tylko skrzydło nowej warstwy bogaczy, która wywłaszczyła Kościół i zabierała się do wywłaszczenia korony. Choć wszyscy oni byli tylko tworamii tego wielkiego rabunku, nie wszyscy jednak byli tworamii świadomymi. Mieli wielu reprezentantów wśród arystokracji, ale wielu z nich zaliczało się do warstw średnich, choć prawie wyłącznie do miejskich warstw średnich. Dla biedoty wiejskiej, stanowiącej jeszcze ciągle największą część ludności, stanowili oni po prostu pośmiewisko i przedmiot nienawiści. Należy np. stwierdzić, że choć przewodzili narodowi w wielu dziedzinach, nie potrafili wytworzyć niczego, co miałoby atmosferę tzw. pretensjonalnie folkloru. Wszelka tradycja ludowa, przekazana nam czy to w pieśniach, czy w toastach, czy w wierszach i przysłowiaach, wiąże się z osobą króla. Purytanie nie zostawili po sobie żadnej wielkiej legendy. Musimy się zadowolić ich wielką literaturą.

Wszystko to są jednak po prostu rzeczy, które inni ludzie mogli również u nich dostrzec. Nie są to rzeczy najważniejsze, a na pewno nie te, które oni sami myśleli o sobie. Istota tego ruchu wyrażała się w dwu koncepcjach, czy raczej dwu krokach, z których pierwszy był procesem moralnym, przy pomocy którego doszli do swoich „głównych wniosków”, drugi zaś krok stanowił „główne wnioski”, do których doszli. Zacniemy od pierwszego, przede wszystkim ze względu na to, że on to podyktował całą ich zewnętrzną postawę społeczną, która uderzała w oczy ludzi ówczesnych. Uczciwy purytanin, wzrastając za młodu w świecie ogołoconym przez wielkie rabunki, przyswoił sobie pierwszą podstawową zasadę z trzech lub czterech podstawowych zasad, które umysł człowieka może pojąć. Chodziło o zasadę, że umysł człowieka może komunikować się bezpośrednio z umysłem Boga. Nazwijmy to krótko zasadą antysakramentalną. W rzeczywistości stosuje się ją jednak, i purytanin rzeczywiście stosował ją, do wielu rzeczy innych niż sakramenty Kościoła. Stosuje się ją również – i on ją rzeczywiście stosował – do sztuki, do literatury, do umiłowania jakiejś miejscowości, do muzyki, nawet do dobrych manier. Frazes, że żaden ksiądz nie powinien odgradzać człowieka od Stwórcy, jest tylko uproszczonym wyrywkim pełnej doktryny filozoficznej. Prawdziwy purytanin równie stanowczo sądził, że żaden śpiewak ani opowiadacz bajek, ani skrzypek nie może przekładać głosu Boga na języki ziemskiego piękna. Warto zauważyć, iż jedyny geniusz purytański czasów nowożytnych, Tołstoj, przyjął ten wniosek w pełni, potępiając wszelką muzykę jako zwykły narkotyk i zakazując swym własnym wielbicielom czytania swych własnych, godnych uwielbienia powieści. Purytanie angielscy byli nie tylko purytanami, ale i Anglikami, toteż nie zawsze odznaczali się jasnością myśli. Jak się przekonamy, prawdziwy purytanizm był ideą raczej szkocką niż angielską. Była to jednak siła napędowa i wytyczna. Samej

doktryny można bronić, choć jest trochę wariacka. Zdaniem purytanów, prawda intelektualna była jedyną pochwałą, godną najwyższej prawdy wszechświata. Następnym krokiem w naszym studium będzie wykrzyk, co purytanin uważał za prawdę w odniesieniu do tej najwyższej prawdy. Jego indywidualny rozum, odcięty od instynktu i tradycji, konstruował sobie pojęcie wszechmocy Boga, która po prostu znaczyła tyle, co niemoc człowieka. U Lutera wcześniejsza i łagodniejsza forma protestantyzmu doprowadziła tylko do powiedzenia, że nic z tego, co człowiek czyni, nie może mu pomóc z wyjątkiem wyznania Chrystusa. Kalwin doprowadził to rozumowanie do ostatecznej logicznej konkluzji mówiąc, że nawet i to nie może człowiekowi pomóc, skoro Wszechmocny musiał przez ądzić cały jego los uprzednio. Według Kalwina Bóg musi stwarzać ludzi po to, by ich gubić i zbawiać. U czystszych purytanów, o których tu mowa, ta logika rozpalona była do białości, powinniśmy więc doszukiwać się tej formuły we wszystkich ich formułach parlamentarnych i prawniczych. Czytając, że „partia purytańska domagała się reform kościelnych”, powinniśmy rozumieć, że „partia purytańska domagała się pełniejszego i jaśniejszego potwierdzenia, że ludzie tworzeni są po to, by mogli być gubieni i zbawiani”. Gdy czytamy, że „armia wybierała pewne osoby dla ich bogobojności”, powinniśmy rozumieć, że „armia wybierała te osoby, które wydawały się najbardziej przekonane, że ludzie tworzeni są po to, by mogli być gubieni i zbawiani”. Dodajmy, że ten straszliwy prąd nie ograniczył się jedynie do krajów protestanckich. Niektórzy wielcy myśliciele katolicki szli za nim, choć z wahaniem, póki nie zatrzymał ich Rzym. Był to duch czasu, co powinno stanowić trwałe ostrzeżenie przeciw braniu ducha czasu za nieśmiertelne go ducha człowieka. Niewielu bowiem znajdziemy dziś chrześcijan czy niechrześcijan zdolnych patrzeć wstecz na kalwinizm, który omal nie zoczył Canterbury, a nawet Rzymu dzięki geniuszowi i bohaterstwu Pascala czy Milona, bez wykrzyknienia – słowami pewnej damy ze sztuki Bernarda Shaw: „Jak cudownie! jak wspaniale! ... i, och, jak bliscy byliśmy katastrofy”.

Następną rzeczą godną zanotowania było to, że rządy kościołem chcieli purytanie widzieć w formie prawdziwego samorządu, a jednak, ze szczególnych przyczyn, samorząd ten okazał się samolubnym samorządem. Był on równy, a jednak ekskluzywny. Na wewnątrz ich synod czy też zgromadzenie wydawał się małą republiką, na nieszczęście jednak bardzo mała była to republika. W stosunku do ulicy konwentykier ten nie był republiką, lecz zgromadzeniem arystokratycznym. Była to najstraszniejsza ze wszystkich arystokracji, arystokracja wybranych. Nie było to bowiem prawo z urodzenia, ale prawo sprzed urodzenia, i jedyne ze wszystkich szlachectw nierównające się z innymi ludźmi w prochu. Widzimy stąd, z jednej strony, u prostych purytanów szereg prawdziwych cnót republikańskich: wyzwanie rzucone tyranom, uznanie godności ludzkiej, nade wszystko zaś odwołanie się do tej pierwszej ze wszystkich cnót republikańskich – działania publicznego. Jeden z królobójców, walcząc przed sądem o swoje życie, uderzył w ton, który mimo całej nienaturalności szkoły purytańskiej brzmi szlachetnie: „Tego zabójstwa nie dokonałem z za płotu”. Najdrastyczniejszy jednak ich idealizm nie uczynił niczego, by uchwycić z powrotem choć promień tego światła, które jednocześnie oświetliło każdego człowieka, co przyszedł na świat, choć promień tego przekonania, że wszyscy ludzie namaszczeni sakramentem chrztu – są braćmi. Purytanie byli doprawdy bardzo podobni do tego okropnego rusztowania, na które królobójca nie bał się wskazać palcem. Byli na pewno wystawieni na widok publiczny, mogli mieć w sobie ducha publicznego, nie mieli jednak nigdy wzięcia u ludu. Jak się zdaje, nie przyszło im nigdy do głowy, że potrzebne jest wzięcie u ludu. Anglia nie była nigdy tak mało demokracją, jak podczas krótkiego okresu, kiedy była republiką.

Walka ze Stuartami, stanowiąca następny rozdział naszych dziejów, była skutkiem sojuszu, który komuś może się wydać przypadkowym sojuszem dwu rzeczy. Pierwszą była ta intelektualna moda na kalwinizm, która zapanowała w świecie kulturalnym, podobnie jak to uczyniła dziś intelektualna moda na kolektywizm. Drugą rzeczą była starsza sprawa, która umożliwiła istnienie owego wyznania, a może nawet i istnienie kulturalnego świata – bunt arystokratów za ostatnich Tudorów. Była to, że tak powiem, opowieść o ojcu i synu, co razem zrywali ten sam złoty obraz – młodszy z prawdziwej nienawiści do obrazochwalstwa, starszy tylko z miłości do złota. Tragedią i paradoksem Anglii jest fakt, że jej namiętności w sprawach odwiecznych minęły, a pozostały przemijające i ziemskie pasje. Powiedzenie jest prawdziwe w stosunku do Anglii, niezupełnie zaś

prawdziwe w stosunku do Szkocji. Tym właśnie tłumaczy się wojna Szkotów z Anglikami zakończona pod Worcester. Pierwsze zmiany miały w obu krajach zupełnie ten sam materialistyczny charakter – były zwykłym rozbojem baronów. Nawet Knox, choć stał się bohaterem narodowym, był politykiem skrajnie antynarodowym. Patriotyczna była w Szkocji partia kardynała Batona i Marii Stuart. Tym niemniej nowe wyznanie przyswoił sobie lud w Niższej Szkocji w sensie pozytywnym, nieznanym jeszcze wówczas w samej Anglii. Stąd w Szkocji rzeczą główną stał się purytanizm, do którego doszły parlamentarne oraz inne oligarchie. W Anglii rzeczą główną była oligarchia parlamentarna, do której doszedł purytanizm. Gdy przeciw Karolowi I zaczęła wzbierać burza, po przejściowym okresie rządów jego ojca, szkockiego następcy Elżbiety – wydarzenia przytaczane powszechnie dowodzą istotnej różnicy między demokratyczną religią a arystokratyczną polityką. Szkocka legenda mówi o Jenny Geddes, biednej kobiecie, która rzuciła w księdza stołkiem. Angielska legenda mówi o Johnie Hampden, wielkim panu, który zbuntował przeciw królowi całe hrabstwo. Ruch parlamentarny w Anglii był w całości prawie sprawą szlachty, w nowym sojuszu z kupiectwem. Była to szlachta, która mogła się uważać za rzeczywistą i naturalną warstwę przywódczą Anglików. Byli to jednak przywódcy, którzy nie ścierpieliby buntu wśród swoich stronników.

Wolno przypuszczać, że Stuartowie przynieśli ze Szkocji bardziej średniowieczny, a tym samym logiczniejszy pogląd na własną rolę. Cechą ich narodu była bowiem logika. Weszło w przysłowie, że Jakub I był Szkotem i pedantem. Nie dość zwraca się jednak uwagi na fakt, że Karol I był także niemałym pedantem, mając w sobie bardzo dużo ze Szkota. Miał on również cnoty Szkota: odwagę, naturalną godność oraz zamiłowanie do spraw intelektualnych. Mając w sobie coś ze Szkota, był on bardzo nie-angielski i niezdolny do kompromisu. Zamiast tego usiłował dzielić włos na czworo i bezustannie łamał obietnice. Mógł być jednak śmiało wykazać znacznie jeszcze więcej braku konsekwencji, gdyby był choć trochę uczuciowy i „mglisty”. Należał jednak do gatunku ludzi, którzy widzą wszystko czarno lub biało – szczególnie zaś to, co czarne. Od samego początku walczył ze swym parlamentem jak ze zwykłym wrogiem. Możliwe, że czuł się wobec niego cudzoziemcem. Skutek tej sprawy jest znany i nie potrzebujemy być tak ostrożni jak ów dżentelmen, który pragnął skończyć rozdział po to, by się dowiedzieć, co się stało z Karolem I. Jego ministrowi, wielkiemu Straffordowi, nie udało się próba uczynienia Karola władcą silnym na wzór królów francuskich, toteż zginął na szubienicy – zawiedziony Richelieu. Gdy parlament zażądał prawa kontroli nad skarbem, Karol odwołał się do prawa miecza i początkowo łamał wszelki opór. Ale powodzenie przechyliło się rychło na stronę bogactw warstwy parlamentarnej, dyscypliny nowej armii oraz cierpliwości i geniuszu Cromwella. Karol zginął tą samą śmiercią, co jego wielki sługa.

Historycznie spór sprowadza się, wśród powikłań opisywanych na ogół bardziej szczegółowo niż na to zasługują, do ważnego współczesnego pytania, czy królowi wolno nakładać podatki bez zgody parlamentu. Prawo króla zakwestionował Hampden, wielki magnat z hrabstwa Buckinghamshire, który podał w wątpliwość legalność podatku nałożonego przez Karola rzekomo na potrzeby floty wojennej. Każdy innowator szuka zawsze uświęcenia swych reform w przeszłości. Purytańska szlachta rozdeła średniowieczną Wielką Kartę do rozmiarów legendy. Było to o tyle zgodne z prawdziwą tradycją, że ustępstwo króla Jana było w istocie, jak to już zaznaczyliśmy, anty-despotyczne, ale nie demokratyczne. Te dwie prawdy tłumaczą dwie strony zagadnienia upadku Stuartów. Ponieważ różnią się one co do stopnia pewności, wymagają oddzielnego rozpatrzenia.

Jeśli chodzi o punkt pierwszy, dotyczący demokracji, to żaden człowiek dobrej wiary nie powinien w ogóle, w obliczu faktów, zastanawiać się nad nim. Można z pewną racją twierdzić, że siedemnastowieczny parlament walczył o prawdę, nie można jednak twierdzić, jakoby walczył o prawa ludu. Po zmierzchu średniowiecza parlament był zawsze zdecydowanie arystokratyczny i zdecydowanie antyludowy. Instytucja, która zakazała Karolowi I pobrania podatku na flotę, była tą samą instytucją, która uprzednio zakazała Ryszardowi II uwolnienia chłopów od poddaństwa. Grupa żądająca od Karola I węgla i minerałów była tą samą grupą, która później miała zażądać od gmin wiejskich ich gruntów gromadzkich. Była to ta sama instytucja, która przed dwoma zaledwie

pokoleniami dołożyła chętnie ręki do zniszczenia nie tylko rzeczy cieszących się uczuciem ludu, jak klasztory, ale wszystkich rzeczy pożytecznych dla ludu, takich jak cechy i parafie, samorządy miejskie i zawodowe. Poczynania wielkich lordów mogły mieć – i na pewno miały – bardziej patriotyczną i twórczą stronę. Parlament służył jednak wyłącznie poczynaniom wielkich lordów. Izba Gmin stała się bowiem sama Izbą Lordów.

Skoro przejdziemy jednak do drugiego, czyli anty-despotycznego aspektu kampanii przeciw Stuartom, trafimy na coś znacznie trudniejszego do odrzucenia i znacznie łatwiejszego do usprawiedliwienia. Mówi się o Stuartach rzeczy jak najgłupsze, ale mało się wie o tym, co wówczas rzeczywiście przemawiało za ich wrogami. Zagadnienie to łączy się z faktem, o którym nasi wyspiarscy dziejopisowie najczęściej zapominają, a mianowicie ze stosunkami na kontynencie. Należy pamiętać, że choć Stuartom nie powiodło się w Anglii, walczyli oni o rzeczy, które powiodły się w Europie. Z grubsza biorąc, były to, po pierwsze, wyniki kontrreformacji, które kazały szczerym protestantom patrzeć na katolicyzm Stuartów bynajmniej nie jako na ostatni błysk gasnącego ognia, ale jak na szerzący się pożar. Karol II na przykład to był umysł tęgi, sceptyczny, aż drażniąco kpiarski – a przy tym niezachwianie, z pewną nawet niechęcią, przekonany o słuszności katolicyzmu jako filozofii. Drugim i ważniejszym motywem obawy przed Stuartami była ta zupełnie przeraźliwa autokracja, którą wznoszono we Francji jakby jakąś Bastylię. Autokracja ta była logiczniejsza i pod wieloma względami bardziej równościowa i sprawiedliwa niż oligarchia angielska, ale w razie buntu lub nawet zwykłego oporu stawiała się prawdziwą tyranią. Nie było tam żadnych z angielskich środków bezpieczeństwa, takich jak sądy przysięgłych i dobre przepisy starego prawa zwyczajowego. Na *lettre de cachet* nie było rady, podobnie jak na magię. Anglikom, którzy wykraczali przeciw prawu, powodziło się lepiej niż Francuzom. Francuski satyryk mógł być zapewne odpalić, że to właśnie Anglikom posłusznym prawu powodziło się gorzej niż Francuzom. Kierowanie życiem zwykłych ludzi należało do pana z dworu. Był on jednak skrepowany samym faktem piastowania urzędu. Był silniejszy jako pan wsi, ale słabszy jako przedstawiciel króla. Broniąc tego stanu rzeczy, wigowie na pewno nie bronili demokracji, ale niewątpliwie bronili wolności. Bronili nawet pewnych resztek wolności średniowiecznej, choć nie najlepszych. Bronili sądów przysięgłych, ale nie cechów. W feudalizmie tkwiło może trochę lokalizmu, niepozbanionego elementów liberalnych, które utrzymały się w ustroju arystokratycznym. Miłośnicy takich rzeczy mogli się słusznie obawiać Molocho Państwa, którego Hobbes widział jako jednego potwora, a Francuzi jako jednego człowieka.

Wracając do faktów należy powtórzyć, że to, co w purytanizmie było czyste, było niestety przemijające, typowy zaś proces tego przemijania wyraził się w tym nadzwyczajnym człowieku, któremu przypisuje się powszechnie zasługę dopomożenia purytanizmowi do zwycięstwa. Oliver Cromwell był w świetle dziejów nie tyle przywódcą purytanizmu, ile jego poskromicielem. Niewątpliwie miały nim ponure religijne namiętności tego okresu, na pewno w młodości, a może i przez całe życie. W miarę jednak jak rósł w znaczenie, bronił w coraz silniejszym stopniu pozytywizmu Anglików przeciw purytanizmowi Szkotów. Cromwell należał do szlachty purytańskiej, stawał się jednak coraz bardziej szlachcicem, a coraz mniej purytaninem. Był wyrazicielem procesu, na skutek którego rządy szlachty stały się w końcu czysto pogańskie. Tu leży klucz do większości spraw, za które się go chwali lub gani, klucz do względnego rozsądku, tolerancji i nowoczesnej sprawności wielu z jego posunięć; klucz do względnej brutalności, przyziemności, cynizmu i braku wyczucia przy wielu innych posunięciach. Był on przeciwieństwem idealisty, toteż nie można go podawać za ideał bez popadnięcia w absurd. Był jednak, podobnie jak większość szlachty, typem szczerze angielskim, nie bez ducha publicznego, a na pewno nie bez patriotyzmu. Kiedy uchwycił władzę osobistą, która zniszczyła bezosobowy i idealistyczny ustrój, było coś angielskiego właśnie w samym nierozsądku tego kroku. Akt zabicia króla nie ciąży, moim zdaniem, w pierwszym rządzie na nim, a na pewno nie był to czyn typowy dla Cromwella. Było to ustępstwo na rzecz wysokich, nieludzkich ideałów małej grupki prawdziwych purytanów, z którymi Cromwell musiał wejść w kompromis, ale z którymi następnie wszedł w konflikt. Więcej było logiki niż okrucieństwa w tym akcie, co nie było w stylu Cromwella. Traktował on bowiem z bestialskim okrucieństwem Irlandczyków, na których, w świe

tle nowego duchowego ekskluzywizmu, patrzono jak na bestie – czy też, jakby brzmiał nowoczesny eufemizm, jak na tubylców. Jego praktyczne usposobienie było raczej skłonne do tego, by „wyrzynać” ludzi w świecie, który on sam uważał za kresy cywilizacji – niż składać z ludzi ofiary w kraju, który był jądrem i forum tej cywilizacji. Nie jest on typowym okazem królobójcy. W pewnym sensie tego rodzaju wyczyn przerastał jego możliwości. Prawdziwi królobójcy zabijają pogrążeni w rodzaj transu czy wizji. Jego zaś nie nękały wizje. Do prawdziwego starcia między religijną a racjonalną stroną siedemnastowiecznego ruchu doszło symbolicznie owego burzliwego dnia pod Dunbar, kiedy bredzący kaznodzieje szkoccy wzięli górę nad Lesliem i zmusili go do zejścia w dolinę, gdzie padł ofiarą cromwellovskiego zdrowego rozsądku. Cromwell oświadczył, że Bóg wydał ich w jego ręce. Wydał ich jednak ich własny Bóg, ciemny, nienaturalny Bóg kalwińskich snów, równie dławiący jak strach nocny i równie przemijający.

Dnia tego triumf odniósł raczej wig niż purytanin. Anglik ze swym arystokratycznym zmysłem do kompromisu. Nawet to, co nastąpiło po śmierci Cromwella, a mianowicie Restauracja, stanowiło kompromis arystokratyczny, czy nawet kompromis wigowski. Pospółstwo mogło wiwatować jakby na cześć króla średniowiecznego, ale Protektorat i Restauracja były sobie o wiele bliższe, niż to rozumiało pospółstwo. Nawet w tych powierzchownych sprawach, w których wydawało się, że nadszedł ratunek, okazał się on w końcu tylko przerwą dla złapania oddechu. Tak więc reżim purytański powstał głównie dzięki jednej rzeczy nieznannej średniowieczu – to jest militarystyce. Wyborowe wojska zaciężne, brutalnie ćwiczone, ale dobrze płatne, były tym nowym i obcym narzędziem, przy pomocy którego purytanie opanowali władzę. Wojska te rozpuszczono, a ich powrotowi sprzeciwiali się zarówno torysi jak wigowie. Ale ich powrót wydawał się zawsze niedaleki, ponieważ leżał w duchu nowego, surowego świata trzydziestoletniej wojny. Odkrycie jest chorobą nieuleczalną, a odkryto wtedy, że tłum można zamienić w żelaznego stunoga, kruszącego tłumy większe, lecz mniej zwarte. Podobnie ocalono od purytanów resztki Bożego Narodzenia, jednakże Dickens musiał ratować je ponownie przed utylitarystami, a ktoś będzie je może znów musiał ratować przed jaroszami i abstynentami. Dziwna armia przeszła i znikła jak jakaś inwazja muzułmańska. Wywarło to jednak skutek, który zbrojna odwaga i zwycięstwo wywierają zawsze, choć był to tylko skutek ujemny. Dzieje nasze uległy ostatecznemu załamaniu. Załamało się przy tym wiele rzeczy, a może i buntowniczy duch ludu w naszym kraju. Jest pewna symboliczna gra słów w tym, że ludzie ci założyli Nową Anglię w Ameryce, wtedy, gdy nie udało im się założyć jej w Anglii. Choć brzmi to jak paradoks, było jednak coś prehistorycznego w prymitywizmie ich nowatorstwa. Nawet stare i dzikie rzeczy, na które się powoływali, stawały się dzikszymi w miarę stawania się nowszymi. Tego, co się nazywa ich żydowskim sabatem, przestrzegali tak ściśle, że w porównaniu z nimi najortodoksyjniejszy żyd zasługiwałby na ukamienowanie za niedbałość. Oni to (a biorąc ogólnie, cały ich wiek) obrócili palenie czarownic z epizodu w epidemię. I burzyciele, i to, co zburzyli, zniknęli razem. Została jednak po nich pamięć czegoś szlachetniejszego od małostkowego legalizmu niektórych cynicznych wigów, którzy ciągnęli dalej ich dzieło. W pierwszym rządzie byli oni anty-historyczni, jak futuryści włoscy. Była w nich ta nieświadoma wielkość, która przebijała się w fakcie, że samo ich świętokradztwo było publiczne i uroczyste jak sakrament. Nawet jako obrazoburcy nie przestali być rytualistami. Był to tylko zupełnie podrzędny przykład ich dziwnej i gwałtownej prostoty, kiedy jeden z nich, w obliczu potężnego tłumu na ulicy Whitehall, ściał głowę średniowiecznego pomazańca. Inny zaś, daleko na zachodzie wyspy brytyjskiej, ściał głóg z Glastonbury²⁵, z którego wyrosły całe dzieje Brytanii.

XIV. Triumf Wigów

Można wierzyć lub nie, że reformacja rzeczywiście coś zreformowała, nie ulega natomiast

²⁵ The Thorn of Glastonbury – ze starożytnym opactwem benedyktyńskim w Glastonbury wiąże się legenda o głogu zakwitającym na Boże Narodzenie. Głóg ten miał wypuścić pędy z pielgrzymiego kija Józefa z Arymatei, któremu stara legenda przypisuje zbudowanie pierwszej świątyni chrześcijańskiej w Anglii, w miejscu, w którym później powstało opactwo (przyp. tłum.).

wątpliwości, że Restauracja niczego naprawdę nie odrestaurowała. Karol II nie był nigdy królem w dawnym tego słowa znaczeniu. Był on przywódcą opozycji w stosunku do swych własnych ministrów. Będąc zręcznym politykiem utrzymał się na swym oficjalnym stanowisku, jego zaś brat i następca był niewiarogodnie głupim politykiem, toteż utracił to stanowisko. Tron był już tylko jednym z urzędów. Pod pewnymi względami Karol II nadawał się do tego bardziej nowoczesnego świata, który się wówczas zaczynał rodzić. Był on człowiekiem wieku raczej osiemnastego niż siedemnastego. Był dowcipny jak bohater komedii. Jednak już komedii Sheridana, a nie Szekspira. Był jeszcze bardziej nowoczesny, kiedy z rozkoszą bawił się czystymi eksperymentami Royal Society i pochylał się pożądliwie nad zabawkami, z których miały wyrósć okropne maszyny wiedzy. Zarówno on sam, jak i jego brat mieli dwa wspólne ogniwa ze sprawą, która przegrywała w Anglii. Nacisk na te ogniwa spowodował upadek ich dynastii. Pierwszą więzią, której wpływ małaż zresztą w praktyce z upływem lat, była oczywiście nienawiść do ich religii. Drugą, która rosła w miarę jak zbliżał się następny wiek, był ich związek z monarchią francuską. Zanim przejdziemy do stulecia znacznie mniej religijnego, musimy się załatwić ze sporem religijnym. Sprawa to jednak powikłana i prawda nie jest łatwa do wykrycia.

Tudorzy zaczęli prześladować dawną religię, zanim jeszcze przestali ją wyznawać. Oto jedna z tych zawyłych komplikacji okresu przejściowego, które dadzą się wyrazić jedynie przy pomocy takich sprzeczności. Osoba o typie Elżbiety, należąca do jej epoki, miała zasadnicze, a nawet gwałtowne przekonanie, że księża powinni żyć w celibacie. Ta sama osoba łamała równocześnie kołem i obdzierała ze skóry każdego, kogo przyłapano na rozmowie z bezzennym księdzem. Ta tajemnica, którą można sobie tłumaczyć na różne sposoby, rozciągała się na kościół anglikański, a w dużym stopniu i na naród angielski. Czy nazwiemy to katolicką ciągłością anglikanizmu, czy po prostu powolnym wykorzenianiem katolicyzmu, nie ulega wątpliwości, że np. taki duchowny protestancki jak Herrick jeszcze w połowie XVII wieku nadziany był „przesadami”, które były katolickie w tym skrajnym znaczeniu, które nazwalibyśmy dziś kontynentalnym. A jednak wielu podobnych mu duchownych protestanckich miało równoległą i odwrotną namiętność, a mianowicie uważało kontynentalny katolicyzm już nawet nie za zbłąkany Kościół Chrystusa, ale za świadomy kościół Antychrysta. Bardzo trudno odgadnąć w tym okresie, ile w religii Anglików było protestantyzmu. Nie ulega jednak wątpliwości jego obecność, a szczególnie jego obecność w ośrodkach tak ważnych jak Londyn. Za Karola II, po czystce terroru purytańskiego, protestantyzm stał się czymś bardziej organicznym i ludzkim niż ekskluzywność wierzeń kalwińskich czy też spryt szlachty z epoki Tudorów. Bunt Monmoutha wykazał, że protestantyzm miał za sobą popularność, choć nie miał dostatecznego poparcia ludu. Hasło „precz z papieżnictwem” podjął tłum, choć nigdy nie podjął go lud. Był to coraz bardziej rosnący tłum miejski, podatny na te epidemie złudzeń, którymi sensacyjna prasa karmi tłumy dzisiejszych miast. Jednym z tych postrachów i sensacji (by nie użyć mniej technicznej nazwy kłamstwa) był „spisek papieski”, burza, którą udało się Karolowi II ostrożnie przetrwać. Drugim była opowieść o Grzejącej Patelni, czyli o podstawionym następcy tronu, burza, która ostatecznie zmiotła Jakuba II.

Jednakże ten ostatni cios nie byłby spadł, gdyby nie jeden z tych nielogicznych, ale drogich usposobieniu angielskiemu lokalizmów. Dyskusja na temat kościoła anglikańskiego różni się, tak wówczas jak dziś, od większości innych dyskusji jedną istotną cechą: nie jest to dyskusja nad tym, co dana instytucja powinna czynić, albo czy tę instytucję należałoby zmienić – ale czym ta instytucja w istocie jest. Jedna partia, tak wówczas, jak dziś, popierała ten kościół tylko dlatego, że był protestancki. Otóż Anglikom przytrafiło się coś, co jest nie do pomyślenia u Szkotów czy Irlandczyków. Masy prostych ludzi kochały kościół anglikański, nie mając pojęcia o tym, czym on był. Miał on wpływ na pewno różny od wpływu Kościoła w średniowieczu, ale także bardzo różny od jałowego prestiżu kościoła warstw wyższych, który się doń przylepił w wieku następnym. Macaulay, mając zupełnie inny cel na oku, poświęcił kilka stron na udowodnienie, że społecznie duchowny anglikański zaliczał się w XVII wieku po prostu do lepszych sług. Macaulay miał zapewne słuszość. Nie domyślał się on jednak, że było to tylko zwyrodniałe przedłużenie bardziej demokratycznego duchowieństwa wieków średnich. Księża nie traktowano wówczas jak dżentelmena, ale chłopą traktowano jak księdza. W ówczesnej Anglii, podobnie jak w dzisiejszej

Europie, wielu ludzi wyobrażało sobie, że stan duchowny był czymś wyższym niż stan szlachecki. Mówiąc krótko, kościół narodowy był wówczas naprawdę narodowy, i to w sposób, który budził żywe uczucia, choć słabo sprecyzowane myśli. Gdy tedy wydawało się, że Jakub II zagraża tej religijnej wspólnoty, reakcja na tę groźbę miała charakter bądź co bądź bardziej ludowy niż niechęć nadętych wigowskich lordów. Należy do tego dodać fakt ogólnie dziś zapomniany, że wpływy zwane wówczas papieżnickimi uważano rzeczywiście za rewolucyjne. Jezuita wydawał się Anglikom nie tylko konspiratorem, ale czymś w rodzaju anarchisty. U wielu Anglików abstrakcyjne spekulacje myślowe budzą coś w rodzaju konsternacji, abstrakcyjne zaś spekulacje jezuitów takich jak Suarez zajmowały się skrajną demokracją i rzeczami, o których się w Anglii nikomu nie śniło. Ostatnie propozycje Stuartów na rzecz tolerancji wydawały się dlatego wielu ludziom równie szerokie i puste jak ateizm. Jedynymi Anglikami siedemnastego wieku, którzy mieli w sobie coś z tej transcendentalnej abstrakcyjności, byli kwakrzy. Wygodna angielska kompromisowość wzдрыgnęła się, gdy te dwie rzeczy podały sobie ręce. Coś znacznie poważniejszego niż intryga Stuartów doprowadziło do zbliżenia tych dwu filozoficznych skrajności, jedynie dlatego, że obie posiadały założenia filozoficzne. Doprowadziło to do przymierza między znużonym i zmiennym umysłem Karola II a subtelnym i oderwanym od świata duchem Williama Penna.

Wielu Anglików zaniepokoiło się wówczas nie na żarty stuartowskim planem tolerancji, czy był on szczerzy, czy nieszczerzy. Budził niepokój, ponieważ wydawał się teoretyczny, a więc groźący niespodziankami. Wyprzedził swój wiek, czy też (by użyć języka inteligentniejszego) – był zbyt subtelny i eteryczny dla atmosfery tego wieku. Do tego zaś przywiązania do epoki, cechującego umiarkowanych Anglików, należy dodać (nie wiemy, w jakim stosunku) agresywną nienawiść do papieżnictwa, maniacką, lecz zupełnie szczerą. Jak widzieliśmy, państwo obrócono już od dawna w narzędzie do torturowania księży i ich przyjaciół. Mówi się o odwołaniu edyktu nantejskiego, angielscy prześladowcy nie mieli jednak nigdy tak tolerancyjnego edyktu do odwołania. W tym czasie prześladowcy angielscy, podobnie jak francuscy, gnębili tylko mniejszość. Niestety, była inna dziedzina, w której panował szal prześladowania większości. Tu osiągnęła swój punkt szczytowy i przybrała swój straszliwy charakter przewlekła zbrodnia, zwana rządami nad Irlandią. Zbyt dużo czasu zabrałoby szczegółowe wyliczanie tej gęstej sieci zbrodniczych ustaw, sieci, która pokrywała ten kraj aż po koniec XVIII wieku. Wystarczy tu powiedzieć, że postawa w stosunku do Irlandczyków znalazła swój tragiczny wyraz w wygnaniu Stuartów, w jednym z tych aktów, które zostają w pamięci na zawsze. Jakub II, uchodząc przed opinią Londynu, a może i Anglii, schronił się w końcu do Irlandii, która chwyciła za broń po jego stronie. Księżę Orański, wezwany na tron przez arystokrację, wylądował w Irlandii z armią angielską i holenderską i wprawdzie wygrał bitwę nad rzeką Boyne, lecz armia jego utknęła pod Limerick dzięki geniuszowi wojennemu Patryka Sarsfielda. Niepowodzenie było tak zupełne, że dało się jedynie przywrócić pokój, obiecując Irlandczykom, w zamian za poddanie Limericku, pełną wolność religijną. Nowy rząd angielski zajął miasto i niezwłocznie złamał obietnicę. Cóż tu więcej na ten temat powiedzieć? Tragiczna to konieczność, że Irlandczycy o tym pamiętają, tragiczniejsza jednak, że Anglicy o tym zapomnieli. Kto zapomni swego grzechu, powtarzać go będzie w nieskończoność.

I tu jednak pozycja Stuartów była słabsza w swym aspekcie świeckim, a w szczególności zagranicznym. Arystokraci, na których przeszła ostatecznie władza w czasie rewolucji, tracili już wszelką nadnaturalną wiarę w protestantyzm jako przeciwieństwo katolicyzmu. Mieli jednak bardzo naturalną wiarę w Anglię jako przeciwnika Francji, a nawet, w pewnym sensie, w angielskie instytucje jako przeciwne instytucjom francuskim. Będąc najmniej średniowiecznymi z wszystkich ludzi na świecie, potrafili jednak chętnie się jakimiś średniowiecznymi swobodami, Wielką Kartą, parlamentem i sądami przysięgłych, potrafili również odwołać się do prawdziwie średniowiecznej legendy o wojnie z Francją. Typowy osiemnastowieczny oligarcha, jakim był Horace Walpole, potrafił się zalić, że przewodnik w jakimś starym kościele zawraca mu głowę szczątkami jakiejś nieważnej osoby zwanej św. Jakimśtam, podczas gdy on sam rozglądał się za szczątkami Jana z Gaunt²⁶. Mógł on to powiedzieć z całą naiwnością sceptyka, nie domyślając się nigdy, jak daleko –

²⁶ John of Gaunt (1340–1399), Duke of Lancaster, wódz i mąż stanu, jedna z czołowych postaci dziejów Anglii w

mówiąc tak – odbiegał od Jana z Gaunt. Chociaż arystokraci wyobrażali sobie średniowiecze jako balową maskaradę, przecież i w tym wyobrażeniu było miejsce na to, żeby żołnierz walczący przeciw Francji – mógł w jakiś dekoracyjny sposób udrapować się w zbroję Czarnego Księcia z koroną Henryka z Monmouth na głowie. Mówiąc krótko, w tej sprawie arystokraci byli niewątpliwie popularni, jak patrioci będą zawsze popularni. Wprawdzie ostatni Stuartowie byli również dalecy od braku patriotyzmu, a szczególnie Jakub II – zasługujący słusznie na miano założyciela brytyjskiej floty wojennej – ale jeśli chodzi o zagranicę, to ich sympatie leżały po stronie Francji. Schronili się do niej, starszy przed – a młodszy po swym panowaniu, i Francja pomagała w późniejszych wysiłkach jakobitów zmierzających do przywrócenia dynastii. W oczach zaś nowej Anglii, a szczególnie nowej szlachty angielskiej, wrogiem była Francja.

Metamorfozę, której uległy stosunki zagraniczne Anglii pod koniec wieku siedemnastego, symbolizują dwa bardzo różne a konkretne wydarzenia. Pierwszym jest wstąpienie na tron króla holenderskiego, drugim króla niemieckiego. Pierwsze odznacza się wszystkimi cechami, które z rzeczy nienaturalnej mogą uczynić naturalną. Z drugim wiązał się warunek, którego nawet jego autorzy nie mogli nazwać naturalnym, a tylko koniecznym. Wilhelm Orański przypominał działą wciągnięte w wyłom muru: działą zagraniczne, i to strzelające w zatargu bardziej zagranicznym niż angielskim, ale jednak w zatargu, w którym Anglicy – a w szczególności angielska arystokracja – mogli odegrać wielką rolę. Jerzy Hanowertki był po prostu czymś wetkniętym w dziurę w murze przez angielskich arystokratów, którzy nie przeczyli, że dziurę zatkali byle czym. Pod wieloma względami Wilhelm, mimo swego cynizmu, podtrzymywał legendę o wielkim i surowym purytanizmie. Był kalwinem. Nikt natomiast nie wiedział, ani nie dbał o to, czym był Jerzy. Wystarczyło, że nie był katolikiem. W swej ojczyźnie był on częściowo republikańskim urzędnikiem tego, co niegdyś było eksperymentem czysto republikańskim. Na tle klarownych, acz zimnych ideałów siedemnastego wieku. Jerzy u siebie był mniej więcej tym samym, czym był król ludożerców u siebie – dzikim władcą personalnym, nie na tyle jednak logicznym, by zasługiwał na miano despoty. Wilhelm był człowiekiem o inteligencji bystrej, choć ciasnej. Jerzy pozbawiony był wszelkiej inteligencji. Ważne jest, jeśli chodzi o efekt zewnętrzny, iż Wilhelm żonaty był z królową z rodu Stuartów i wstąpił na tron pod rękę ze Stuartówną. Był postacią dobrze znaną i nateżał do naszej rodziny królewskiej. Z Jerzym natomiast pojawiło się w Anglii coś, czego nie widziano tam nigdy przedtem, coś, o czym w piśmiennictwie średniowiecznym czy renesansowym prawie się nie wspomina, chyba że się wspomina tak jak dziś o Hotentotach. Z Jerzym pojawił się w Anglii – barbarzyńca zza Renu.

Panowanie królowej Anny, wypełniające okres między tymi dwoma zagranicznymi królami, stanowi więc okres naprawdę przejściowy. Stanowi ono pomost między czasami, w których arystokraci byli jeszcze przynajmniej na tyle słabi, by zawołać na pomoc męża silnego, a czasami, kiedy arystokraci byli już na tyle silni, by rozmyślnie zawołać człowieka słabego, który by im pozwolił robić, co im się spodoba. Sprowadzać coś do symbolu znaczy upraszczać, i to upraszczać nadmiernie. Całą tę sprawę można jednak określić symbolicznie jako walkę dwu wielkich postaci, dwu dżentelmenów i ludzi genialnych, obu odważnych i widzących jasno swój cel przed sobą, na każdym zaś innym punkcie stanowiących gwałtowny kontrast.

Jednym z nich był Henryk lord Bolingbroke, drugim zaś Jan Churchill, słynny i osławiony książę Marlborough. Historia Churchilla jest w pierwszym rzędzie historią rewolucji i jej powodzenia; historia Bolingbroke'a jest historią kontrrewolucji i jej klęski.

Churchill jest postacią typową dla tych nadzwyczajnych czasów w tym rozumieniu, że łączy chwałę z brakiem honoru. Skoro nowa arystokracja utwierdzi swe stanowisko w narodzie, w ciągu następnych paru pokoleń, wyda z siebie typy nie tylko arystokratyczne, ale i rycerskie. Rewolucja sprowadziła nas do roli kraju rządzonego wyłącznie przez dżentelmenów; na ludowych uniwersytetach i szkołach wieków średnich, podobnie jak na cechach i klasztorach, położono łapę i uczyniono z nich to, czym są obecnie – fabryki dżentelmenów, o ile nie po prostu fabryki snobów. Trudno sobie dziś wyobrazić, że szkoły, które zwiemy obecnie *Public Schools*, były niegdyś

rzeczywiście publiczne. Za czasów rewolucji zaczęły się już stawać równie prywatne, jakimi są obecnie. W osiemnastym wieku istnieli jednak przynajmniej wielcy dżentelmeni w szlachebnym, może zbyt szlachebnym znaczeniu, dawanym obecnie temu słowu. Z nazwiskami Nelsona i Focha kojarzymy typ człowieka nie tylko po prostu uczciwego, ale gwałtownego i romantycznego w swej uczciwości. Jak widzieliśmy, późniejsi reformatorzy ogołacali kościoły przez fanatyzm, podczas gdy pierwsi reformatorzy ogołacali je przez chciwość. Osiemnastowieczni wigowie chwalili często z czystej wielkoduszności to, co siedemnastowieczni wigowie uczynili przez czystą niktzemność. Jak niktzerna zaś była ta niktzemność, potrafimy ocenić dopiero, kiedy uprzytomnimy sobie, że pewien wielki bohater-żołnierz nie posiadał nawet zwykłych cnót wojskowych: lojalności wobec swego sztandaru i posłuszeństwa wobec starszych oficerów, i że przez kampanie, które uczyniły go nieśmiertelnym, przekradał się na sposób uprawiającego złodziejstwo marudera. Skoro Wilhelm wylądował w Torbay na zaproszenie innych panów wigowskich, Churchill, chcąc osłodzić swoje judaszostwo czymś idealistycznym, udał się do Jakuba z udanymi zapewnieniami miłości i wierności, po czym wyruszył niby to bronić kraju przed inwazją, a potem z zimną krwią poddał armię w ręce najeźdźcy. Niewielu ludzi mogłoby się pokusić o taki artyzm w wykonaniu. Na miarę swych możliwości wszyscy politycy rewolucji trzymali się tego etycznego wzoru. Póki jeszcze otaczali tron Jakuba, trudno było znaleźć takiego, który by nie był w kontakcie z Wilhelmem. Skoro zaś później otoczyli tron Wilhelma, nie było takiego, który by nie pozostawał w kontakcie z Jakubem. Tacy to ludzie pokonali irlandzki jakobityzm zdradzając w Limerick, tacy to ludzie pokonali szkocki jakobityzm zdradzając w Glencoe.

Tak więc dziwna, a jednak wspaniała historia osiemnastowiecznej Anglii jest historią wielkości ufundowanej na małości, piramidy odwróconej wierzchołkiem na dół. By użyć innego porównania, naszą nową merkantylną oligarchię symbolizowały zewnętrzne nawet cechy jej wielkiej siostrzycy, merkantylnej oligarchii weneckiej. Cała solidność była w nadbudowie, cała chwiejność w fundamentach. Wielka świątynia Chathama²⁷

i Warren Hastingsa²⁸ wzniesiona była początkowo na rzeczach równie nietrwałych jak woda i równie lotnych jak piana. Jest oczywiście tylko grą fantazji, jeżeli kojarzy się ten niestały żywioł z czymś niespokojnym i nawet zdradliwym w usposobieniu panów morza. W samej bowiem genezie, jeśli nie w późniejszych pokoleniach naszej kupieckiej arystokracji, było coś aż nazbyt kupieckiego, coś, co zarzucano również dawniejszemu jeszcze okazowi takiej społeczności i co nazwano *Punica fides*. Wielki rojalista Strafford, idąc na śmierć po utracie wszelkich złudzeń, powiedział: „Nie ufajcie królom”. Wielki rojalista Bolingbroke mógłby dorzucić: „Przede wszystkim jednak nie ufajcie królom kupców”.

Bolingbroke uosabia cały splot przekonań, które zaważyły silnie na dziejach Anglii, ale które straciliśmy z oczu na ostatnich zakrętach dziejów. Bez zrozumienia tych przekonań nie pojmiemy jednak naszej przeszłości ani, muszę dodać, naszej przyszłości. Rzecz ciekawa, że najlepsze książki angielskie osiemnastego wieku pełne są tych spraw, a jednak nowoczesna kultura nie dostrzega ich tam. Pełno ich u dra Johnsona, który właśnie te sprawy miał na myśli, kiedy potępiał rządy mniejszości w Irlandii oraz kiedy mówił, że diabeł był pierwszym wigiem. Pełno ich u Goldsmitha. Do nich sprowadza się cała pointa subtelnego poematu „Wieś opuszczona”. Wyłożone są one również teoretycznie z wielką jasnością i odwagą w „Proboszczu z Wakefield”. Pełno ich u Swifta, który znalazł na tym polu intelektualne braterstwo broni z samym Bolingbrokeem. W czasach królowej Anny takie było zapewne zdanie większości ludzi w Anglii. Ale mniejszość zaczęła rządzić – nie tylko w Irlandii.

Te przekonania, po mistrzowsku wyłożone przez Bolingbroke'a, miały wiele aspektów. Może

²⁷ Earl of Chatham – William Pitt (1708–1778), mąż stanu, słynny mówca, jeden z twórców potęgi Imperium Brytyjskiego (przyp. tłum.).

²⁸ Warren Hastings (1732–1818) – pierwszy generalny gubernator Indii, położył podwaliny pod władzę Anglii w Indiach (przyp. tłum.).

najważniejsze w praktyce było przekonanie, że jedną z cnót despoty jest dystans. Kacyk lokalny najdotkliwiej zatruwa ludziom życie. Z tej tezy wynika truizm, że dobry król jest nie tylko czymś dobrym, ale może najlepszym. Wynikał z niej również paradoks, że nawet zły król jest królem dobrym, ponieważ jego ucisk osłabia szlachtę i zmniejsza nacisk na pospólstwo. Jeśli jest tyranem, torturuje głównie tych, którzy torturują. Zamordowanie przez Nerona własnej matki nie wyszło może na dobre jego duszy, nie była to jednak wielka strata dla cesarstwa. Bolingbroke miał więc zupełnie racjonalistyczną teorię jakobitizmu. Poza tym miał on umysł subtelny i typowy dla osiemnastego wieku: był wolnomyślnym deistą i miał jasny i klasyczny styl angielski. Miał on jednak w sobie również ducha awanturniczego i wspaniałą odwagę polityczną, i on to wystąpił po raz ostatni na rzecz Stuartów. Pokonali go wielcy możnowładcy wigowscy, stanowiący zespół kierowniczy nowego reżimu szlacheckiego. Mając zaś w pamięci, kto go pokonał, zbędne prawie dodawać, że pokonano go przy pomocy podstęp.

Małe niemieckie ksiąźtąko wstąpiło na tron, czy też raczej zostało posadzone na tronie jak kukła, a wielki rojalista angielski poszedł na wygnanie. W dwadzieścia lat później pojawia się on znowu i wyznaje ponownie swą żywą i logiczną wiarę w monarchię ludową. Typowe dla zupełnej bezinteresowności i szlachetności jego umysłu było, że dla tego oderwanego ideału skłonny był wzmocnić spadkobiercę króla, którego usiłował być wykluczyć od tronu. Nie przestał nigdy być rojalistą, ale nigdy nie był jakobitą. Nie chodziło mu o rodzinę królewską, ale o urząd króla. Mówił o tym urzędzie z zachwytem w swej wielkiej ksiąźce „Król patriota”, napisanej na wygnaniu. Skoro zaś uważał, że prawnuk Jerzego był dostatecznym patriotą, pragnął tylko, by miał w sobie więcej z króla. Na starość zrobił jeszcze jedną próbę, przy pomocy tak mało obiecujących narzędzi, jak Jerzy III i lord Bute. Gdy zaś złamały mu się one w ręce, zmarł z całą godnością *sed victa Catoni*. Wielka arystokracja kupiecka rosła dalej, aż doszła do pełnej dojrzałości. Chcąc jednak uchwycić dobre i złe strony jej wzrostu, najlepiej będzie przeanalizować, od pierwszego do ostatniego, nieudolne zamachy stanu Bolingbroke’a. W pierwszym dążył on do pokoju z Francją i do zerwania związku z Austrią. W drugim zmierzał znów do pokoju z Francją i do zerwania związku z Prusami. W przerwie między jednym a drugim nasienie lichwiarskich panów na Brandenburgu wybujało potężnie. Byli oni już wówczas cudownym dzieckiem, które miało się stać tak ogromnym problemem Europy. Pod koniec tej epoki Chatham, który uosabiał i nawet stworzył – przynajmniej jeśli chodzi o pozory zewnętrzne – wszystko to, co określamy jako imperium brytyjskie, był u szczytu sławy własnej i swego kraju. Reprezentował on pod każdym względem nową Anglię, zrodzoną z rewolucji, szczególnie zaś pod tymi względami, pod którymi ten ruch wydaje się wielu ludziom sprzeczny w sobie, mimo że stanowił najbardziej zwartą całość. Tak więc Chatham był wigiem, a nawet w swoisty sposób był liberałem, tak jak jego syn. Był jednak również imperiatistą, a nawet – mówiąc dzisiejszym językiem – Jingo²⁹. Partia zaś wigów była konsekwentnie partią Jingo. Był on arystokratą, jako że wszyscy politycy byli wówczas arystokratami. Był jednak również zabitym komercjalistą – nieledwie kartagińczykiem. W związku z tym pozostaje pewna jego cecha, która panujący kierunek arystokratyczny uczyniła może bardziej ludzkim, ale zmienić go nie mogła. Mam tu na myśli jego umiejętność posługiwania się warstwami średnimi. James Wolfe, który padł szczytnie, wypędzając Francuzów z Quebecu, był właśnie młodym żołnierzem średniej szarzy. Robert Clive, który otworzył Anglikom złote bramy Indii, był młodym urzędnikiem Kompanii Wschodnioindyjskiej. Była to jedna z mocnych stron osiemnastowiecznej arystokracji, że potrafiła ona gładko posługiwać się bogatszą burżuazją. Nie w tym szwie miało się rozedrzyć społeczeństwo. Chatham był wymownym mówcą parlamentarnym i choć parlament ciasny był wówczas jakby jakiś senat, był to jednak senat złożony z senatorów wielkiej miary. Samo to słowo przypomina nam spiżowe dźwięki tych szlachetnych rzymskich okresów, którymi lubili się posługiwać. Słusznie zwiemy te okresy klasycznymi, choć niesłusznie zimnymi. Pod pewnymi względami nie mogło być niczego dalszego od całej tej subtelnej, choć kwiecistej uczoności, tej ksiąźce i patrycjuszowskiej uprzejmości, od całej tej atmosfery wolności i przygód na morzu – niż

²⁹ Żartobliwe określenie wojowniczego patrioty (przyp. tłum.).

małe śródłądowe państwko skąpych sierżantów z Poczdamu, musztrujących zwykłych dzikusów na prostych żołnierzy. A jednak ich wielki szef był jakby cieniem Chathama padającym na świat – tym rodzajem cienia, który wyolbrzymia zarazem i zniekształca. Angielscy lordowie, których pogaństwo uszlachetnione było patriotyzmem, widzieli tu coś pokracznego, co wytosło z ich własnych teorii. To, co u Chathama było pogaństwem, u Fryderyka Wielkiego było ateizmem. Co zaś u pierwszego było patriotyzmem, u drugiego trudno określić inaczej niż nazwą prusactwa. Ludożerca teoria społeczności, która z samego swego przyrodzenia może pożerać inne społeczności, wtargnęła w świat chrześcijański. Jej autokracja i nasza własna arystokracja zbliżyły się do siebie i wydawały się przez pewien czas jakby zaślubione, nie wcześniej jednak zanim umarł Bolingbroke, który na łożu śmierci uczynił gest, jak gdyby pragnął wzbronić zapowiedzi na to małżeństwo.

XV. Wojna z wielkimi republikami

Nie zrozumiemy osiemnastego wieku póki będziemy przypuszczali, że krasomówstwo jest rzeczą sztuczną, ponieważ jest dziełem sztuki. Nie popełniamy tego błędu przy żadnej innej ze sztuk. O człowieku uderzającym w klawisze z kości słoniowej na drewnianym fortepianie mówimy, że „gra z dużym uczuciem”. Mówimy to samo, jeśli wylewa swą duszę drapiąc kocie jelito, po zaprawie równie starannej jak u akrobata. Ciągłe jeszcze prześladowuje nas przesąd, że werbalny kształt i werbalny efekt muszą być w pewnej mierze wyrazem hipokryzji, jeśli stanowią więź między rzeczami tak żywymi, jak człowiek i tłum. Nie dowierzamy uczuciom mówcy dawnych czasów, ponieważ jego okresy były zaokrąglone i toczone jak gdyby dla przekazania uczuć potomności. Otóż wszelką krytykę wielkich ludzi XVIII stulecia trzeba poprzedzić założeniem, że byli to artyści w najdoskonalszym i najszczerzym sensie. Ich krasomówstwo było nierymowaną poezją i miało ludzkie strony poezji. Nie była to nawet poezja ametryczna. Wiek ten pełen był wielkich okresów, wygłaszanych często za podniętą wielkich chwil, mających w sobie rytm i kadencję pieśni jakby człowieka myślącego pod takt melodii. Zwrot Nelsona: „Z honorem je zyskałem, z honorem umrę wraz z nimi”, ma więcej rytmu niż niejeden tzw. *vers libre*. Patryka Henryego „Daj mi wolność lub śmierć” mogłoby być wielkim wierszem poematu Walta Whitmana.

Do wielu osobliwych dziwactw Anglików należy to, że uważają się oni za złych mówców. W rzeczywistości jednak większość angielskiego osiemnastowiecza iskrzyła się od błyskotliwych mówców. Możliwe, że pisano lepiej we Francji, nigdzie jednak nie przemawiano lepiej niż w Anglii. Parlament miał sporo błędów, był jednak na tyle szczerzy, by być retorycznym. Parlament był skorumpowany, podobnie jak dziś, choć z przykładów korupcji robiono wówczas często przykłady odstrasające, podczas kiedy dziś widzimy tam tylko wzory do naśladowania. Parlament nie troszczył się o okręgi wyborcze, podobnie jak dziś, choć okręgi wyborcze odnosiły się może mniej obojętnie do parlamentu. Parlament był snobistyczny, podobnie jak dziś, choć miał może więcej szacunku dla samej pozycji społecznej, a mniej dla samego bogactwa. Parlament był jednak parlamentem. Odpowiadał on naprawdę swej nazwie i spełniał swój obowiązek mówiąc dobrze i starając się mówić dobrze. Nie ograniczał się do robienia rzeczy, które nie znoszą, by o nich mówiono – jak to czyni parlament obecnie. Był on wówczas, ku wiecznej chwale naszego kraju, wielką „jadalnią”, nie tylko sklepem, w którym kupuje się i sprzedaje napiwki finansowe i stanowiska urzędowe. Podobnie jak w wypadku każdego innego artysty, wysiłek, który osiemnastowieczny człowiek wkładał w wymowę, dowodzi jego szczerości, a nie czegoś odwrotnego. Entuzjastyczne przemówienie pochwalne, wypowiedziane przez Burke’a, jest równie bogate i kunsztowne, jak sonet napisany przez kochanka, a to dlatego, że Burke entuzjazmował się rzeczywiście – jak każdy kochanek. Zjadliwe zdanie Juniusa jest równie starannie ułożone jak renesansowa trucizna, a to dlatego, że Junius był rzeczywiście zjadliwy – podobnie jak truciciel. Otóż nikt, kto uprzytomni sobie tę prawdę psychologiczną, nie będzie wątpił ani na chwilę, że wielu angielskich arystokratów osiemnastego wieku żywiło rzeczywisty entuzjazm dla wolności. Gdy wymawiali to słowo, głosy ich brzmiały jak surmy bojowe. Bez względu na to, co ich przodkowie

mieli na myśli, ludzie ci myśleli to, co mówili, przemawiając o wspaniałej tradycji Hampden³⁰ czy majestacie Wielkiej Karty. Ci patrioci, których Walpole zwał Chłopcami, liczyli wśród siebie wielu prawdziwych patriotów – lub raczej prawdziwych chłopców. Jeśli wolimy wyrazić to inaczej, wśród wigowskich arystokratów było wielu, którzy rzeczywiście byli wigami. Wigami zgodnie z wszystkimi idealnymi definicjami, które utożsamiały tę partię z obroną prawa przeciw tyranom i dworakom. Gdyby ktoś jednak z faktu, że wigowscy arystokraci byli wigami, wysnuł wątpliwość, czy wigowscy arystokraci byli rzeczywiście arystokratami, znajdzie łatwo praktyczny sprawdzian i odpowiedź. Da się to sprawdzić na wiele różnych sposobów: czy to analizując ustawy o polowaniu i ogrodzeniach, które uchwalili, czy ścisły kodeks pojedynkowy oraz określenie honoru, do którego wszyscy przywiązywali wagę. Gdyby ktoś jednak podawał naprawdę w wątpliwość, czy słusznie nazywam ich cały świat arystokracją, a zupełną odwrotność tego świata demokracją – znajdzie następujący sprawdzian w historii: otóż kiedy pojawił się na świecie prawdziwy republikanizm, arystokraci angielscy stoczyli z nim natychmiast dwie wielkie wojny – czy też (jeśli ktoś tak woli) – republikanizm stoczył z nimi natychmiast dwie wielkie wojny. Ameryka i Francja odsłoniły prawdziwą naturę parlamentu angielskiego. Lód może skrzyć się, ale prawdziwa iskra pokaże, że jest to tylko lód. Tak więc, skoro czerwony płomień rewolucji polizał mroźne wspaniałości wigów, natychmiast rozległ się syk i doszło do walki. Płomień walczył o stopienie lodu, woda o zalanie ognia.

Jak zaznaczyliśmy, jedną z cnót arystokratów było zamiłowanie do wolności, a szczególnie do wolności dla samych siebie. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że jedną z cnót arystokratów był cynizm. Nie byli oni wychowani na naszych modnych powieściach, w których drewniana, sztywna postać człowieka dobrego nazywa się Waszyngtonem, postać człowieka złego nosi miano Boney³¹. Zdawali oni sobie wówczas przynajmniej sprawę z tego, że sprawa Waszyngtona nie była tak biała ani Napoleona tak czarna, jak na to wskazuje większość książek będących ogólnie w obiegu. Mieli naturalny podziw dla wojskowego geniuszu Waszyngtona i Napoleona, a jak największą pogardę dla niemieckiej rodziny królewskiej, byli jednak, jako warstwa społeczna, nie tylko wrody Waszyngtonowi i Napoleonowi, ale wrody w stosunku do obydwu dla tej samej przyczyny, a mianowicie dlatego, że obaj reprezentowali demokrację.

Wyrządzamy wielką niesprawiedliwość angielskim rządóm arystokratycznym owych czasów, nie rozumiejąc tej zasadniczej różnicy, zwłaszcza w wypadku Ameryki. Anglików cechuje jakiś przekorny humor, wyrażający się szczególnie w tym, że podczas kiedy często (jak np. w wypadku Irlandii) wyobrażają oni sobie, że mieli słuszość tam, gdzie zupełnie jej nie mieli – również łatwo dają się przekonać (jak w wypadku Ameryki), że zupełnie nie mieli słuszości, kiedy pewne argumenty przemawiają za tym, że mogli – w mniejszym lub większym stopniu – mieć rację. Rząd Jerzego III nałożył pewne podatki na kolonialną społeczność na wschodnim wybrzeżu Ameryki. Na pewno nie rozumiało się samo przez się, w rozumieniu prawa i precedensu, by rząd imperialny nie miał prawa nakładać podatków na takich kolonistów. Same zaś te podatki nie miały tego dokuczliwego charakteru, który słusznie staje się tak często przyczyną rewolucji. Wigowscy oligarchowie mieli swe wady, jednakże do tych wad nie zaliczał się w żadnej mierze zupełny brak zrozumienia dla wolności, szczególnie dla wolności miejscowej, i to w stosunku do zwykłych awanturniczych krewniaków zza morza. Chatham, wielki przywódca nowej i bardzo narodowej szlachty, był typowym jej okazem choćby w tym sensie, że był wolny od najlżejszego braku liberalizmu i niechęci do kolonii jako takich. Byłby im dał wolność i okazał nawet swą przychylność, gdyby tylko mógł je utrzymać jako kolonie. Burke, który był wówczas najwymowniejszym głosem wiggizmu i miał później dowieść, jak zupełnie głos ten był głosem arystokracji, posunął się oczywiście jeszcze dalej. Nawet North poszedł na kompromis. A chociaż Jerzy III, będący głupcem, mógłby odmówić kompromisu – przecież sam nie wypełnił

³⁰ John Hampden (ok. 1595–1643) – mąż stanu, walczył o prymat Izby Gmin (przyp. tłum.).

³¹ Żartobliwe zdrobnienie nazwiska „Bonaparte” (przyp. tłum.).

bolingbrokowskiego planu o restytucji władzy królewskiej. Racja Amerykanów, prawdziwa przyczyna przyznawania im słuszności w tym sporze, leżała o wiele głębiej niż sam spór. Spór toczył się nie z martwą monarchią, ale z żywą arystokracją. Amerykanie wypowiedzieli wojnę czynnikowi o wiele wspanialszemu i o wiele groźniejszemu aniżeli starowina Jerzy. Mimo to powszechna tradycja, szczególnie w Ameryce, wyobrażała sobie, iż był to przede wszystkim pojedynek między Jerzym III a Jerzym Waszyngtonem. Takie wyobrażenia, jak to już zauważyliśmy wielokrotnie, są – mimo metaforycznego charakteru – rzadko kiedy fałszywe. Głowa króla Jerzego nie o wiele była pożyteczniejsza na tronie niż na karczemnym szyldzie. W każdym razie szyld istotnie coś oznaczał – był znakiem czasów. Oznaczał karczmę, która handlowała niemieckim, nie angielskim piwem. Oznaczał tę cechę polityki wigów, którą Chatham wykazał wtedy, kiedy stosował politykę tolerancji wobec samej Ameryki, a politykę nietolerancji wobec Ameryki sprzymierzonej z Francją. Jednym słowem, ten drewniany szyld oznaczał zbliżenie się do Fryderyka Wielkiego. Oznaczał angielsko-niemieckie przymierze, które w znacznie późniejszym okresie dziejów miało się obrócić w stary jak świat „teutoński wyścig”.

Ogólnie i szczerze mówiąc, możemy stwierdzić, że spór ten wymusiła Ameryka. Pragnęła ona separacji, a separacja była dla niej tylko innym określeniem wolności. Ameryka nie myślała o tym, że wykracza przeciw swoim obowiązkom jako kolonii. Już wtedy myślała o swoich prawach jako republiki. Negatywny wpływ tej tak drobnej różnicy zdań nigdy nie odmieniłby świata, gdyby nie pozytywny wpływ wielkiego ideału, można nawet powiedzieć: nowej, wielkiej religii. Istotą zagadnienia był fakt, iż amerykańscy koloniści odczuwali, że mogliby być czymś. Odczuwali również – i mieli rację – że Anglia nie przyłożyłaby ręki do tego, żeby oni mogli stać się tym „czymś”. Anglia zgodziłaby się prawdopodobnie na udzielenie kolonistom różnego rodzaju koncesji oraz konstytucyjnych przywilejów. Nie zgodziłaby się jednak na przyznanie im równości. Nie mam tu na myśli równości z Anglią, ale równość wzajemną kolonistów. Chatham mógł wejść w kompromis z Waszyngtonem, ponieważ Waszyngton był dżentelmenem. Chathamowi w głowie nie mogłoby się pomieścić, żeby krajem mogli rządzić nie-dżentelmeni. Burke gotów był pozornie przyznać Ameryce wszystko, ale nigdy nie zgodziłby się na przyznanie jej tego, co w końcu uzyskała. Gdyby zobaczył amerykańską demokrację, byłby nią przerażony tak samo, jak był przerażony demokracją francuską, tak jak byłby przerażony każdą inną demokracją. Jednym słowem, wigowie byli liberalnymi i wspaniałomyślnymi arystokratami. Ale arystokratami. Dlatego też ich koncesje były tyle samo warte, co ich podboje. Z rzadkim u nas upokorzeniem zwykliśmy mówić o wątpliwej roli, jaką odegraliśmy w secesji Ameryki. Nie wiem, czy ta rola zwiększa, czy umniejsza owo upokorzenie, mocno jednak podejrzewam, że nasz wpływ na tę sprawę był znikomy. Wierzę, że nasza rola w tym wypadku była bardzo mała. Przecież w gruncie rzeczy to nie my odpędzaliśmy kolonistów amerykańskich. Nikt ich w ogóle nie pędził. Wiodło ich światło, które szło przed nimi.

Światło to przyszło z Francji, podobnie jak wojska Lafayette’a, które niosły pomoc Waszyngtonowi. Francja wiała się już wtedy w bólach, rodząc olbrzymią duchową rewolucję, która wkrótce miała nadać światu nowe kształty. Ówczesny świat błędnie rozumiał ową niszczącą i twórczą doktrynę. Błędnie rozumie się ją i dzisiaj, pomimo wspaniałej jasności stylu, w jakim wyłożył ją Rousseau w „Umowie społecznej” i Jefferson w „Deklaracji Niepodległości”. Rzeknij tylko słowo „równość”, a – w wielu dzisiejszych krajach czterystu głupców podskoczy natychmiast na równe nogi, żeby ci dowieść, że jeśli dobrze poszukasz, możesz przecież znaleźć ludzi wyższych i przystojniejszych niż inni ludzie. Czyż Danton nie zauważył, że wyższy był od Robespierre’a? Czy Waszyngton nie zdawał sobie sprawy, że jest przystojniejszy od Franklina? Nie tutaj jednak miejsce, żeby wprowadzać jakąś filozofię. Posługując się parabolą, wystarczy powiedzieć mimochodem, że kiedy mówimy, iż wszystkie pensy są równe, nie mamy bynajmniej na myśli faktu, że wszystkie pensy wyglądają jednakowo. Mamy natomiast na myśli fakt, że są one absolutnie równe w swej jedynej właściwości, która stanowi ich najważniejszą cechę. Ujmując rzecz praktycznie, można powiedzieć, że są to monety o pewnej wartości, czyli że dwanaście owych wartości równa się jednemu szylingowi. Ujmując rzecz symbolicznie – lub mistycznie – można rzec, iż na wszystkich tych monetach wybita jest podobizna króla. Dodać również należy, iż

najbardziej praktycznym – choć również najbardziej mistycznym – zsumowaniem zagadnienia równości jest fakt, że wszyscy ludzie noszą na sobie podobieństwo Króla królów. Jest rzeczą oczywistą, że idea ta leżała u podstaw całego chrześcijaństwa, nawet w instytucjach o formie mniej popularnej niż np. pospółstwo średniowiecznych republik włoskich. Dogmat o równych obowiązkach zawiera w sobie dogmat o równych prawach. Nie znam takiego autorytetu chrześcijańskiego, który by nie przyznał, że zamordowanie biedaka jest równie zbrodnicze jak zamordowanie bogacza, że włamanie się do nieelegancko umeblowanego domu jest rzeczą równie złą jak włamanie się do domu umeblowanego ze smakiem. Ale świat odchodził coraz dalej i dalej od tych truizmów. Jednak nikt na świecie nie odszedł od nich dalej niż grupa wielkich arystokratów angielskich. Idea równości ludzi jest po prostu ideą o ważności człowieka. A właśnie nie co innego, jak tylko to pojęcie o ważności zwyczajnego człowieka wydawało się przerażające i nieprzyzwoite dla pewnej grupy społecznej, która cały swój heroizm i całą swoją religię zasadzała jedynie na pojęciu dżentelmena. Wyglądało to tak, jak gdyby nagus wszedł do parlamentu. Nie ma tu miejsca na pełne omawianie moralnych następstw zagadnienia, wystarczy jednak wykazać, że krytycy, którzy interesują się różnicami ludzkich typów czy talentów – niewątpliwie marnują swój czas. Jeżeli rozumieją, że dwie monety mogą mieć tę samą wartość bez względu na to, że jedna z nich jest błyszcząca, a druga matowa – może byliby w stanie pojąć, że dwóch ludzi może głosować na to samo bez względu na to, że jeden z nich jest rozgarnięty, a drugi tępy. Jeżeli jednak będą się upierać przy swoich zastrzeżeniach twierdząc, że przecież niektórzy ludzie są tępi, mogą się tylko poważnie z nimi zgodzić twierdząc, że niektórzy ludzie są naprawdę bardzo tępi.

W kilka lat po powrocie Lafayette'a z wyprawy, która pomogła do założenia republiki w Ameryce, człowieka tego wyrzucono z własnego kraju za to, że opierał się założeniu republiki we Francji. Postęp nowego ducha był tak szalony, że republikanin „Nowego świata” doczekał się nazwy reakcjonisty w świecie starym. Kiedy Francja przeszła od teorii do praktyki, przed światem stanęło zagadnienie, które było nie do pomyślenia w związku ze wstępnym eksperymentem na słabo zaludnionych amerykańskich wybrzeżach kolonialnych. Najpotężniejsza z monarchii ludzkich, niby jakiś monstrualny, przeogromny bałwan z żelaza – stopiła się w piecu hutniczym nie o wiele większym niż ona sama i przemodelowała się w równie olbrzymich rozmiarach i w kształcie, którego ludzie nie mogli zrozumieć. Najślabiej rozumieli go liberalni arystokraci angielscy. Były, rozumie się, praktyczne powody, dla których angielska polityka zagraniczna zwracała się stale przeciwko Francji, rojalistycznej czy republikańskiej. U podstaw leżało pragnienie, żeby nie dopuścić do tego, by jakiś cudzoziemiec mógł nam zagrażać od strony flandryjskiego wybrzeża. W mniejszym stopniu kryła się w tym kolonialna rywalizacja, w której Anglia taką sławę zyskała dzięki zdolnościom politycznym Chathama i czynom zbrojnym Wolfe'a oraz Clive'a. Pierwszy motyw odwrócił się przeciw nam z jakąś dziwną ironią, gdyż po to, żeby trzymać Francuzów z dala od Flandrii, z rosnącym entuzjazmem rzuciliśmy się w braterską przyjaźń z Niemcami. Świadomie paśliśmy i tuczyli tę potęgę, która w przyszłości miała pożreć Belgię w taki sposób, w jaki Francja nigdy by jej nie pożarła, potęgę, która poprzez morza zagrozić nam miała takimi środkami terroru, o jakich żadnemu Francuzowi nigdy by się nie śniło. W rzeczy samej głębsze sprawy cementowały naszą postawę w stosunku do Francji przed – i porewolucyjnej. Logicznie i historycznie biorąc, jest przecież tylko jeden krok od despotyzmu do demokracji, a oligarchia jest równie daleka od obydwóch. Kiedy upadła Bastylia, Anglikowi wydało się po prostu, że to despota zmienił się w rozjuszony motłoch. Kiedy do władzy doszedł młody Bonaparte, Anglikowi wydało się, że to rozjuszony motłoch po raz wtóry przemienił się w despota. Nie mylił się Anglik uważając, iż są to dwa zmienne oblicza jednego i tego samego zjawiska. Zjawiskiem tym była równość. Bo przecież, kiedy miliony ludzi podlegają na równi jednemu prawu, czyż jest jakaś różnica w tym, że podlegają oni również jednemu prawodawcy? Powszechne życie społeczne jest płaszczyną. Jedyną rzeczą, której Angliki nigdy nie rozumieli, jeśli idzie o Napoleona – mimo miliarda angielskich studiów na temat tej tajemniczej osobowości – jest zagadnienie, jak dalece był on człowiekiem bezosobowym. O mały włos nie powiedziałem: jak małą osobistością był Napoleon. Sam przecież powiedział: „Przejdę do historii z moim kodeksem w rękę”. Jeśli idzie o praktyczne skutki, w odróżnieniu od samego imienia i samej sławy tego aktu, można by z większą

prawdą powiedzieć, że kodeks ten przejdzie do historii z ręką Napoleona przyłożoną do nieco zamazanego podpisu. Tak więc jego prawodawczy testament rozbił wielkie posiadłości obszarncze i zadowolonych chłopów zachęcił do życia, tam, gdzie imię Napoleona jest przekleństwem, gdzie imię Napoleona jest prawie nieznaną. Jest rzeczą naturalną, że za jego życia niszczący splendor jego wojskowych sukcesów przeszywał oczy jak błyski od pioruna. Deszcz, który spadł po napoleońskiej burzy, był jednak cichy i pozostawił po sobie orzeźwiająca moc. Nie potrzeba tutaj powtarzać, że rozbiwszy jedną koalicję światową po drugiej, w bitwach, które są arcydziełami sztuki wojennej – załamał się ostatecznie na dwóch względnie znanych przyczynach: na oporze Rosji i na oporze Hiszpanii. Pierwsza przyczyna – jak wiele rosyjskich spraw – miała podłoże religijne. W drugim wypadku zaznaczył się w sposób jaskrawy czynnik, który nas tutaj interesuje: męstwo, czujność oraz wysokie napięcie narodowego ducha Anglii XVIII stulecia. W długiej kampanii hiszpańskiej zahartował się i zatriumfował wielki żołnierz irlandzki, znany później pod nazwiskiem Wellingtona. Postać jego nabrała znaczenia głębszego symbolu od chwili, kiedy ostatecznie stanął oko w oko z Napoleonem podczas jego ostatniej klęski pod Waterloo. Choć Wellington posiadał umysł zbyt logiczny, aby go można w ogóle nazwać Anglikiem, był przecież pod wieloma względami typowym przedstawicielem arystokracji: posiadał umysł ironiczny i niezależny. Jeżeli jednak chcemy sobie wyobrazić, jak ludzie tego typu tkwili sztywno w obrębie swej ograniczonej klasowości – wystarczy przypomnieć, iż Wellington – jak się zdaje – sądził, że załatwił się z Napoleonem, kiedy powiedział, że nie jest on prawdziwym dżentelmenem. Gdyby jakiś chytry a doświadczony Chińczyk wyraził się o chińskim Gordonie, że „nie jest on naprawdę mandarynem”, to – biorąc logicznie – powinniśmy uważać, że system chiński zasłużył sobie na swą reputację skostniałego i egzotycznego.

Samo jednak nazwisko Wellingtona wystarczy, żeby wysunąć tu inne nazwisko i zaraz przypomnieć, że to zestawienie – choć właściwe – nie wyczerpuje przecież sprawy. Było nieco prawdy w twierdzeniu, że Anglik nigdy nie czuł się tak bardzo Anglikiem, jak wtedy, kiedy znajdował się poza Anglią, że nigdy tak nie „zalatywało” od niego ziemią ojczystą, jak wtedy, kiedy pływał po morzach. Przez naszą psychikę narodową przewinięło się coś, co nigdy nie miało żadnego imienia – poza ekscentrycznym i naprawdę niezwykłym imieniem Robinsona Crusoe. Jest to zjawisko tym bardziej angielskie, że niepodobna go zupełnie odkryć w Anglii. Jest rzeczą wątpliwą, żeby jakiś francuski czy niemiecki chłopiec pałał specjalną chęcią, by jego rodzinne łany zbóż czy winnic stały się pustyniami. Tymczasem niejeden chłopiec angielski marzył, żeby jego rodzinna wyspa stała się pustynią. Można by nawet powiedzieć, że Anglik był typem zbyt wyspiarskim, żeby mieszkać na wyspie. Budził się najczęściej do życia wtedy, kiedy wyspę jego odcinano od fundamentów świata, kiedy wisiała w powietrzu jak planeta lub unosiła się na skrzydłach jak ptak. I, jakby na przekór temu twierdzeniu, prawdziwą armię brytyjską stanowiła flota: najzuchwalsi wyspiarze rozproszyli się po ruchomym archipelagu okrętów wielkiej floty. Jak rosnący w siłę blask – wciąż wisiała nad tą flotą legenda Armady. Była to ogromna flota, co w wielkiej glorii pływała dlatego, że kiedyś była niewielka. Na długo przed dniem, kiedy Wellington zobaczył Waterloo, okręty wykonały już swe zadanie i w drzazgi rozbiły francuską flotę na hiszpańskich wodach. Na morzu zostało – jak latarnia morska – życie i śmierć Nelsona, który padł z gwiazdami na piersiach i z sercem, które otworzyło przed światem bóle osobiste. Pamięci Nelsona nie określi żadne inne słowo jak tylko – mit. Sama godzina jego śmierci, sama nazwa jego okrętu – owiane są duchem tej bohaterskiej doskonałości, którą krytycy nazywają „długą ręką przypadkowych wydarzeń”, a prorocy – Bożą ręką. Same jego błędy i upadki miały charakter heroiczny, nie w jakimś luźnym, ale w klasycznym sensie, gdyż padł tak, jak padają legendarni herosi: osłabiony przez miłość do kobiety, ale nigdy niewyprowadzony w pole przez żadnego nieprzyjaciela-mężczyznę. I dlat ego Nelson na zawsze pozostanie wcieleniem czysto poetyckiego ducha Anglików, ducha tak poetyckiego, że mieni się tysiącem barw, a czasami nawet przemienia się w prozę. Niedawno temu, w epoce rozumu, w kraju, który już wtedy określał siebie jako przyziemny i kupiecki, w kraju, gdzie cylindry i kominy fabryczne rosnać zaczynały jak pogrzebowe pomniki wydajności pracy – ów syn wiejskiego pastora żył do ostatniego tchu w promienistej chmurze i odgrywał rolę fantastycznej baśni. Pozostanie on na zawsze nauką dla tych,

którzy Anglii nie rozumieją, a tajemnicą dla tych, którym się wydaje, że ją rozumieją. Jeśli idzie o stronę materialną, powiódł on swoje okręty do wiktorii i zginął na obcym morzu. Jeśli idzie o sens symboliczny, czyn jego ukazał nam coś, co nie da się opisać, co bliskie jest sercu i brzmi jak narodowe przykazanie: to on spalił swoje okręty i on rozniecił wieczny pożar na Tamizie.

XVI. Arystokracja i niezadowoleni

Patos wielu pospolitych rzeczy polega na tym, że są one w swej najgłębszej istocie subtelne, a pospolitość ich wynika jedynie z faktu, że powtarzają się mechanicznie. Kto widział, jak pierwszy błysk porannego światła wpada przez okno – ten wie, iż światło dzienne jest nie tylko tak samo piękne, ale i tak samo tajemnicze jak światło księżyca. Właśnie dzięki tej subtelności barw światło słoneczne wydaje się nam bezbarwne. To samo da się powiedzieć o patriotyzmie, a w szczególności o patriotyzmie angielskim, który, choć zwulgaryzowany woluminami słownej mgły i słownych oparów – jest przecież wciąż czymś tak nieuchwytnym i subtelnym jak powietrze. Nazwisko Nelsona, którym zakończyliśmy poprzedni rozdział, może doskonale zobrazować to zagadnienie. Oto walimy w to nazwisko i tłuczemy w nie jak w starą puszkę od konserw – a przecież dusza jego miała w sobie coś z doskonałej a kruchej wazy XVIII stulecia. Zauważyć trzeba, że najbardziej wyświechtane frazesy na temat Nelsona brzmią realną prawdą, zgodną z tonem i znaczeniem jego życia i czasów. Dla nas jednak zbyt często degenerują się one do znaczenia martwych żartów. Takie np. wyrażenie jak „serca z dębu” jest wcale szczęśliwym zwrotem na określenie tej pięknej cechy życia angielskiego, którą Nelson uosabiał w sposób najpełniejszy. Nawet jako materialna metafora powiedzenie to wyraża w dużym stopniu moją myśl: z dębu nie robiono jedynie pałek i okrętów wojennych, a angielski szlachcic uważał, iż nie wypada mu udawać, że jest zwyczajnym brutalem. Sama nazwa „dąb” przywodzi na myśl – jak sen – owe mroczne, ale jakże wdzięczne wnętrza kolegów czy wiejskich dworaków, gdzie znakomici, niezdegenerowani dżentelmeni łaciną władali niby angielskim językiem, a porto pili jak angielskie wino. Przynajmniej część tego świata zachowa się na zawsze, bowiem jesienny jego blask zaklęty został w płótna wielkich portrecistów angielskich, którym – bardziej niż komukolwiek innemu dane było upamiętnić świetną kulturę humanistyczną naszego kraju i unieśmiertelnić ducha, który był tak szeroki i tak subtelny jak ich płótna. Spróbuj podejść w naturalny sposób, to znaczy pod właściwym kątem uczuciowym, do jednego z płócien Gainsborough – który malował postaci pań angielskich jak krajobrazy wielkie i nie wymuszone w swym spokoju, spróbuj podejść, a zauważysz jak artysta oddał – poprzez suknię wpływającą na pierwszym planie – boską właściwość oddalenia. Zrozumiesz wtedy inny, uwiędły już zwrot i słowa, które wypowiedziano gdzieś na dalekim morzu. Staną one wtedy świeże przed tobą i uniosą się pod takt muzyki jak słowa, których nigdy przedtem nie słyszałeś: „Za Anglię, rodzinny dom i piękno”.

Kiedy myślę o tym wszystkim, nie mam najmniejszej pokusy, żeby wyrzekać na tę wspaniałą szlachtę, która prowadziła wielką wojnę naszych przodków. Trudność zagadnienia szlacheckiego leży w czymś głębszym, w czymś, czego nie można dyskutować za pomocą żadnego wyrzekania. Była to ekskluzywna klasa, ale nie ekskluzywna forma życia. Szlachta interesowała się wszystkimi rzeczami, chociaż nie były to rzeczy wszystkim ludziom dostępne. Postawmy sprawę inaczej: to, czego nie włączyła do sfery swoich zainteresowań – ze względu na ciasnotę horyzontów w tej racjonalistycznej epoce przejściowej między średniowiecznym a nowożytnym mistycyzmem – nie należało przynajmniej do tego gatunku zjawisk, które by nas raziły powierzchownym brakiem uczuć humanitarnych. Największą luką w ich duszach – dla tych, którzy uważają to za lukę – było ich zupełne i zadowolone z siebie pogaństwo. Zwykle poczucie przyzwoitości nakazywało im uważać dawną wiarę za umarłą, tych zaś, którzy jeszcze tę wiarę wyznawali – jak wielki Johnson – mianowano ekscentrykami. Rewolucja francuska była awanturą, która zatrzymała formalny pogrzeb chrześcijaństwa. Nastąpiły po niej przeróżne komplikacje, wśród których nieboszczyk wrócił do życia. Sceptycyzm nie był jednak wyłącznie oligarchiczną zabawą, nie zamykał się w obrębie tajnego Klubu Ognia Piekielnego, klubu, który by można uważać – z tytułu jego żywej nazwy – za organizację względnie ortodoksyjną. Sceptycyzm wyczuwa się nawet w najłagodniejszej

atmosferze mieszczańskiej, tak jak np. w mieszczańskim arcydziele pt. „Opactwo Northanger”, gdzie prawdziwy smak dawności odczuwamy nawet wtedy, kiedy zapominamy, że chodzi tu o opactwo. Zaiste, nie ma jaskrawszego przykładu ateizmu niż ateizm Jane Austen.

Na nieszczęście, o angielskim dżentelmenie można słusznie powiedzieć – tak jak o każdym innym rycerskim a dwornym indywiduum – że jego honor wrósł korzeniami w niesławę. Zaiste, w pewnej mierze znalazł się on w pozycji owego arystokraty z pewnej powieści, arystokraty, który splendor swój zbudował na ciemnej plamie jakiejś tajemnicy i na pewnego rodzaju szantażu. Po pierwsze, w grę wchodził nieprzyjemny paradoks, jaki zawierała opowieść o jego drzewie genealogicznym. Wielu herosów rościło sobie pretensje do pochodzenia od bogów, istot o wiele potężniejszych niż oni sami. On jednak był postacią o wiele heroicznieszczą niż jego przodkowie. Sławy nie zdobył na wyprawach krzyżowych, ale ją ufundował na wielkim plądrowaniu. Ojcowie jego nie przyszli do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą, asystowali jedynie – w nieco mętny sposób – nadejściu Wilhelma Orańskiego. Jego wyczyny nosiły naprawdę romantyczne piętno wtedy, kiedy podbijał miasta indyjskich sułtanów lub wojnę roznosił na pokładach drewnianych okrętów. Wyczyny dalekich fundatorów jego rodu były natomiast boleśnie realistyczne. Pod tym względem wielka szlachta angielska znalazła się raczej w położeniu napoleońskich marszałków niż normańskich rycerzy. Było to nawet gorsze położenie, bo kiedy marszałkowie napoleońscy wywodzili się czasami z rodów wieśniaczych czy kupieckich, to oligarchowie angielscy ród swój wiedli od lichwiarzy i złodziei. Na tym właśnie – na dobrą czy złą dolę – zasadzał się paradoks Anglii: typowy arystokrata angielski był typowym parweniuszem.

Tajemnica tego zjawiska była jednak bardziej kompromitująca: arystokratyczna rodzina angielska nie tylko ufundowana była na złodziejstwie, ale sama owo złodziejstwo kontynuowała. Ponura prawda XVIII wieku polegała na tym, że poprzez wszystkie płomienne mowy wigów o wolności, poprzez wszystkie płomienne mowy torysów o patriotyzmie, poprzez okres Wandewash, Plassy, Trafalgaru, Waterloo – poprzez cały ten okres w centralnej instytucji ustawodawczej narodu omawiano stale jeden tylko proces: szły więc jedna po drugiej parlamentarne ustawy o uprzywilejowaniu – na rzecz wielkich obszarników – tych gromadzkich wspólnot, które jeszcze przetrwały ze wspaniałego systemu gromadzkiego wieków średnich. Nie jest to jedynie gra słów, ale głęboka polityczna ironia naszych dziejów, że to właśnie Izby Gmin niszczyły gminne posiadłości. Samo wyrażenie „gminny” – jak to już zauważyliśmy poprzednio – straciło swoje głębokie moralne znaczenie, a stało się jedynie topograficznym zwrotem, służącym do określenia jakichś resztek zakrzaczonego pola czy też wrzosowisk, których nie warto było kraść. Te ostatnie, wymierające powoli posiadłości gminne kojarzyły się w XVIII stuleciu z opowieściami o zbójcach, opowieściami, które dotąd pokutują w naszej literaturze. Były to powieści o rabusiach. Ale nie o prawdziwych rabusiach.

Nieodgadnionym grzechem angielskiego szlachcica było to, że pozostał człowiekiem mimo faktu, że przecież rujnował wszystkich ludzi dokoła siebie. Ideały tej szlachty – albo raczej jej własna rzeczywistość życiowa – były w istocie wspaniało-myślniejsze i przyjemniejsze niż bezduszną dzikość purytańskich kapitanów czy też pruskich junkrów. Mimo to kraj wiął pod ich uśmiechem, jak pod marszem na czole najeźdźcy. Byli jednak – mimo wszystko – Anglikami i na swój sposób zachowali pogodne usposobienie. Tyle że znajdowali się w fałszywej pozycji, a fałszywa pozycja zmusza ludzi dobrodusznych do brutalności. Rewolucja francuska była wyzwaniem, które ukazało wigom prawdziwą alternatywę: musieli zdecydować się na to, czy są prawdziwymi demokratami, czy też prawdziwymi arystokratami. Zdecydowali, tak jak przedstawiciel ich filozofii Burke, że są naprawdę arystokratami. Rezultatem tego postanowienia był „biały terror”, czyli okres anty-jakobińskich represji, które odsłoniły prawdziwy kierunek szlacheckich sympatii mocniej aniżeli każde terrorem nawiedzone pole w obcych krajach. Cobbeta, ostatniego i najszlachetniejszego z „yeomanów”, to znaczy warstwy drobnych właścicieli wiejskich, których z dnia na dzień pożerały majątki wielmożów – wrzucono do więzienia jedynie za to, że protestował przeciwko chłostaniu angielskich żołnierzy przez niemieckich najemników. W brutalnym rozbiciu spokojnego zebrania, które nazwano masakrą w Penterloo, użyto wprawdzie żołnierzy angielskich, ale użyto ich w duchu, w jakim używa się niemieckich żołdaków. Jednym z

tych gorzkich szyderstw, które urągają samej istocie ciągłości naszych dziejów, jest fakt, że tego zgniczenia dawnego ducha yeomanów dokonali żołnierze, którzy jeszcze wtedy nosili nazwę „Yeomanry”.

Nazwisko Cobbetta jest w danym wypadku bardzo ważne, a ignoruje się je powszechnie właśnie dlatego, że jest ważne. Cobbett był jedynym człowiekiem, który zrozumiał całość dążeń epoki i rzucił jej wyzwanie – jako całości. W konsekwencji nie poparł go nikt. Znamienne dla całych dziejów nowożytnych jest fakt, że walka trzyma masy w spokoju. A trzyma je w spokoju, ponieważ jest to walka pozorowana. Stąd większość z nas zdążyła się już przekonać, że system partyjny w Anglii jest popularny jedynie w tym sensie, co mecz piłki nożnej. Głosowanie systemem podziału Izby Gmin było w czasach Cobbetta nieco bardziej szczerze niż dziś, ale prawie tak samo powierzchowne. Wyrażało ono różnicę uczuciowego nastawienia w stosunku do pozorów, które dzieliły starą obszarnczą szlachtę XVIII wieku od nowej szlachty kupieckiej XIX stulecia. W ciągu pierwszej połowy XVIII wieku było kilka istotnych dysput parlamentarnych pomiędzy szlachtą ziemiańską a kupiectwem. Kupiec nawrócił się do wierzenia w ważność zasady „wolnego handlu” i oskarżył ziemianina o to, że głodem morzy biedotę podbijając ceny chleba dla podtrzymania swoich przywilejów agrarnych. Ziemianin odciął się później wcale skutecznie, oskarżając kupca o brutalne obchodzenie się z biedotą, która przepracowywała się w fabrykach dla podtrzymania kupieckich zysków. Przejście „ustawy o fabrykach” (*Factory Acts*) było przyznaniem się do okrucieństw, które kryły się w nowych eksperymentach przemysłowych – tak samo jak zniesienie „ustaw zbożowych” (*Corn Laws*) było przyznaniem się do słabości i niepopularności ziemiaństwa, które zniszczyło resztki tego stanu chłopskiego, który mógłby obronić rolnictwo przed naciskiem przemysłu. Te stosunkowo istotne dysputy ciągną się do połowy ery wiktoriańskiej. Na długo jednak przed rozpoczęciem się tej epoki Cobbett zrozumiał je i stwierdził, że ich wartość rzeczywista jest względna. Mógłby raczej powiedzieć, że właściwy sobie, jędry sposób, że dysputy te nie były w ogóle realne. Mógłby powiedzieć, że rolniczy kocioł przyganiał przemysłowemu garnkowi, iż smoli, gdy tymczasem i kocioł, i garnek osmolili się w tej samej kuchni. I miałyby zasadniczo rację. Bo przecież wielki przemysłowy apostoł tego kotła, James Watt (który z kotła wyciągnął naukę o parowej maszynie), był typowym przedstawicielem epoki w tym sensie, że stwierdził, iż dawne cechy kupieckie są zbyt znieprawione, zbyt przestarzałe i zacofane, żeby mu mogły pomóc w zrealizowaniu odkrycia. Dlatego też odwołał się do tej bogatej mniejszości, która gryzła i osłabiała owe cechy od czasów reformacji. Nie było zasobnego garnka chłopskiego takiego, jaki zamawiał Henryk z Nawary – nie było garnka, który by wszedł w przymierze z kołtłem. Mówiąc inaczej, nie było – w dosłownym znaczeniu tego wyrazu – żadnej „rzeczypospolitej” (*commonwealth*), ponieważ bogactwo (*wealth*), coraz bogatsze i bogatsze – stawało się coraz mniej i mniej pospolite (*common*). Czy jest w tym zasługa, czy też nie, w każdym razie wiedza i inicjatywa przemysłowa były w głównej mierze młodym eksperymentem starej oligarchii. Stara oligarchia była przecież zawsze gotowa do nowych eksperymentów, poczynając od reformacji. Charakterystycznym rysem trzeźwego umysłu Cobbetta, rysem, który wielu ludziom przesłaniała porywczosć jego temperamentu, było to, że w reformacji widział on źródło panowania możnowładztwa zarówno ziemiańskiego, jak i przemysłowego, i nawoływał ludzi do oderwania się od obydwu. Naród uczynił w tym kierunku więcej wysiłków, niż sobie zazwyczaj wyobrażamy. Jest wiele przemilczeń w naszej nieco snobistycznej historii. Jeżeli wykształcona warstwa może z łatwością tłumić bunt, jeszcze łatwiej może ona wymazywać historię owych buntów. Tak się stało z pewnymi zasadniczymi rysami owej potężnej rewolucji średniowiecznej, której upadek lub raczej zdrada – były prawdziwym punktem zwrotnym w naszych dziejach. Tak było z buntami przeciwko religijnej polityce Henryka VIII. Tak było w epoce Cobbetta z rozruchami, w czasie których palono stogi i rozbijano maszyny tkackie. W naszej historii na jeden moment pojawił się ponownie motłoch. Ten moment wystarczył, żeby ukazać jedną z nieśmiertelnych cech prawdziwego motłochu – rytualizm. Jeżeli idzie o demokratyczne działanie wprost (*action directe*), nic tak gwałtownie nie uderza niedemokratycznego doktrynera – jak próżność czy teatralność czynów, wykonywanych na serio przy świetle dziennym. Zdumiewają go one jako rzeczy równie niepraktyczne jak poemat czy modlitwa. Francuscy rewolucjoniści zdobyli szturmem pewne puste

więzienie tylko dlatego, że było ono wielkie, solidne i trudne do zdobycia i że właśnie dlatego stanowiło ono symbol potężnej monarchistycznej maszyny, dla której w istocie nie było ono niczym więcej jak tylko podrzędną szopą. Angielscy buntownicy z wielkim trudem rozbili na kawałki kamień młyński w pewnej parafii jedynie z tego powodu, że był wielki, solidny, trudny do rozbicia i że właśnie dlatego stanowił symbol potężnej oligarchicznej maszynierii, która tym kamieniem wiecznie miażdżyła biedaków. Gdzie indziej znowu jakiegoś tyrańskiego ekonomy wpakowano na wóz i obwożono po całym hrabstwie po to jedynie, żeby ziemi i niebiosom pokazać owo straszliwe indywiduum. Potem wypuszczono go jednak na wolność, co – na dobrą czy złą sprawę – oznacza prawdopodobnie, że nastąpiła pewna narodowa modyfikacja tego ruchu. Niesłuchanie typowym rysem angielskiej rewolucji był fakt, że posiadała ona wprawdzie wóz do przewożenia skazańców, ale nie posiadała gilotyny.

W każdym razie te żarzące się żuźle rewolucji miażdżono w sposób bardzo brutalny. Kamień młyński nadal mełł (i miele) w sposób wzmiankowany powyżej, tzn. „jak Pan Bóg przykazał”. Odtąd jednak, w czasie wszystkich prawie kryzysów politycznych, nie zły ekonom, ale motłoch znajdował się na wozie. Zarówno rewolucja angielska, jak i antyrewolucyjne represje były niewinną zabawką w porównaniu z potworną rewoltą i potworną zemstą, która ukoronowała podobny proces w Irlandii. Terroryzm, będący jedynie czasowym i desperackim narzędziem arystokratów w Anglii (terroryzm, który – żeby im oddać sprawiedliwość – nie pasował w ogóle do ich temperamentów, nieposiadających ani dzikości, ani zwyrodnienia, ani logiki, ani automatyzmu terrorystycznego) – ów terroryzm stał się w bardziej uduchowionej atmosferze irlandzkiej płomiennym mieczem religijnego i rasowego szału. Pitt, syn Chathama, nie nadawał się zupełnie do tego, by zajmować miejsce, jakie zajmował ojciec. Mam również podejrzenie, że w gruncie rzeczy nie nadawał się zupełnie do zajmowania miejsca, które mu powszechnie przyznaje historia. Gdyby jednak w pełni zasługiwał na nieśmiertelność, to przecież środki, za pomocą których dochodził do celu w Irlandii, nie zasługiwałyby na nieśmiertelność. Był on szczerze przekonany, że dla dobra narodowych interesów należy stwarzać koalicję po koalicji przeciwko Napoleonowi. W tym celu obsypywał biedniejszych sprzymierzeńców handlowymi bogactwami, w które – rzecz raczej dziwna na owe czasy – Anglia opływała. Pitt robił to z niewątpliwym talentem i uporem. W tym samym czasie stanął w obliczu wrogiej rebelii irlandzkiej oraz częściowo czy potencjalnie wrogiego parlamentu irlandzkiego. Parlament złamał za pomocą najbezwstydniejszego przekupstwa, a buntowników za pomocą najbezwstydniejszej brutalności. Prawdopodobnie jednak uważał, iż ma prawo do wykrętów tyra. Jego metody należały nie tylko do gatunku siejących grozę lub – w najlepszym razie – szerzących zniszczenie, lecz były to metody, których jedynym argumentem obronnym było właśnie to, że siły grozę i zniszczenie. Pitt gotów był udzielić pełnych swobód katolikom irlandzkim, ponieważ religijna bigoteria nie była grzechem oligarchii. Nie był jednak skory do udzielenia pełnych swobód mieszkańcom Irlandii. W gruncie rzeczy nie pragnął zaciągnąć Irlandii w angielską służbę, tak jak rekruta zaciąga się do wojska, ale pragnął po prostu rozbroić Irlandię, tak jak rozbraja się wroga. Jego plan rozwiązania problemu irlandzkiego był od samego początku fałszywy i dlatego uniemożliwiał każde rozwiązanie.

Unia z Anglią mogła być koniecznością, ale taka „konieczna” unia nie była przecież żadną unią. Nikt nie miał zamiaru robić z niej unii i nikt jej nigdy jako unii nie traktował. Nie tylko nie udało się nam nigdy uczynić Irlandii angielską, w tym sensie jak Burgundia stała się francuską, ale nawet nigdy tego nie próbowaliśmy. Burgundowie mogą się szcycić Corneille’iem, chociaż Corneille był Normandczykiem. My jednak śmiałybyśmy się, gdyby Irlandczycy pysznili się Szekspirem. Nasza pycha wplątała nas jedynie w jakąś sprzeczność, próbowaliśmy bowiem połączyć tożsamość z wyższością. Dowód zwyczajnego braku inteligencji składa ten, kto natrzęsa się z Irlandczyka, który przedstawia się jako Anglik – a pomstuje na Irlandczyka, który przedstawia się jako... Irlandczyk. Tak więc „unia” nigdy nie zastosowała angielskich praw do Irlandii, zastosowała jedynie system zawieszania pewnych praw oraz udzielania pewnych koncesji, przy czym zarówno owo zawieszanie praw, jak i owe koncesje preparowało się u nas na wyłączny użytek Irlandii. Ta chwiejna zmienność polityki ciągnie się od Pitta do czasów obecnych. Od czasu, kiedy wielki O’Connell, za pomocą organizowanych przez siebie monstrualnych wieców, zmusił

nasz rząd do zajęcia się sprawą emancypacji Kościoła katolickiego – aż do czasu, kiedy wielki Parnell wymusił posłuch dla sprawy samorządu irlandzkiego (*Home Rule*) – nasza chwiejna równowaga utrzymywała się w tym okresie za pomocą uderzeń z zewnątrz. Pod koniec XIX stulecia lepsze traktowania zaczęło na ogół brać górę. Gladstone, idealistyczny, choć niekonsekwentny liberał, trochę za późno zdał sobie sprawę, że idea wolności, którą ukochał w Grecji i Italii – domagała się słusznie urzeczywistnienia bliżej jego własnej ojczyzny. Rzec można, iż dzięki swej wymowie i żarliwości nawrócenia, Gladstone znalazł drugą młodość na progu śmierci. Inny mąż stanu, noszący zupełnie inną etykietę polityczną (jeżeli to coś znaczy), posiadał dalekowzroczność, która pozwalała mu zrozumieć, że Irlandia – uparcie chcąc być narodem, bardziej jeszcze chciała być narodem rolniczym. George Wyndham, człowiek wspaniałomyślny, o bujnej wyobraźni, prawdziwy człowiek wśród polityków – utrzymywał z całym przekonaniem, że koszmar rolnych eksmisji, strzelaniny i lichwiarskich czynszów powinien się skończyć tak, jak to sformułował Parnell: każdemu Irlandczykowi powinno się zawarować prawo własności na jego własnej roli. Działalność Wyndhama zaokrąglą w sposób niemal romantyczny tragedię buntu przeciwko Pittowi, sam bowiem Wyndham miał w sobie krew przywódcy buntowników i jego dzieło jest jedynym zadośćuczynieniem za całą haniebnie przelaną krew, która popłynęła w związku z upadkiem Fitz Geralda.

W Anglii skutki nie były tak tragiczne. Przeciwnie, w pewnym sensie były one zabawne. Sam Wellington, Irlandczyk wywodzący się z „mniejszościowej” partii, był wybitnym realistą i – jak wielu Irlandczyków – posiadał szczególnie realistyczne poglądy o Anglikach. Wyraził się on, że armia, którą dowodzi, składa się z szumowin globu ziemskiego. Uwaga ta jest tym cenniejsza, że przecież armia ta okazała się na tyle pożyteczną, żeby ją nazywać „solą ziemi”. Prawdę mówiąc, w zjawisku tym tkwił niby jakiś symbol narodowy. Było ono – jeśli się wolno tak wyrazić – strażnikiem pewnej narodowej tajemnicy. Do Anglików, nawet w odróżnieniu od Irlandczyków i Szkotów – da się zastosować paradoks, że każde ujęcie planów i zasad bywa dla nich nieuchronnie niesprawiedliwe. Oto Anglia nie tylko buduje swe mury obronne z odpadków, ale mury obronne znajduje w tym, co odrzuciła jako odpadki. Jeśli kryje się pochwała w powiedzeniu, że czyjeś niepowodzenia obracają się w sukcesy – to pochwała ta kryje prawdę. Niektóre z najlepszych kolonii angielskich były osiedlami skazańców. Można by je nawet nazwać zapomnianymi osiedlami skazańców. Armia składała się głównie z rzezimieszków, rekrutowanych dzięki obietnicy zwolnienia z więzień. Była to jednak dobra armia ze złych ludzi, ba, nawet wesoła armia z nieszczęśliwych ludzi. Takie to barwy i takie cechy przewijają się wśród angielskiej historii. Trudno umieszczać je w książce, a w szczególności w książce historycznej. Przewijają się one w naszej fantastycznej powieści i rozbrzmiewają w pieśniach ulicznych. Właściwym ich żywiołem jest jednak potoczna rozmowa. Cechy te najwłaściwiej nazywać brakiem konsekwencji. W duszy Anglika pusty śmiech przeżywa wszystko. Być może, iż przeżył nawet – ze zbyt wielkim nakładem cierpliwości – czasy terroru, kiedy poważniejsi od nas Irlandczycy zerwali się do buntu. Były to czasy tak pełne jakiejś brutalnie zwariowanej tyranii, że Anglik-wesołek na głowie stawał, żeby się do nich dostosować. Często, otrzymawszy jakiś zupełnie nielogiczny wyrok w policyjnym sądzie, mawiał, że odsiedzi go stojąc na głowie. I tak, za ciemieżycielskich rządów Pitta, jakiegoś człeka wpakowano do więzienia za to, iż powiedział, że Jerzy III był tłusty. Mam wrażenie, że pewną ulgę przyniosły mu w więzieniu artystyczne rozmyślania o tym, jakim to straszliwym tłuściochem był Jerzy III. Ów typ wolności, ów typ ludzkiej postawy, a nie był to typ wcale podły – naprawdę przeżył wszystkie prądy i zdradliwe wiry złego ustroju gospodarczego. Przeżył również drakońskie metody reakcyjnej epoki i bardziej od nich ponurą groźbę materialistycznej nauki społecznej w formie reprezentowanej przez nowych purytanów, co „spuryfikowali się” nawet z religii. Najgorszą rzeczą w tym długim procesie był fakt, że angielski wesołek staczał się powoli w dół drabiny społecznej. Falstaff był rycerzem. Sam Weller był sługą pewnego dżentelmena. Zdaje się jednak, że niektóre z naszych ograniczeń socjalnych zmierzają do tego, żeby Sama Wellera zepchnąć do pozycji, jaką zajmuje Przemysłny Krętacz (*Artful Dodger*). Wcale nieźle wyszliśmy na tym, że coś jednak przetrwało z tej sponiewieranej tradycji i głuchych wspomnień Wesołej Anglii. Dobrze wyszliśmy na tym – jak zobaczymy – że cała nasza wiedza społeczna zawiodła, a w jej obliczu

załamała się cała sztuka rządzenia krajem. Miały bowiem zagrzmieć surmy bojowe i nadejść miał straszny dzień próby, kiedy wszystkich dniówkowych wyrobników naszej smętnej cywilizacji wywołać miano z domów i nor – jak na dzień zmartwychwstania. I miano ich postawić nagich pod obcym słońcem, bez religii, ale za to z poczuciem humoru. Nie trudno by poznać, do jakiej nacji należał Szekspir, ten Szekspir, który żarty strugał i żartobliwe figle płatał wśród najczarniejszych namiętności tragedii. Nie trudno poznać, jeżeli się tylko słyszało owych chłopców we Francji i Flandrii, którzy nazwali siebie – ku upamiętnieniu teatralnego zwyczaju – „wczesnymi drzwiami” („Early Doors”)! Szli oni bowiem wtedy pierwsi, w tak wczesnej młodości, wyłamywać bramy śmierci.

XVII. Powrót barbarzyńcy

Jak już wspomniałem, jedynym sposobem pisania popularnej historii byłoby pisanie jej wstecz. Żeby to zrobić, trzeba by wziąć zwykłe przedmioty z naszej ulicy i opowiedzieć baśń o tym, jak to się w ogóle stało, że każdy z nich znalazł się na ulicy. Dla mego bezpośredniego celu będzie rzeczą naprawdę stosowną wziąć pod uwagę dwa przedmioty, z którymi stykamy się całe nasze życie i które są wyrazami fasonu czy „szanowności”. Jeden z nich, coraz rzadszy ostatnio, nosi nazwę cylindra. Drugi, będący w dalszym ciągu przepisowym strojem – to para spodni. Historia tych dwóch zabawnych przedmiotów daje nam naprawdę klucz do zrozumienia tego, co się stało w Anglii w ciągu ostatnich stu lat. Nie potrzeba być estetą, by uznać obydwie te przedmioty za przeciwieństwo piękna z racjonalnego punktu widzenia. Linie ciała ludzkiego mogą być piękne i piękne mogą być linie luźno drapowanej materii. Nie da się jednak tego powiedzieć o rurach, zbyt luźnych na to, by być jak linie członków ludzkich, a zbyt ciasnych, by być jak luźno drapowana materia. Nie potrzeba też subtelności wycucia harmonii, żeby zrozumieć, iż wśród setek kapeluszy o różnych proporcjach kapeluszy, który rzeczywiście rozszerza się ku czubkowi – nie posiada równowagi „w czubie”. Zapominamy jednak często, że owe dwa fantastyczne przedmioty – które dziś uderzają oko jako nieświadome wybryki mody – są z pochodzenia świadomymi wybrykami. Przodkowie nasi – żeby im oddać sprawiedliwość – nie uważali ich za strój swobodny czy zwyczajny. Jeżeli nie uważali ich za śmieszne, uważali je w najlepszym razie za rokokowo przesadne. Cylinder o szerokim szczycie był szczytowym punktem rewolucji gogusiostwa z czasów Regencji, kiedy nasi złoci chłopcy nosili długie spodnie, a brać kupiecka – bryczesy. Nie jest to żadna fantazja, jeżeli pewnych cech orientalnych dopatrywać się będziemy w spodniach, które późniejsi Rzymianie uważali też za zniewieściały orientalizm. Był to ten sam smak orientalny, który możemy znaleźć w zabytkach owej epoki, np. w poematach Byrona czy też w architekturze Pawilonu w Brighton. Jest rzeczą interesującą, że te chwilowe wybryki fantazji przyłgnęły do całego poważnego stulecia jak anachroniczne skamieliny. W karnawale Regencji kilku głupców przystroiło się w fantazyjne stroje i w rezultacie wszyscy dziś chodzimy w tych fantazyjnych strojach, chociaż straciliśmy już fantazję.

Twierdzę, że jest to typowa cecha najważniejszego wydarzenia, jakie zaszło w epoce wiktoriańskiej. Tym najważniejszym wydarzeniem jest fakt, że nic właściwie nie zaszło. Samo zjawisko hałasu, jaki się podniósł z powodu mało ważnych zmian, podkreśla sztywność, w jaką zastygły główne kierunki życia socjalnego od czasów rewolucji francuskiej. O rewolucji francuskiej mówimy jako o czymś, co zmieniło świat. W odniesieniu do Anglii – jej najważniejsza rola polega na tym, że nie zmieniła ona Anglii w ogóle. Stąd też badacze naszych dziejów interesują się raczej skutkami, których ta rewolucja nie wywarła, niż skutkami, które wywarła. Jeżeli przeżycie katastrofy potopu można by uważać za wspaniałe uśmiech losu – to los znowu uśmiechnął się wspaniale do arystokracji angielskiej. Nawet dla krajów, gdzie rewolucja ta była jak konwulsyjne podrygi – były to jednak ostatnie podrygi, dopóki nie przyszedł dzisiejszy wstrząs. Wycisnęła ona swe piętno na tych wszystkich republikach, które rozprawiły o postępie, a przebiebrały nogami w miejscu. Mimo powierzchownych reakcji Francuzi pozostali w duchu republikanami, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy włożyli na głowy cylindry. Mimo powierzchownych reakcji Anglicy pozostali w duchu oligarchami, tak jak byli nimi wtedy, kiedy po raz pierwszy wdzielili długie

spodnie. O jednym tylko państwie można powiedzieć, że rosło i to w dodatku powoli, ciężko, w prozaiczny sposób. Było to państwo północno-wschodnie, zwane Prusami. Anglicy przekonywali się coraz mocniej i mocniej, że nie ma potrzeby obawiać się tego wzrostu, bo przecież północni Niemcy byli ich kuzynami z krwi, a braćmi z ducha.

Pierwszą rzeczą, którą należy zapamiętać, jeśli idzie o wiek XIX, jest fakt, że Europa ówczesna nie uległa zmianom w porównaniu z Europą wielkiej wojny, a Anglia nie uległa żadnym zmianom w porównaniu z resztą Europy. Przyjawszy to do wierzenia, podkreślić możemy należną wagę ostrożnych zmian wewnętrznych w naszym kraju – świadomie malutkich i nieświadomie wielkich zmian. Większość świadomych zmian oparta była na wczesnym wzorze wielkiej Reformy (*Reform Bill*) z 1832 roku, i tylko na tym tle można je rozpatrywać. Z punktu widzenia większości prawdziwych reformatorów – główną cechą tej reformy było to, że niczego nie reformowała. Szła za nią olbrzymia fala powszechnego entuzjazmu, który całkowicie zniknął z chwilą, gdy naród stanął w obliczu reformy. Udzieliła ona prawa głosowania szerokim rzeszom warstw średnich, a pozbawiła prawa głosu bardzo określone organizacje klas pracujących, przy czym tak zachwiała równowagę między konserwatystami a niebezpiecznymi elementami wspólnoty brytyjskiej, że klasa rządząca stała się silniejsza niż przedtem. Data tej reformy jest ważna nie dlatego bynajmniej, że znaczy ona początek demokracji, ale dlatego, że znaczy początek najlepszej drogi, jaką kiedykolwiek odkryto dla uniknięcia i odłożenia demokracji. Oto pojawia się tutaj homeopatyczny zabieg w leczeniu rewolucji, zabieg tak często odtąd stosowany z powodzeniem. Gdzieś około połowy następnej generacji Disraeli, błyskotliwy żydowski łowca przygód, który był symbolem zjawiska polegającego na tym, że arystokracja angielska przestała być „rodowitą” arystokracją – rozszerzył prawo głosowania na rzemieślników, częściowo jako partyjny chwyt przeciwko wielkiemu rywalowi Gladstoneowi. Przede wszystkim jednak była to metoda, za pomocą której najpierw osłabiono dawny nacisk warstw ludowych. Politycy orzekli, że warstwa pracująca była dostatecznie silna, żeby jej pozwolić na głosowanie. Trafniej byłoby jednak powiedzieć, że była ona dostatecznie słaba, by dać jej prawo głosowania. Tak więc w nowszych czasach sprawa pensji poselskich, której sprzeciwiano by się dawniej – uważając ją za interwencję sił ludowych – przeszła przez ustawę spokojnie i bez oporu, gdyż uważano ją jedynie za rozszerzenie parlamentarnych przywilejów. Prawda leży w tym, że stara oligarchia parlamentarna opuściła pierwszą linię oporu, jako że tymczasem przygotowała sobie drugą linię obrony. Obrona ta polegała na skoncentrowaniu olbrzymich funduszy publicznych w dyspozycji prywatnych i nieodpowiedzialnych polityków. Zgromadzono je ze sprzedaży tytułów lordowskich oraz ważniejszych jeszcze rzeczy i trwoniono na „reżyserowanie” straszliwie kosztownych wyborów. Wobec istnienia takiej wewnętrznej przeszkody głos wyborczy był wart tyle, ile bilet kolejowy na przejazd zablokowaną na stałe linią kolejową. Fasadowa, zewnętrzna forma tego nowego, tajnego rządu jest czysto mechanicznym zastosowaniem „systemu partyjnego”. Ów system partyjny składa się – jak niektórzy przypuszczają – nie z dwóch partii, ale z jednej. Gdyby to były dwie prawdziwe partie, nie byłoby systemu.

Jeśli tak wyglądała ewolucja parlamentarnej reformy, w ujęciu pierwszej Ustawy o Reformie – drugą jej stronę możemy zobaczyć w reformie socjalnej, do której zabrano się natychmiast po pierwszej Reformie. Prawdą, która powinna wyrosnąć jak wieża i być jak kamień milowy – jest fakt, iż jednym z pierwszych posunięć „parlamentu reform” było ustanowienie przygnębiających i niehumanitarnych przytułków dla ubogich, które zarówno uczciwi radykałowie, jak i uczciwi torysi napiętnowali mianem Nowej Bastylia. Ta gorzka nazwa tłucze się po naszej literaturze, a ciekawscy mogą ją znaleźć w dziełach Carlyle’a i Hooda. Stanowi ona raczej wyraz powszechnego oburzenia niż trafne porównanie. Łatwo sobie wyobrazić, że logiści i prawnicy-oratorzy z parlamentarnej szkoły postępowej znaleźli tu wiele rozbieżności czy nawet przeciwieństw. Bastylia była jedną centralną instytucją, a domów dla biednych było mnóstwo. Przekształciły one wszędzie lokalne życie, obudziły uczucia społeczne i stały się źródłem natchnienia. Ludzi na wysokich stanowiskach i ludzi bogatych wsadzano często do Bastylia. Takiego błędu nie popełniał jednak nigdy zarząd wymienionych przytułków. Nad najbardziej kapryśną *lettre de cachet* wisiła wciąż jakaś mglista idea tradycyjna, że człowieka wsadza się do więzienia, żeby go za coś ukarać. Dopiero późniejsza wiedza społeczna uczyniła odkrycie, że człowieka, którego nie można ukarać – można wpać

do więzienia. Najgłębsza jednak i rozstrzygająca różnica leży w tym, że Nowa Bastylia urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą, gdyż żaden motłoch nie odważył się uderzyć na nią szturmem. I dlatego nigdy nie padła.

Nowe Prawo Ubogich (*Poor Law*) nie było bynajmniej całkiem nowym. Stanowiło ono szczytowe osiągnięcie i jasne wyłożenie idei, której przedsmak dało wcześniejsze elżbietańskie Prawo Ubogich, będące jednym z wielu antyludowych skutków Wielkiego Rabunku. Kiedy zmieciono z powierzchni ziemi klasztory i zniszczono średniowieczny system gościnności, włóczędzy i żebracy stali się problemem, którego rozwiązanie zmierzało zawsze do niewolnictwa, nawet wtedy, kiedy kwestię niewolnictwa oczyszczono z nieistotnej kwestii okrucieństwa. Rzecz oczywista, iż zrozpaczony człek mógłby uważać, iż Mr. Bumble oraz Zarząd Domu Ubogich nie są tak okrutni, jak zimna i goła ziemia. Mógłby tak sądzić, nawet gdyby mu pozwolono spać na podłodze, czego mu się jednak zabrania (na skutek kosztownej głupoty i niesprawiedliwości). W istocie karze się go za spanie pod krzakiem – na mocy wyraźnej i ściśle określonej podstawy, iż nie może sobie pozwolić na łóżko. Rzecz jasna, iż człek ów może znaleźć największe możliwe korzyści natury fizycznej, jeśli pójdzie do domu dla biednych. W pogańskich czasach znajdował przecież te korzyści, kiedy zaprzedał się w niewolę. Rzecz w tym, iż rozwiązanie pozostaje niewolnicze, nawet gdyby Mr. Bumble i Zarząd Domu przestali być okrutni w zwyczajnym sensie tego słowa. Poganin mógł mieć szczęście i sprzedać się dobrotliwemu panu. Zasadą nowego Prawa Ubogich, która nie zmieniła się dotychczas w naszym społeczeństwie, jest idea, że człowiek traci wszelkie prawa obywatelskie jedynie dlatego, iż jest biedny. Jest pewien posmak ironii, a nie zwyczajnej hipokryzji, w fakcie, że parlament, który dokonał tej reformy, w tym samym czasie znosił czarne niewolnictwo, płacąc odszkodowania właścicielom niewolników w koloniach brytyjskich. Odszkodowania te były tak wysokie, że można je śmiało nazwać szantażem. Nie zrozumielibyśmy jednak psychiki narodowej, gdybyśmy uważali te uczucia za nieszczerze. Wilbeforce reprezentował w tym wypadku prawdziwą podniosłość religii Wesleya, która była humanitarną reakcją przeciwko kalwinizmowi i reprezentowała filantropizm w jego lepszym rozumieniu. Jest coś romantycznego w angielskim umyśle, coś, co zawsze pozwala Anglikowi widzieć rzeczy dalekie. Jest to najlepszy przykład tego, co tracą ludzie dalekowzroczni. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że zyskują oni również wiele rzeczy, np. poematy jak przygody i przygody jak poematy. Jest w tym pewna cecha psychiki narodowej, sama w sobie ani dobra, ani zła. W zastosowaniu praktycznym zależy ona od tego, czy znajdziemy uzasadnienie biblijne na to, żeby chcieć pożyczyć skrzydeł od zorzy porannej i osiąść gdzieś na najdalszych krańcach mórz, czy też po prostu za punkt wyjścia weźmiemy przysłowie, które powiada, że dla głupca góry na kresach ziemi malowane są na błękitno.

W każdym razie, ten nieświadomy prąd XIX stulecia, tak powolny, że wydawało się, iż stoi w miejscu – posuwał się na ogół w tym kierunku, który wyznaczała filantropia Domów Ubogich... Ruch ten miał do pokonania i przewyciężenia jedną instytucję narodową, instytucję, która posiadała tym intensywniejszy charakter narodowy, że nie była instytucją oficjalną, ani nawet w pewnym sensie – instytucją polityczną. Nowoczesne Trade Unions urodziły się z natchnienia Anglików i były ich dziełem. Do dziś znane są pod nazwą angielską w całej Europie. Stanowiły one angielski wyraz europejskiego wysiłku, który miał na celu przeciwstawienie się tym tendencjom kapitalizmu, które w sposób naturalny zmierzały do kompletnego niewolnictwa. Ruch ten jest przez to niesamowicie ciekawym zagadnieniem psychologicznym. Był to bowiem nawrót do przeszłości ze strony ludzi, którzy tej przeszłości w ogóle nie znali. Była to jakby podświadoma akcja człowieka, który stracił pamięć. Mówimy często, że historia się powtarza. Zagadnienie jest bardziej interesujące, kiedy historia powtarza się podświadomie. Nikt na świecie nie wie tak mało o średniowieczu jak brytyjski robotnik, z wyjątkiem może brytyjskiego biznesmena, który zatrudnia owego robotnika. A przecież nawet ci wszyscy, którzy znają średniowiecze po lebkach – rozumieją, iż nowoczesne Trade Unions są szukaniem po omacku cechów. Prawdą jest, że ci, którzy liczą na związki zawodowe, a nawet ci, którzy są na tyle bystrzy, że nazywają związki zawodowe cechami – często nie posiadają najmniejszego śladu średniowiecznego mistycyzmu czy nawet średniowiecznej moralności. Fakt ten jest sam w sobie najbardziej zdumiewającą i żenującą pochwałą średniowiecznej moralności i posiada wszystkie cechy przygniatającej logiki przypadkowości.

Gdyby duża liczba zatwardziałyh ateistów z głębi własnego sumienia doszła do wniosku, że pewna ilość kawalerów i panien powinna żyć zbiorowo w grupowym celibacie, żeby pracować dla dobra ubogich lub odprawiać coś w rodzaju godzinek i nabożeństw – gdyby tak się stało, byłby to silny argument na korzyść klasztorów. Argument ów byłby tym silniejszy, gdyby ci ateści nigdy nie słyszeli o klasztorach. Najsilniejszy zaś byłby wtedy, gdyby ci ateści nienawiścią pałali do samego słowa „klasztor”. Jest to argument tym mocniejszy, że człowiek, który całe zaufanie pokłada w Trade Unionach – nie mieni się ani katolikiem, ani nawet chrześcijaninem. W najlepszym razie przybiera nazwę socjalisty cechowego.

Ruch związków zawodowych wyszedł cało z wielu niebezpieczeństw, włącznie z absurdalną próbą pewnych prawników, mającą na celu napiętnowanie – jako zbrodniczej konspiracji – tej zawodowej solidarności związku, której najbardziej jaskrawym i przerażającym przykładem jest własna solidarność zawodowa owych prawników. Kulminacyjnym punktem walki były gigantyczne strajki, które w pierwszej połowie XX stulecia rozbiły kraj pod każdym względem. Zachodził jednak pewien proces, który popierała znaczniejsza siła. Zasada reprezentowana przez nowe Prawo Ubogich rozwijała się swoim własnym biegiem, zmieniając kurs tylko pod jednym względem, prawie wcale nie zmieniając jednak swego celu. Najpoprawniej będzie, jeśli stwierdzimy, że sami pracodawcy, którzy właśnie organizowali gospodarkę – zaczęli również organizować społeczne reformy. Ów fakt bardzo obrazowo przedstawił w parlamencie jeden z cynicznych arystokratów mówiąc: „Wszyscy jesteście teraz socjalistami”. Socjaliści – zupełnie szczerą organizacją, kierowaną przez kilku wybitnie zdolnych ludzi – długi czas wbijali w ludzkie głowy beznadziejną jałowość zasady nieinterweniowania w sprawy wymiany dóbr. Socjaliści zaproponowali, że państwo powinno nie tylko wtrącać się w sprawy zakładów gospodarczych, ale powinno je przejąć, płacąc wszystkim ludziom na zasadzie równego zarobkowania, a w każdym razie na zasadzie zarobkowania. Pracodawcy nie mieli ochoty zrezygnować ze swego stanowiska na rzecz państwa i dlatego też projekt ów po większej części zniknął z polityki. Mądrzejsi z nich skłonni byli do przyznania lepszych płac. Szczególnie zaś skłonni byli do przyznania różnych innych korzyści pod warunkiem, że przyznawałoby się je na tej samej zasadzie, co płace. W ten sposób powstał szereg reform, które – z korzyścią lub nie – zmierzały wszystkie do tego samego celu: zezwalały pracownikom na domaganie się pewnych korzyści dla siebie jako dla pracowników i jako dla czynnika zawsze różnego od pracodawców. Oczywistymi przykładami tych dążeń były ustawy o odpowiedzialności pracodawców, pensjach starczyh i o ubezpieczeniu. Ta ostatnia ustawa oznaczała inny, bardziej zasadniczy krok w tym procesie.

Cały ten plan reform społecznych, a szczególnie ta ostatnia reforma, wzorowany był na Niemczech. Zaiste, całe angielskie życie tego okresu przytłoczone było przez Niemcy. Doszliśmy wtedy do szczytowego punktu owego nabrzmiewającego stale wpływu, który zaczął narastać u nas w XVII wieku, wzmocnił się przez militarne przymierza XVIII stulecia, a w wieku XIX przerodził się w pewnego rodzaju filozofię, żeby nie powiedzieć – mitologię. Niemiecka metafizyka rozwiodniła naszą teologię do tego stopnia, że najbardziej uroczyste wierzenia wielu ludzi o Wielkim Piątku (*Good Friday*) sprowadziły się do wierzenia w to, że piątek (*Friday*) bierze swą nazwę od teutońskiej bogini Freya. Historia niemiecka zaanektowała historię angielską do tego stopnia, że każdy Anglik poczytywał sobie niemal za obowiązek patriotyczny puszyć się z tego, że jest Germanem. Ani geniusz Carlyle’a, ani kultura, o której tyle prawił Matthew Arnold, nie mogłyby same – choć tak przekonywające – wywołać tego skutku, gdyby nie pewne zewnętrzne zjawisko o wielkiej sile. Oto nasza polityka wewnętrzna przekształciła się pod wpływem naszej polityki zewnętrznej, nad którą zapanowały coraz to drastyczniejsze i drastyczniejsze posunięcia, które Prusak – wtedy już wyraźnie księżę wszechgermańskich szczepów – podejmował celem rozszerzenia niemieckiego wpływu na świat. Danię okradziono z dwu prowincji. Francję okradziono z dwu prowincji. A chociaż upadek Paryża uważano wszędzie niemal za upadek stolicy cywilizacji – tak jak zniszczenie Rzymu przez Gotów – mimo to przecież najbardziej wpływowi ludzie w Anglii w dalszym ciągu nie widzieli w tym fackie nic innego, jak tylko solidny sukces naszych ziomków i starych sprzymierzeńców spod Waterloo. Metody, jakimi to osiągnięto, żonglowanie roszczeniami do Augustenburga, sfałszowanie telegramu z Ems – albo skutecznie

zatajono, albo też mgliście pochwalono. „Wyższy krytycyzm” wtargnął do naszej etyki i teologii. Nasz pogląd na Europę wypaczył się i stracił proporcję na skutek przypadkowej – choć naturalnej – troski o Konstantynopol i naszą drogę do Indii, co skłoniło Palmerstona i późniejszych premierów angielskich do popierania Turcji i uważania Rosji za jedyne wroga. Tę nieco cyniczną postawę reprezentuje dziwna postać Disraeliego, który zawarł proturecki układ, pełen rasowej obojętności Disraeliego dla chrześcijańskich zagadnień w Turcji, i przypieczętował go swym podpisem w Berlinie, w obecności Bismarcka. Disraeli nie był pozbawiony wnikliwości. Widział niekonsekwencje i złudzenia angielskie. Powiedział on wiele mądrych rzeczy o Anglikach. Szczególnie mądra była jedna z tych uwag. Oto wyznawcom „szkoły manchesterskiej” powiedział, że motto angielskie brzmi: „Pokój i bogactwo wśród głodujących ludzi i wśród świata pod bronią”. Słowa jego o pokoju i bogactwie można by było z powodzeniem sparodiować, czyniąc z tej parodii komentarz na temat tego, co on sam powiedział o „pokoju z honorem”. Oto, wracając z konferencji berlińskiej, powinien był rzec: „Przynoszę wam pokój z honorem. Pokój, z nasionami najokropniejszej wojny w historii, i honor, który padł ofiarą starego łotra z Berlina”.

Jeżeli jednak idzie o reformy społeczne, uważano – jak to już widzieliśmy – że tu zwłaszcza Niemcy torowały drogę i znalazły lekarstwo na rozwiązanie gospodarczych niedomagań. Jeżeli idzie o zagadnienie ubezpieczeń, podziwiano Niemcy za to, iż zmusiły wszystkich robotników do odkładania części zarobków na czas choroby. Liczne inne przepisy, wprowadzone zarówno w Anglii, jak i w Niemczech, realizowały ten sam ideał ochrony biedaka przed nim samym. W każdym takim wypadku oznaczało to mieszanie się w sprawy rodzinne jakiejś „pozarodzinnej” władzy. Nie przywiązywano jednak większej wagi do tarć, które na tym tle powstawały, uważano bowiem, że wszelkie uprzedzenia do tego procesu są dziecięciem ciemnoty. Ową ciemnotę zwalczano zaś w tym czasie za pomocą środka, który zwano wykształceniem, a było to znowu przedsięwzięcie natchnione w głównej mierze przez przykład Niemiec, po części przez handlowe współzawodnictwo z nimi. Wskazywano na fakt, że zarówno rząd niemiecki, jak i wielcy pracodawcy byli zdania, iż jeśli idzie o instruowanie całej rasy niemieckiej – opłaca się obmyślaną w najdrobniejszych szczegółach organizacją. Uważano, iż rząd rośnie w siłę dzięki temu, że trenuje uczonych tak, jak się trenuje żołnierzy, a wielkie przedsiębiorstwa potężnieją wtedy, kiedy przetwarzają poglądy ludzkie w taki sposób, w jaki przetwarza się surowce. W Anglii wprowadzono bezpłatny system przymusowego kształcenia się. Wielu uczciwych, poważnych entuzjastów pocilo się nad stworzeniem skali poziomów nauczania i egzaminowania, które miały związać najzdolniejszych biedaków z kulturą angielskich uniwersytetów i z bieżącym nauczaniem historii czy filozofii. Nie można jednak powiedzieć, że doprowadzono do rezultatów tak znaczących, jak rezultaty niemieckie. Z takich czy innych przyczyn biedak angielski pozostał pod wieloma względami tym, czym byli jego ojcowie. Uważał, że „wyższy krytycyzm” jest dla niego zbyt wysoki, by go krytykować.

Przyszła jednak dzień, w którym – gdybyśmy byli rozsądni – powinniśmy Panu Bogu podziękować, że się nam ten eksperyment nie powiódł. Wykształcenie, jeżeli kiedykolwiek istotnie wchodziło w grę w tej sprawie, byłoby niewątpliwie szlachetnym darem. Mam na myśli wykształcenie w sensie zasadniczej tradycji naszych dziejów, z ich pojęciem wolności, poszanowaniem rodziny i rycerskości, co było ozdobą chrześcijańskiej kultury. Czegóż jednak nauczyłyby się w naszej epoce nasz lud, gdyby był uczył się tego wszystkiego, czego uczyły nasze szkoły i uniwersytety? Nauczyłyby się, że Anglia była tylko małą gałązką na olbrzymim drzewie teutońskim, że niezgłębiona sympatia duchowa – jak wszechogarniające morze – zawsze czyniła z nas naturalnych sprzymierzeńców tego wielkiego narodu, który osiadł nad łagodnie wijącym się Renem. Nauczyłyby się, że wszelkie światło wyszło od Lutera i luterańskich Niemiec, że nauka niemiecka wciąż jeszcze oczyszczała chrześcijaństwo z jego naleciałości greckich i rzymskich. Nauczyłyby się, że Niemcy były jak las, któremu przeznaczenie kazało się rozrastać, że Francja była kupą gnoju skazaną na zgnicie – kupą gnoju, na której piał kogut. Gdzież zawiodłaby nas owa drabina wykształcenia, jeśli nie na katedrę, z której jakiś pretensjonalny profesor udawał, że wyrażenie „cousin german” (stryjeczny kuzyn) znaczy to samo co „German cousin” (niemiecki kuzyn)! Czegóż nauczyłyby się ułicznicy, którzy by ukończyli uniwersytet? Nauczono by go, że Sasa

należy miłośniczo obłapiać dlatego, że przecież Sas stanowi drugą połowę Anglo-sasa! Przyszedł jednak dzień, kiedy nieuczony człowiek doszedł do przekonania, że musi się nauczyć innych rzeczy.

Przyszło mu to łatwiej niż jego uczonym ziomkom, jako że nie miał się czego oduczać.

Ten, o którym tyle się mówiło i na którego cześć tyle się śpiewało – poruszył się i przekroczył granicę Belgii. Były to czasy, kiedy ludzkość miała przed oczyma całe piękno jego kultury i wszystkie jej organizacyjne dobrodziejstwa. I właśnie wtedy, w blasku wstającego dnia – zobaczyliśmy, co to za światło wiodło nas dotychczas, zrozumieliśmy, na jaką to modłę chcieliśmy siebie samych przemodelować. W żadnym też okresie dziejów ludzkości ironia Boża nie wybrała istot głupich po to, żeby tak miażdżąco zawstydziły mędrców. Oto bowiem szary tłum biednych i nieoświeconych Anglików – którzy wiedzieli tylko tyle, że są Anglikami – przebił tę ohydłą sieć pajęczą, tkaną przez czterysta lat – i stanął tam, gdzie stali jego ojcowie wtedy, kiedy uświadomili sobie, że są chrześcijanami. Angielscy biedacy, łamani w każdym buncie, poniewierani na wszelkie sposoby, długo kiedyś pozbawieni prawa własności a dziś pozbawiani prawa wolności – wtargnęli w historię przy dźwięku trąb i w ciągu dwóch lat przeobrazili się w jedną z żelaznych armii świata. Kiedy krytyk polityczny i literacki – czując, że obecna wojna jest przecież wojną bohaterską – szuka wokół siebie bohatera – może wskazać tylko na pospólstwo.

XVIII. Zakończenie

W tak małej książce na tak obszerny temat, w książce, pisanej pośpiesznie wśród trosk wielkiej burzy dziejowej – byłoby rzeczą absurdalną udawać, że osiągnąłem właściwą proporcję. Pragnę jednak przyznać się do pewnej próby wyrównania dysproporcji. Mówimy często o perspektywie historycznej. Osobiście jestem raczej zdania, że za wiele jest tej perspektywy dziejowej, która z olbrzyma robi karła, a z karła olbrzyma. Przeszłość jest olbrzymem widzianym w zniekształcającym skrócie, z ogromnymi stopami na pierwszym planie. Czasami są to nogi z gliny. Zbyt często widzimy jedynie zmierzch średniowiecza, nawet wtedy, kiedy podziwiamy jego koloryt, a studium o takim człowieku jak Napoleon jest dla nas często rozprawą o „ostatniej fazie”. Są ludzie, którzy uważają, iż jest rzeczą rozsądną rozprawiać szczegółowo o *Old Sarum*³², a śmieszno rozprawiać o *The Use of Sarum*. Są ludzie, którzy w parku Kensingtonskim wznoszą złoty pomnik Albertowi, większy niż wszystko, co ktokolwiek wznosił kiedykolwiek ku pamięci Alfreda. Zdaje się, że dzieje Anglii rozumiemy opacznie przede wszystkim dlatego, że nie zdajemy sobie sprawy, gdzie jest ich punkt krytyczny. Punkt ten zwykle się umieszcza w okresie Stuartów. Mam wrażenie, że wiele kronik na temat naszej przeszłości cierpi na to samo obłąkanie, co kronika niejakiego pana Dick. Historia Stuartów była wprawdzie tragedią, ale – moim zdaniem – była również epilogiem.

Zgaduję – gdyż może to być tylko zgadywanie, że zmiana przysłała w istocie wraz z upadkiem Ryszarda II jako następstwo faktu, że nie powiodło mu się użyć średniowiecznego despotyzmu dla poparcia sprawy średniowiecznej demokracji. Anglia, jak i inne narody chrześcijańskie, powstała nie tyle przez śmierć starożytnej cywilizacji, ile przez jej ucieczkę od śmierci, czy też fakt, że odmówiła umarcia. Średniowieczna cywilizacja zrodziła się z oporu przeciwko barbarzyńcom, z oporu przeciwko otwartemu barbarzyństwu z Północy i bardziej subtelnemu barbarzyństwu ze Wschodu. Pomnożyła ona przywileje oraz usprawniła system samorządu lokalnego pod panowaniem królów, którzy mieli w swym ręku jedynie szersze sprawy: wojny oraz podatki. W rezultacie, w czasie angielskiej wojny chłopskiej w XIV stuleciu – król i lud świadomie weszli na chwilę w przymierze. I król, i lud doszli do przekonania, że jakiś trzeci czynnik wziął nad nimi górę. Tym czynnikiem była arystokracja, która zdobyła parlament i nazwała się parlamentem. Izba Gmin, jak sama nazwa wskazuje, składała się pierwotnie z prostych ludzi, których król powoływał

³² Sarum – zniekształcony skrót łac. nazwy Salisbury – „Salisburia”. The Use of Sarum – odmiana liturgiczna obrządku łacińskiego, skodyfikowana przez św. Osmunda (XI w.) dla użytku diecezji Salisbury (przyp. tłum.).

jako ławników przysięgłych. Na dołę czy niedołę stała się potężnym organem rządzącym, przeżyła Kościół, monarchię i pospólstwo. Jej dziełem jest wiele wielkich i niemało dobrych osiągnięć. Stwożyła to, co zwiemy Imperium Brytyjskim. Stworzyła coś, co było czynnikiem o wiele bardziej wartościowym: nowy i naturalny typ arystokracji, bardziej ludzki i nawet bardziej humanitarny aniżeli większość arystokracji świata. Przynajmniej do niedawna posiadała na tyle wyczucia instynktów ludu, żeby uszanować wolność, a w szczególności śmiech, który stał się niemal religią angielskiej rasy. W tym wszystkim – na sumieniu arystokracji leżą dwa świadome postęпки, które uważała ona za naturalną część składową swej polityki. Oto stanęła ona po stronie protestantów, a później (częściowo jako rezultat) stanęła po stronie Niemiec. Do bardzo niedawna większość inteligentnych Anglików wierzyła uczciwie, że w obydwu wypadkach chodziło tu o stawanie po stronie postępu przeciw zacofaniu. Pytaniem, które dziś wielu z nas zadaje sobie nieuchronnie – i będzie zadawać bez względu na moje stanowisko – jest pytanie, czy arystokracja nie stanęła raczej po stronie barbarzyństwa przeciw cywilizacji.

W każdym razie, jeśli jest choć trochę słuszności w moim widzeniu spraw – wróciliśmy do początku naszych dziejów: wróciliśmy do wojny z barbarzyńcami. Wydaje mi się rzeczą naturalną, że Anglik i Francuz powinni być po tej samej stronie – jak byli Alfred i Abbo w tym ponurym stuleciu, kiedy barbarzyńcy spustoszyli Wessex i oblegli Paryż. Wydaje mi się, że dziś nie ma jednak tak pewnych sprawdzianów duchowego zwycięstwa cywilizacji w odróżnieniu od zwycięstwa materialnego. Idee pomieszały się, skomplikowały w subtelnych odcieniach i zagubiły się w subtelnych nazwach. Mój osobisty pogląd, czy cofający się barbarzyńca pozostawi za sobą ducha barbarzyństwa – jak zarażone chorobą powietrze – uzależnię przede wszystkim od jednego moralno-politycznego sprawdzianu. Duszą barbarzyństwa jest niewolnictwo. Pod pozorami zorganizowanego systemu i drylu – niemieckie ujęcie w karby ludzi ubogich było popadnięciem barbarzyńców w niewolę. Na tle naszych konwencjonalnych reform współczesnych, nie widzę dla nas samych innego wyjścia z tej perspektywy jak tylko stworzenie tego, co stworzyli ludzie średniowiecza po pobiciu ówczesnego barbarzyńcy: przy pomocy cechów oraz małych, niezależnych organizacji – powinniśmy stopniowo przywrócić własność osobistą ludzi biednych i wolność osobistą rodziny. Chodzi jedynie o to, żeby Anglicy chcieli to zrobić. Tym, którzy wątpili, pokazali w czasie wojny, że nie stracili przecież odwagi i zdolności przodków i mogą przeprowadzić to, co chcą – jeśli zechcą. Jeśli tego nie zrobią, jeśli się będą dalej poruszać jedynie tym martwym rozpędem dyscypliny społecznej, której nauczyli się od Niemców, nie widzę dla nas innych horoskopów, jak tylko to, co Hilary Belloc – odkrywca tego wielkiego prądu socjologicznego – nazwał „państwem serwilistycznym”. Przychodzą nastroje, że człowiek, rozważając taką konkluzję naszych dziejów, życzyłby sobie na poły, żeby ta fala teutońskiego barbarzyństwa zmyła z powierzchni ziemi nas i nasze armie i żeby świat nigdy niczego innego nie wiedział o ostatnich Anglikach – jak to, że zginęli za wolność.